

Spokojnych
Świąt
życzy
pogodnym
Czytelnikom
zespół
„Odgłosów“

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



NR 14 (1165) ROK XXIII

6 KWIETNIA 1980 R.

CENA 3 ZŁ

JAJECZNICA Z 6 MILIONÓW JAJ

EUGENIUSZ
IWANICKI

Stoisko z nabiałem w „Centralu”. Sprzedawczyni szybkimi ruchami pakuje po 10 jaj kurzych do papierowych torebek. Co jakiś czas cofa rękę: z jajka wylewa się żółta maź i ścieka jej po palcach.

— Cholera by to wzięła — mówi.

— Co ruszysz, to rozbie. — Trzeba ostrożnie — wtrącam, bo to właśnie dla mnie ma być owe 10 jaj. — To nie kartofle..

— Też coś! — Na twarzy sprzedawczyni pojawia się rozdrażnienie. — Takie już przysługę. O, proszę, widzi pan, ile tego jest?

Istotnie, część jaj leżących w skrzynce nie nadaje się do sprzedaży. — Tak zawsze? — pytam.

— Przeważnie. Ale kogo to obcho-

dzi? Jaj jest w Polsce dużo, jak się trochę potłucze, to żadna strata.

Czy naprawdę żaden? — zacząłem się zastanawiać, usiłując przypomnieć sobie to wszystko, co pamiętałem ze szkoły o wartościach odżywczych jaj kurzych. Dopiero w domu, po zrobieniu sobie jajecznicy, sięgnąłem do encyklopedii powszechnej. Przeczytałem: Jajo kurze, wartościowy produkt odżywczy; tzw. białko jaja składa się z ok. 86 proc. wody i 12 proc. białek (w tym 75 proc. albumin, 25 proc. globulin i mucyn); żółtko zawiera ok. 50 proc. wody, 16 proc. białek, 31 proc. tłuszczów (zwłaszcza lecytyny), 1 proc. soli mineralnych (wapń, fosfor, żelazo), cho-

Dalszy ciąg na str. 3

UFO NA ULICY SASANEK

Konrad
Turowski

W poniedziałek, 3 marca 1980 roku, oficer dyżurny Komendy Dzielnicy MO Łódź-Bałuty przy ul. Ciesielskiej 27, zanotował w służbowej księdze wydarzeń: „Zgłosił się ob. Jan Tarnowski, lat 24, z zawodu pomocnik kierowcy w PKS, zam. ul. Sasanek 60. Zameldował, że

przed jego domem działy się w nocy jakieś niesamowite historie, których sam nie jest w stanie wyjaśnić. Tak go przeraziły, że był się wyjąć z mieszkania w celu zaalarmowania sąsiadów...

Dyżurny wysłał na miejsce patrol. Nie znaleziono jednak jakichkolwiek śladów mate-

rialnych, mogących potwierdzić opowieść Jana Tarnowskiego i jego tony, Małgorzaty, nauczycielki przedszkolnej. Gdyby nawet ślady takie zostały, musiałby zakryć śnieg, który dość obficie padał w

Dalszy ciąg na str. 14

Stajemy bezradni wobec człowieka padającego na ulicy, zasłabłego w biurze koleżanki, wobec ofiary wypadku drogowego. A przecież jeszcze w „podstawówce”, czasem w harcerstwie usiłowano nam wpoić zasady pierwszej pomocy w nagłych wypadkach.

Tymczasem Amerykanie, gdzieś przed dwudziestoma laty, obliczyli, że w pięćdziesięciu pięciu procentach wszystkich nagłych zgonów, aby uratować człowieka, wystarczyłaby właśnie ta pierwsza, umiejętna pomoc! Gdyby któryś z przechodniów wiedział, co zrobić — jak ułożyć głowę, jak podjąć masaż serca i „wymusić” oddychanie. Teoretycznie, niby każdy wie, ale w praktyce — chodzi o życie!

W 1962 roku, znakomity radziecki fizyk — teoretyk, Lew Dawidowicz Landau, uległ tuż przed otrzymaniem Nagrody Nobla, ciężkiemu wypadkowi. Nad zdrowiem 60-letniego naukowca czuwał najwybitniejsi specjaliści,

LESZEK RUDNICKI

CZTERY MINUTY

śmierć towarzyszy ludzkości od jej początków. W najdawniejszych wiekach próbowano przywrócić zmarłemu jego funkcje życiowe metodami nie tyle skutecznymi, co brutalnymi — chłostą, rozniecaniem ognia na klatce piersiowej. W w. XVI — próbowano wymuszać oddech

Dalszy ciąg na str. 5

a wśród nich profesor W. Niegowski, jeden z pionierów kierunku zwanego dziś resuscytacją. On to właśnie w 1942 r., wprowadził do nazewnictwa fachowego pojęcie „śmierci klinicznej”.

Opieka Niegowskiego okazała się niezwykle cenna. W czasie swej choroby Landau trzykrotnie znalazł się w stanie śmierci klinicznej. Uratowano go. Batalia o życie Lwa Landaua weszła do historii medycyny jako pierwsza wielka akcja resuscytacyjna.

Było to niedawno, a przecież śmierć towarzyszy ludzkości od jej początków. W najdawniejszych wiekach próbowano przywrócić zmarłemu jego funkcje życiowe metodami nie tyle skutecznymi, co brutalnymi — chłostą, rozniecaniem ognia na klatce piersiowej. W w. XVI — próbowano wymuszać oddech

SZTUKA MŁODYCH

U WEJŚCIA DO LABIRYNTU

(Rozmowa z BOGUSŁAWEM SEMOTIUKIEM)

Tegoroczny laureat nagrody „Głosu Robotniczego” za najciekawszy debiut aktorski jest przede wszystkim niezwykle skromny. Wydaje się nawet, że usiłuje jakoś ukryć tę naturalną i zrozumiałą radość z pierwszego artystycznego sukcesu. Widać jednak, że cieszy się naprawdę, że jest tym faktem oszołomio-

ny, że jeszcze nie może uwierzyć... A przecież debiut Bogusława Semotiuika był znakomity i właściwie nikt z nas, miłośników teatru, nie miał wątpliwości, komu w tym roku przypadnie ta miła i jakże wiele dla

Dalszy ciąg na str. 9

MAGDA SZUSTER

W MOKREJ

— Jak się słucha w radu albo w telewizji, o tym, czego nie robi się dla rolników, jak się pomaga, to nic tylko mieszkać i pracować na wsi. Ale u nas tej pomocy i zainteresowania nie widać, jej w ogóle nie ma. Może w tych wsiach, gdzie są urzędy gminne, dzieje się dobrze, ale takim jak nasza, leżącym na boku, nikt nie pomaga, a najwyżej przeszkadza. No to ludzie uciekają

tam, gdzie się lepiej i spokojniej żyje — mówią mieszkańcy wsi Baranów — Mokre, gmina Sulejów, województwo piotrkowskie.

— Nawet jak order wsi przyznali, to nie nasi ludzie go odbierali, tylko ci z gminy. Urząd nas nie szanuje, nie uważa i to od wielu lat. Dlatego wieś wygląda tak, jak widać. Za parę lat to mrze nikogo z tutejszych na tym miejscu nie bę-

dzie — starzy powymierają, a młodzież ucieknie.

W maju 1979 roku Rada Państwa przyznała wsi Krzyż Walecznych za wkład mieszkańców w walkę narodowowyzwoleńczą. W czasie okupacji jej mieszkańcy utworzyli samodzielny oddział partyzancki, wchodzący

Dalszy ciąg na str. 4

DEBIUTY MŁODYCH KOMPOZYTORÓW — 80

JACEK
KRAKOWSKI

Dotychczas ich utwory były wykonywane w zamkniętym gronie studentów i pedagogów PWSM w Łodzi. Chodziło przede wszystkim o to, żeby utwór był w ogóle zrealizowany i usłyszany przez kompozytora, żeby jego istnienie jako dzieła sztuki, nie ograniczało się jedynie do leżących w szufladzie partytury.

W ubiegłym roku w kwietniu sytuacja uległa pewnej poprawie. Z inicjatywy Koła Naukowego Wydziału Kompozycji i Teorii Muzyki, na czele z jego opiekunem doc. Je-

rzem Bauerem, kompozytorem i pedagogiem, którego aktywna i umiejętnie prowadzona działalność stwarza właściwą atmosferę pracy twórczej, zorganizowano koncert kompozytorski poświęcony pamięci niedawno

zmarłego kompozytora i pedagoga PWSM Bernarda Pietrzaka (1924-1978). Kilka dni potem odbył się Koncert Studiów Kompozytorskich członków Koła Nauko-

Dalszy ciąg na str. 9

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MALGORZATA GOLICKA, AKEC INDEKAS, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD LUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RYBOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczna). Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER TADUŚZ BŁAJEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, MARIA KEPINSKA, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

JAJECZNICA Z 6 MILIONÓW JAJ

Delezy ciąg ze str. 1

lesterol, witaminy A, B1, B2. Średni ciężar jaja kurzego wynosi ok. 55 g; masa ma wartość kaloryczną ok. 157 kcal/100 gramów.

Otóż to. Więc czy na pewno żadna strata? Przyjrzyjmy się temu bliżej. Od lat wchodzi w nasze życie i zadomowia się na dobre termin „przemysł jajczarski”. Nie jakieś tam dostawy dokonywane przez gospodynie wiejskie, nie tuziny, mendle, grosy czy kopy, lecz całe transporty samochodowe, setki ludzi wprzęgniętych w rytm pracy, specjalne wylęgarnie, maszyny, urządzenia chłodnicze, zakłady wytwarzające pasze, laboratoria, przetwórnictwo itp. Domowa wiejska kura stała się przedmiotem badań naukowych i spowodowała, że przemysł jajczarsko-drobiarski zajął w naszej gospodarce żywiołowej jedno z czołowych miejsc.

Jaj mamy dużo, to prawda. Statystyki podają, że w kraju skupuje się rocznie około 10 mld sztuk. W Łodzi — 235 mln (135 mln z ferm hodowlanych i 100 mln z gospodarki drobnotowarowej).

Niestety, nie wszystkie jaja trafiają do handlu. Według rozszania prowadzonego przez Wojewódzką Prokuraturę w Łodzi, duże ich ilości, szczególnie tych z ferm kurzych, nie nadają się do sprzedaży, bowiem mają tzw. ograniczoną przydatność spożywcza (ze względu na pęknięcia powłoki, niewłaściwe magazynowanie itp.). Jajo jest wartościowym produktem żywnościowym, lecz jajo stłuczone — szczególnie w okresie letnim — szybko ulega zepsuciu. Polskie normy są w tym względzie bardzo rygorystyczne i takich jaj nie dopuszczają do obrotu handlowego.

Uszkodzenia jaj można podzielić następująco: tłuczka — jest to jajo całe bez przerwania miękkiej błony; wylewka — jest to jajo mające pękniętą zarówno skorupkę, jak i błonę, a jego zawartość wylewa się na zewnątrz; zbuk — jest to jajo, którego treść wewnętrzna jest zepsuta.

Najważniejszą grupę strat stanowią tłuczki. Przypuszczalnie większość ich powstaje na linii: producent — Łódzkie Zakłady Drobiarskie „Poldrob”. Te ostatnie swym zasięgiem obejmują cztery województwa: wielkopolskie, łódzkie, skierniewickie, sieradzkie i płockie, kontraktując jaja w 185 fermach. Ale, co ciekawe, najmniej tłuczek jest w Wielkopolsce i Łowiczu, a najwięcej w Łodzi. Natomiast z

wyjaśnien dyrektora do spraw produkcji Łódzkich Zakładów Drobiarskich, mgr JANA CIESŁAKA, wynika, że nie jest tak źle.

— Owszem, są tłuczki, najwięcej jest ich w okresach szczytowych, bo około 4 proc., a wylewek jakieś 0,5 do 0,8 proc. W okresie nieszczytowym tłuczki idą do sprzedaży detalicznej i są wówczas tańsze o 20 lub 30 groszy na sztukę od jaj III klasy wagowej.

— A w okresie szczytowym? Co robicie z tymi poważnymi ilościami jaj, których nie sposób przekazać do handlu?

— Są one u nas wybijane i idą do zamrażalni, a następnie są przekazywane do przetwórstwa, na przykład na proszek jajeczny czy do cukierników.

— Dużo jest tych tłuczek?

— Wcale nie, właściwie jest to kropla w morzu. W ubiegłym roku było ich zaledwie 800 tysięcy.

— Dlaczego jaja pękają? Czy nie jest to wina ludzi, którzy zajmują się ich zbieraniem i transportem?

— Stanowczo, nie. Wina leży w złej paszy, w której brakuje właściwych składników fosforowo-wapniowych.

Tak więc 800 tys. jaj nie stanowi żadnego problemu, ludzie z „Poldrobu” nie mają wyrzutów sumienia. Jaja się tłuką, bo „Bacutil” daje złą paszę. Jasne, siła wyższa.

Dyrektor Rejonowego Przedsiębiorstwa Przetwórczego Przemysłu Spożywczego „Bacutil”, mgr inż. EUGENIUSZ SZARWAS, gdy mu o tym mówię, zaczyna się śmiać.

— To nonsens — mówi. — Produkcję według aktualnie obowiązujących norm. Dozują maszyny, więc nie może być pomyłki. Nasze receptury pochodzą z Pracowni Programowania Receptur w Warszawie.

— A receptury zastępcze? Przecież może się zdarzyć, że zabraknie jakiegoś składnika.

— Nie, tych nie stosujemy. Natomiast badamy surowce pod względem cech fizyko-chemicznych przed ich użyciem, jak i później, kiedy powstaje już gotowy produkt.

— Jakimi składnikami ma mieszanaka dla kur?

— Sto kilogramów mieszanki DJ-1 zawiera 68 proc. kukurydzy, 19,6 proc.

sof, 4 proc. mączki rybnej, 6,8 proc. kredy, 1,2 proc. dwuosobatu potasowego i 0,5 proc. polfamsu. Zapewniam pana, że u nas fuszerki nie ma. W roku ubiegłym reklamacje pasz w stosunku do ich sprzedaży wyniosły zaledwie 0,2 proc.

Kto rozwiąże tę zagadkę? A także inną — bowiem według danych zebranych przez Wojewódzką Prokuraturę, rocznie w okręgu łódzkim zniszczeniu ulega nie 800 tys., ale 6 mln jaj kurzych!

Oczywiście, przyczyny powstawania tłuczek są złożone i winą za to nie sposób obarczać jedynie producenta pasz i przedsiębiorstwo zajmujące się skupem. Bez trzeciego kontrahenta, jakim jest hodowca, przemysł jajczarski przestałby istnieć. Zasięgnąłem opinii człowieka pracującego w tej branży prawie 10 lat, WITOLDA PASNIKOWSKIEGO, kierownika Zakładu Wylęgu Drobiu w Rzgowie.

— Dlaczego powstają tłuczki? — pytam. — Przecież do pańskiej wylęgarni także trafiają takie jaja.

— Oczywiście, sporo ich trafia. Dla nas jest to dodatkowa praca, bo musimy je eliminować. Tłuczki są uzależnione od trzech warunków. Po pierwsze: wartość skorupki jaja jest związana wyłącznie z paszą. Jeśli w niej nie ma składników fosforowo-wapniowych, takie jaja będą pękać. Drugim czynnikiem jest sam zbiór jaj. Styszał pan o tłuczach świetlnych?

— Nie styszałem.

— Każde jajo winno być przejrzane pod światło, w przeciwnym razie nie można zareczyć za jajo, które są jedynie oglądane gołym okiem. Są mikropęknięcia, przez które do jaja dostają się bakterie. Gdy takie jajo trafi do przechowalni czy wylęgarni, wiadomo, że ulegnie zgniciu. Ale najważniejszą sprawą w tym wszystkim jest transport. Prywatni hodowcy przywożą jaja bez skrzyń, fermy w skrzyniach. Wystarczy, że źle będą dobrane wylęcanki i całą skrzynię można wyrzucić. Jestem przekonany, że przy dobrze zorganizowanej pracy w Łódzkich Zakładach Drobiarskich tłuczki można wyeliminować do minimum. Gdyby tylko dobrze zorganizować nadzór odchovu kur, właściwie zabezpieczyć transport i prawidłowo segregować jaja. Czy pan widział, jak się rzuca skrzynie z jajami z samochodów?

— Nie widziałem.

— Szkoda. Przekonałby się pan, ile jaj można by było uratować.

Wiem, że warunki, jakie panują w kurnikach pozostawiają wiele do życzenia, że gniazda nie są takie, jak być powinny, że ludzie zbierający jaja częstokroć wykazują całkowitą beztroskę, że kuleje sprawa pakowania, że nawala transport, że jaja jednej rasy kur są mocniejsze, innej słabsze, że sortowanie mechaniczne jest gorsze od ręcznego itd. Jednakże wiem i to, że owe 6 milionów jaj, licząc skromnie po 3 zł za sztukę, to 18 milionów złotych wyrzuconych na śmietnik.

Przyjrzyjmy się sprawie od strony ekonomicznej. Państwo dotuje produkcję pasz. Norma paszy na „wyprodukowanie” 1 kg jaj (około 16 sztuk) wynosi 3,5 do 4 kg. Skoro tak, to do każdego jaja wyprodukowanego w fermie kurzej państwo dopłaca ok. 50 groszy. Wypływa stąd prosty wniosek: nie można pozwolić na straty, o jakich wspominałem wyżej. Musi być prowadzone racjonalne żywienie kur, a wyprodukowane jaja prawie w stu procentach winny trafić na rynek. Jest to sprawa nie tylko hodowców i zakładów drobiarskich. Warto zająć się przyczynami

owych tłuczek, wylewek i zbuków. W tej chwili trwa odbijanie pilki: hodowcy za straty obwiniają producenta pasz, twierdząc, że skoro większość składników sprowadzamy z importu, jakości paszy winna być dobra, „Bacutil” twierdzi, że receptura pozostaje w zgodzie z polską normą, a tłuczki powstają z innych przyczyn, często mechanicznych, natomiast odbiorca, czyli Łódzkie Zakłady Drobiarskie „Poldrob” uważają, że wszystko jest w porządku i straty z tytułu zniszczenia jaj są kroplą w morzu w stosunku do skupowanych ilości. W tym sporze jednak największe straty ponosi konsument.

Istniejącego marnotrawstwa nie sposób przeliczyć na pieniądze, bowiem istnieje jeszcze jedna możliwość oszukania handlu. Hodowca w okresach wzrostu zapotrzebowania na jaja świeże, zamiast odstawić je do „Poldrobu”, może przekazać je na rynek do wolnej sprzedaży, gdzie zamiast, powiedzmy, 3,50 zł za sztukę weźmie 6 zł. Będzie to znaczyło, że państwo ponosi wielokrotną stratę, gdyż nie dość, że dołożyło do wyprodukowania każdego jaja owe 50 groszy, to jeszcze konsument musi płacić o 2 zł drożej od oficjalnej ceny detalicznej, a uzyskane ze sprzedaży pieniądze powędrują do prywatnej kieszeni.

Nie od rzeczy będzie tu przypomnienie o kurach, od których przecież zależy ilość znośnych jaj. Jest wiele ras i odmian: leghorny, kuropatki włoskie, minorki, bramaputy, kochinchiny, fawerole, uaforki, cornish, zielononóżki, polbary, rodajendy, niuhempshyry, plumitroki, saskesy itp. Nie wszystkie z nich nadają się na nosiki, część hoduje się z przeznaczeniem na mięso, inne służą jako ozdoby, jeszcze inne gatunki przeznaczają się na świecące do walk kogutów. Kury ras nośnych znoszą rocznie od 150 do 300 jaj. W Polsce najczęściej hoduje się leghorny. Jednak kury największą nośność osiągnęły w tzw. sezonach, tj. latem i jesienią. Doświadczeni hodowcy, wiedząc, iż w tych okresach przypada

najwięcej tłuczek, tak regulują wylęg kurcząt (możliwe to jest jedynie przy produkcji fermowej), by kury wchodziły w tzw. okres produkcyjny w miesiącach zimowych. Tam, gdzie taka regulacja jest stosowana, straty są dużo mniejsze. Ale kto u nas chce w to się bawić, kogo obchodzi, że na fermie dziennie tłucze się kilkadziesiąt lub kilkaset jaj? A przecież drobiarstwo stało się w niektórych krajach jedną z głównych gałęzi produkcji zwierzęcej, wystarczą wymienić USA, Holandię, Danię, Anglię. Polacy przyzwyczajeni do kotleta schabowego, niechętnie sięgają po drób. Nadal jesteśmy daleko za Węgrami czy Czechosłowacją, zarówno w spożyciu jaj, jak i mięsa z drobiu.

Mimo to jesteśmy w czołówce, jeśli chodzi o eksport jaj, drobiu i pierza. Lecz by stać się światowym potentatem, niezbędne są nowoczesne przechowalnie. Najlepiej do tego nadają się chłodnie. Polska norma stanowi, że: jaja chłodnicze, to są jaja przechowywane przez okres poniżej 30 dni w temperaturze do plus 1 st. Celsjusza, przy wilgotności względnej powietrza 78—87 proc. Chłodnie mogłyby rozwiązać także sprawę podaży jaj w jednakowych ilościach przez okrągły rok. Niestety, przynajmniej w Łodzi takich chłodni nie ma (tzn. takich, które by odpowiadały obowiązującym w tym względzie normatywom). Fakt ten decyduje o tym, że jakości jaj chłodniczych, jakie oferuje nam handel, pozostawia wiele do życzenia. Jakże często z dziesięciu kupionych jaj chłodniczych do spożycia nadaje się tylko jedno! Bowiem jaja wyjęte z chłodni winny być ponownie sortowane, bardzo szybko przekazywane do detalu i tam również szybko sprzedawane. I tu rysuje się kolejny problem: czy nasz handel ma u siebie odpowiednio warunki na czasowe przechowywanie jaj? Odpowiedź jest jedna: nie ma.

Czy naprawdę musimy co roku wyrzucać jajecznicę z 6 milionów jaj?

EUGENIUSZ IWANICKI

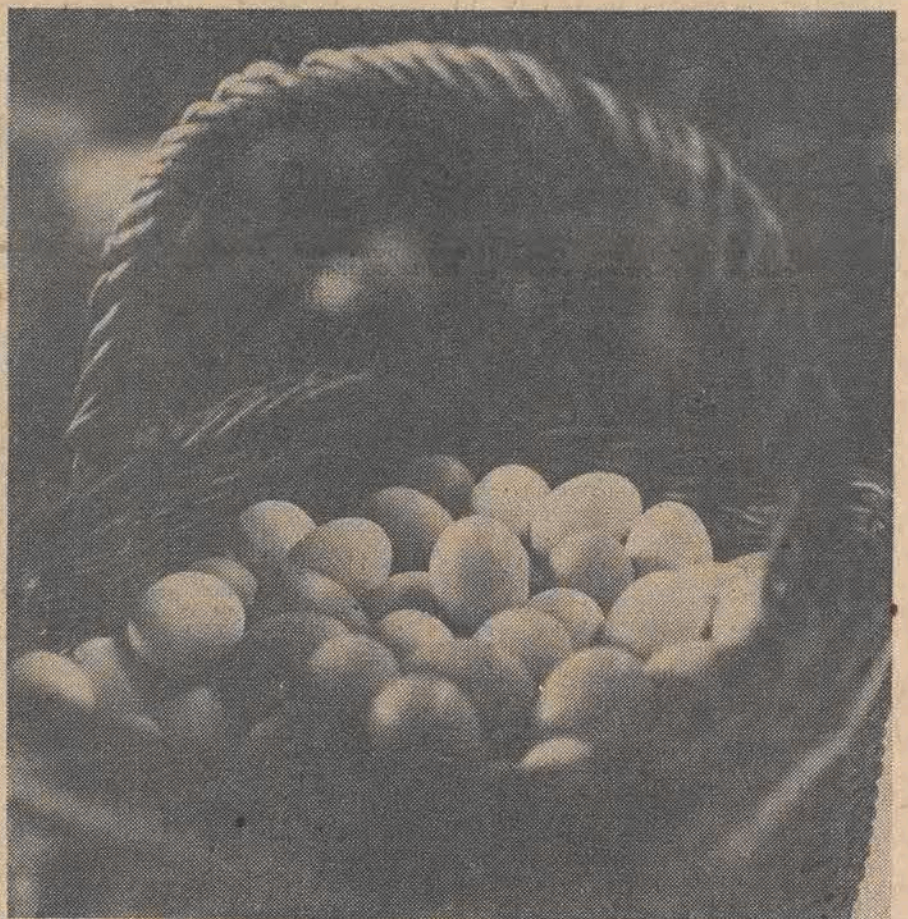


Foto: R. Łucyszyn

Omawiając krytyczną sytuację gospodarczą Europy zachodniej, tygodnik NEWSWEEK wyraża opinię, że o ile zwłazsza przed W. Brytanią stoi „okropny” rok, to inne kraje wydają się być wystarczająco silne, by stawić czoło przeciwnościom. W każdym razie od wyniku tych zmagających zależeć będzie to, czy recesja obejmie również rok 1981.

Gospodarka Europy zachodniej wygląda w rzeczywistości inaczej niż mogłoby się wydawać. Funt szterling nadal jest stosunkowo mocny, ale brytyjski produkt narodowy brutto kurczy się. Poważny deficyt wykazuje zachodniemiecki bilans płatniczy, choć w Bonn oczekuje się większego wzrostu niż zakładano wcześniej. We Francji rosną zyski, ale przedsiębiorstwa nie tworzą nowych miejsc pracy tak szybko jak spodziewano się. Od Szwecji po Hiszpanię biznesmeni uważają się na zbyt duże wydatki rządowe, niewielu jednak skłonnych jest powiedzieć „nie”, kiedy państwo oferuje pomoc ich kulejącemu przemysłowi.

(...) Przeważa dziś pogląd, że Europa jako całość nie pociągnie za sobą Stanów Zjednoczonych w dół, a przynajmniej nie w tym roku. Nie oznacza to, że wszystko będzie się posuwać gładko naprzód. „Zwolnienie tempa wystąpi” — przewiduje Christian Lutz, główny ekonomista Swiss Bank Corp. „Pociągnięcie to prawdopodobnie za sobą recesję w W. Brytanii i Włoszech, ale nie wystarczy dla spowodowania ujemnego wzrostu gdzie indziej”.

(...) „Wyzwanie jakim są wyższe ceny ropy dało się we znaki bardziej niż kiedykolwiek po roku 1973” — twierdzi były premier brytyjski

— Edward Heath. Większość europejskich rządów widzi w reżimie oszczędnościowym jedyną wyjście — nawet jeśli narażają się na ryzyko zepchnięcia swych gospodarek w recesję. Główną przyczyną pesymizmu panującego w euro-

miałby poważne następstwa polityczne. Po krótkim wytchnieniu w 1979 r. znowu rośnie w większości krajów bezrobocie. W ciągu najbliższego 1,5 roku RFN i Francję czekają tymczasem wybory i znaczny wzrost bezrobo-

przewidywać Eurofinance wyniki gospodarcze będą w roku 1980 tylko nieco gorsze niż w ostatnich dwóch latach, kiedy to GNP wzrastał pod rząd o 3 proc. Silny wzrost w pierwszym półroczu osłabnie z nadejściem jesieni, jednak nie powinno to ukrócić przyrostu GNP do mniej niż 2,6 proc. Na początku roku 1981 gospodarka Europy rosnąć będzie być może w rocznym tempie 1,5 proc.

W nadchodzących miesiącach Europę nadal prześladować będzie inflacja, choć — jak przewiduje szwajcarski bankier Lutz — „tempo jej spadnie prawdopodobnie w W. Brytanii i Francji a w RFN i Szwajcarii powinno wzrastać w niewielkim stopniu”. W styczniu Włochy ogłosiły najwyższe tempo inflacji w Europie: ceny rosły w tym miesiącu z szybkością 21 proc. w przeliczeniu rocznym. Gorsze niż przewidywano wyniki w Rzymie mogą pokrzyżować plany gospodarcze Europy jako całości, jednak Eurofinance przewiduje, że tempo wzrostu cen spadnie w drugiej połowie roku i na początku roku 1981 wynosić będzie mniej niż 9 proc. (wobec ponad 11 proc. w chwili obecnej).

Śięgając poza rok 1980 perspektywy gospodarcze Europy zachodniej rysują się mgliście. Dużo zależy od tego, czy kluczowe kraje będą w stanie ograniczyć inflację, rozbudować przemysł i stworzyć więcej miejsc pracy. (...) Jeśli im się to uda, Europa wyapie inflacyjne zło ze swej gospodarki na dno przed Stanami Zjednoczonymi. W przeciwnym razie recesja przedłuży się na rok 1981.

EUROPA ZACHODNIA: PRZEŻYĆ KRYZYS

pejskich salach konferencyjnych nie są jednak ceny ropy, lecz nowe tarcia między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim. Jeśli Waszyngton zwiększy wydatki obronne na tyle, by odsunąć recesję w Ameryce, to — zdaniem ekonomistów — będą to dobre wieści dla Europy. Jeśli natomiast Stany Zjednoczone wciągną swych sojuszników w wojnę handlową z Moskwą — europejskie perspektywy wzrostu zbledną. „Powaga naszej sytuacji zależy od tego, co się wydarzy w gospodarce amerykańskiej” — mówi pewien londyński bankier.

Znaczący spadek aktywności gospodarczej

cia mogłoby odbić się na nich niekorzystnie. „Potrzebny nam wzrost dla utrzymania politycznej stabilności w Europie zachodniej” — mówi Joachim Hecker, bankier z Düsseldorfu.

Dla gospodarki europejskiej bezpośrednio perspektywy to wzrost wolniejszy niż w ub. roku. W sumie powinno być znacznie lepiej niż w Ameryce, ale rezultaty będą rozmaite. „W W. Brytanii będzie to coś strasznego, ale w większości krajów Europy zachodniej z gospodarką będzie można sobie łatwo poradzić” — przewiduje Otto von Fieandt, główny doradca Eurofinance — Instytutu badawczo-konsultacyjnego z siedzibą w Paryżu. Według

Dalszy ciąg ze str. 1

w skład Armii Krajowej i prowadzący akcje zbrojne w lasach piotrkowskich i tomaszowskich. Ci, którzy pozostali, udzielali pomocy wszystkim oddziałom partyzanckim działającym w okolicy wsi. W 1943 roku Niemcy przeprowadzili pacyfikację Mokrej. Zginęło wiele osób, a jako znak pamięci po tym tragicznym wydarzeniu powstał biały, brzozy krzyż, na nadpłyciejszym skarpie za wsią.

Uroczyste wręczenie Krzyża Walecznych nastąpiło w trakcie uroczystości wojewódzkich w Piotrkowie, w sierpniu 1979 roku. Mimo wcześniejszych ustaleń, że z rąk przedstawicieli Rady Państwa odbiora odznaczanie dwaj mieszkańcy Mokrej i sekretarz Komitetu Gminnego, w ostatniej chwili „coś się zmieniło” i Krzyż odbiera i sekretarz w asyście dwóch mieszkańców Sulejowa.

— Myśmy żadnego Krzyża nie dostali, ani nawet nie widzieli. Dostał go Sulejów, bo tam jest gmina. A przecież naszej wsi go przyznali i nam się należy. Tamci zabrali i zamknęli w szafie. Żeby chociaż delegacja z gminy przyjechała, zwołała zebranie i pokazała ludziom ten Krzyż, ale nie. My zawsze jesteśmy od macochy. Ludzie najpierw się cieszyli, kilku byłych naszych partyzantów przyjechało specjalnie z innych stron. Po tej uroczystości tylko popłakali się i popili. Tak skończyło się nasze wielkie święto.

Wies Mokra (bo tak potocznie nazywa się ją w okolicy) jest przepięknie położona nad brzegiem Zalewu Sulejowskiego, a dawniej Pilicy, otoczona dużymi lasami mieszanymi. Obecnie stoja w niej 54 domy, ale jest tylko 37 gospodarstw. Pozostałe są niezamieszkałe, a w kilku byli gospodarze, którzy sprzedali lub wydzierżawili ziemię, czekają na „dokonanie żywota”.

Ziemia w okolicy kiepska, V, VI klasy. Gospodarstwa nieduże, od 2 do 8 hektarów. Najbardziej opłacalna była hodowla bydła, ponieważ nad brzegami Pilicy rozciągały się duże obszary łąk i z paszą nie było problemów. Teraz łąki zostały zalane, a innych terenów nadających się na pastwiska i zbiory siana nie ma.

Podstawowym zajęciem mieszkańców wsi w okresie przedwojennym i do początku lat pięćdziesiątych była praca na roli „Dorabiał” chodzili mężczyźni do lasu. Leśnictwo w odległym o trzy kilometry Lubiaszowie zawsze chętnie zatrudniało drwali i wozaków, mających własne narzędzia pracy.

W latach pięćdziesiątych coraz więcej młodzieży jeździło do oddalonego o 15 kilometrów Piotrkowa. Łatwo znajdowali zatrudnienie w dużych zakładach, jak „Pioma”, „Sigmalex”, huty szkła, a przede wszystkim w budownictwie.

Do połowy lat sześćdziesiątych we wsi nie zostały zainicjowane lub przeprowadzone żadne inwestycje mogące ułatwić życie mieszkańcom. Żył się tu bez bitej drogi, bez elektryczności, bez telefonu. Pozostała Mokra na boku wszelkich poczyną, cywilizacyjnych. Ani klubu ani świetlicy, centralnym miejscem spotkań był sklep prowadzony od 1945 roku przez Balińską. Łącznikiem ze światem był jedynie listonosz i ci, którzy pracowali w „mieście”, a mieszkali nadal w Mokrej. Air było ich coraz mniej, bo młodzież, podejmując pracę w Piotrkowie, zapisywała się do spółdzielni mieszkaniowych i otrzymywała wymarzone „bloki”.

W 1965 roku mieszkańcy zostali oficjalnie poinformowani o budowie na terenach wsi zalewu sulejowskiego. Rozpoczęto lustrację terenu i wstępne rozmowy wyłączeniowe z gospodarzami. Coś się zaczęło dziać! Obiecywano budowę drogi bitej, doprowadzenie prądu. Wszystkie chętnych przyjmowano do pracy przy przygotowywaniu terenów pod zalew, płacąc bardzo wysokie stawki.

Tako pierwsze guszy pod wykup wszystkie łąki nad Pilicą łąk i do pracy do rzek as. Jednocześnie zjawilo się poro kupców indywidualnych którzy nabywali od gospodarzy nieduże działki leśne i w jak najszybszym tempie stawiali na nich domki letniskowe. Obie strony wiedziały, że działek tych nie można przepisywać notarialnie, ale kupcy „szli na ryzyko”, licząc, że postawionego domku nikt nie zburzy. W dwa lata później prace ziemne szły pełną parą. Wytoczono granice przyszłego zalewu i do jego górnej części poziom wycinano drzewa. Zatrudniano przy tych pracach wszystkich, którzy się zgłaszali, nawet

młodzież szkolna. Gospodarze zbierali z wykupionych już łąk ostatnie zbiory siana. Na podwórkach było coraz więcej motocykli, wypierających niezastąpione przez lata rowery, a nawet pojawiły się pierwsze miejscowe samochody.

Budowniczo wie znacznie ożywił życie w Mokrej. Wies przestała robić wrażenie sennej, zapatrzonej w przeszłość. Kupowano radia i telewizory mimo że jeszcze nie było prądu. Z nadzieją i cierpliwie czekano, co przyniesie przyszłość. Chociaż i dawne czasy odzywały się w najcięższych spodziewanych momentach. Kiedyś, podczas mroźki w jednym z gospodarstw, zapaliła się stodoła, w

Powstanie zalewu spowodowało wydanie całej masy zakazów i nakazów, z których dla wsi najważniejszy jest jeden: zakaz budowania w odległości mniejszej niż 500 metrów od górnej granicy zalewu jakichkolwiek budynków inwentarskich.

W praktyce oznacza to, że połowa wsi, wszyscy ci, którzy mieszkają po jej południowej stronie, nie mogą przy swoich zagrodach niczego wybudować: żadnej obory, chlewu ani owczarni. A prowadzenie gospodarki tylko i wyłącznie opartej na hodowli roślinnej jest niemożliwe z powodu słabej, piaszczystej i rozdrobnionej ziemi. (Ten sam

tu siedzieć. Szkoda by mi było, bo przepadnie praca całego mojego życia, ale co robić. Tego nie wolno, tamtego nie wolno, a co ma być za parę lat — nie wiadomo. Ludzie są zrezygnowani i rozgoryczeni. Jak tylko mogą, wynoszą się do dzieci, zostawiając swoje domy. Dlatego większość zabudowań jest zniechędana — rozwała się. Po co odnawiać? Dla kogo? Starym wystarczy, a nikogo innego na ich miejsce i tak nie ma — mówi soltys, Marian Krawiec.

Z tej czwórki, która jest zdecydowana w Mokrej pozostać trzech już od dłuższego czasu samodzielnie prowadzi gospodarstwa. Jedynie syn soltysa współgospodaruje z ojcem, ale on jest najmłodszym z nich. Ma dopiero 18 lat.

Stanisław Baliński i Bogdan Kaźmierski mają po 29 lat. Pierwszy mieszka z matką, drugi z chorym ojcem.

— Mam tylko 4,6 hektara ziemi, ale zdecydowałem się zostać, bo nie mam innego zawodu. Tylko z matką gospodaruję już ponad dziesięć lat — od śmierci ojca. Nawet w wojsku nie byłam. W gospodarstwie wszystko robię, ale w mieście nigdy nie mieszkalem i chyba bym nie umiał — mówi Baliński.

— Najgorzej to, że żony nie może sobie znaleźć. Teraz ja wszystko w domu robię, ale stara jestem. Żeby panny gospodarza nie chciały, tylko wszystko do miasta i do miasta. Ani mój Stasiuś, ani Bogdan, przecież nie szpetne, tylko ładne chłopaki i gospodarze, a starzy kawalerowie — martwi się Balińska.

Zabudowania gospodarskie jednego i drugiego są po północnej stronie wsi, oddalone od zalewu więcej niż fatalnych 500 metrów.

— Chcę hodować z 13—15 krów. Mam już zezwolenie na budowę obory. Muszę też dokupić, albo wydzierżawić trochę ziemi, żeby mieć paszę. Z ziemią nie ma kłopotu, wielu pozbywa się swoich pól. Mnie potrzebne są grunty blisko domu. To, co mam do tej pory, jest w 11 kawałkach. Niektóre pola mają po 4 metry szerokości i 1200 metrów długości. Przecież na taki zgazon żaden traktor nie wejdzie. Jak do tej pory, to żadnego scalania, jak to mówią, u nas nie było. Mnie konieczny jest koń. Jak postawię stodołę i będę „kuź miał krowy mleczne, to postawię nowy dom. Stary się wali. Na razie jakoś potatam, postawię podpórki. Najgorzej jest w zimie. Skończę robotę i obrządek, to tylko siadaj przed telewizorem i siedź. Nie ma gdzie, ani do kogo pójść. Większość kolegów powyjeżdżała. Do kina trzeba jeździć do Sulejowa albo Piotrkowa, ale nikomu się nie chce po nocy wracać od autobusu 5 kilometrów. To i nie jeżdżę. Jak jest w okolicy zabawa, to chodzę. Trzeba się trochę zabawić — mówi Stanisław Baliński.

Bogdan Kaźmierski nie jest jeszcze zdecydowany, w jaki sposób będzie gospodarzył. Na razie ma wszystkich po trochu. Mieszka z ojcem, a co pewien czas przyjeżdża do nich, aby pomóc w typowo męskim gospodarstwie, jedna z trzech siostr mieszkających w Piotrkowie. Jego dom, piętrowy, jest jednym z najporządniejszych we wsi.

— Odnawilem go przed paroma laty, jak jeszcze przyjeżdżał do Mokrej letnicy. Wynajmowałem wszystkie pokoje i zawsze parę groszy z tego miałam. A i weselej było. Teraz, jak nie ma Pilicy, a jest zalew, znacznie mniej ludzi przyjeżdża na lato. Nie ma komu wynajmować pokoiów — podsumowuje trzeci zdecydowany.

Czwarty z tych, którzy chcą we wsi pozostać, jest z nich najstarszy i stanowi przykład raczej nietypowy. Henryk Kaźmierski, brat stryjeczny Bogdana, zamieszkał w Mokrej dopiero po śmierci swojego ojca, mając już 25 lat. Przeniósł się z Piotrkowa, gdzie mając średnie wykształcenie techniczne, pracował w jednej z hut szkła. Jego ojciec był najbogatszym gospodarzem i miał około 12 hektarów ziemi rozrzuconej w promieniu 5 kilometrów.

Nowy gospodarz postanowił pracować systemem farmerskim. Przede wszystkim, jako pierwszy we wsi, kupił stary traktor, który wyremontował. Skupował lub wydzierżawiał ziemię od wszystkich mokrzan, którzy chcieli się jej pozbyć. W sumie uprawia już około 50 hektarów. Prowadził kolejno hodowlę kur, noerek, gęsi, owiec, aby ostatecznie zdecydować się na bydło rzeźne.

Zagroda Henryka Kaźmierskiego sprawia okropne wrażenie. Dom drewniany, obdrapany, zapadnięty z jednej strony, obok wala się kuchnia letnia z pustaków, stodoła —

nałepiej wyglądająca, bo wybudowana tuż przed wydaniem zakazu „500 metrów” i miała obora, w której pełno byczków stojących w gnojówce po kolana. Brak jakiegokolwiek ogrodzenia. Koło zabudowań stoja pod gołym niebem maszyny rolnicze, traktor, samochód ciężarowy i osobowy. Wala się masa różnego żelastwa, opon od samochodów i traktorów.

— Ja mam do zalewu tylko 250 metrów. Ile już urzędów nie odwiedziłem, z iloma ludźmi nie rozmawiałem, żeby pozwolili na budowę obory. To dla mnie najważniejsze. Na razie nic nie zatawiam. Wszyscy się zgadzają, że trzeba rozwijać rolnictwo, ale pod ludową proponują mi teren pod lasem, jakieś 700 metrów stąd. To nie ma sensu, bo nie miałoby tu pilnować bydła i bez przerwy trzeba by było wozić paszę ze stodoły. Co będzie dalej — nie wiem. Na razie nie rezygnuję. Za dużo zainwestowałem pieniędzy i pracy — mówi gospodarz.

Prawie we wszystkich zarządzaniach utrudniających rolnikom gospodarowanie, władze powołują się na konieczność utrzymania czystej wody w zalewie. Ten argument zupełnie nie trafia do przekonania mieszkańców. Przygotowując tereny pod zalew, na wytoczonym obszarze wycinano drzewa, ale nie karbowano pni. Jesienią i latem, kiedy opadają wody, nad taflę wystają czarne pieki, a po okolicy roznosi się zapach zgnilizny. Opadające wody zalewu pozostawiają na brzegach czarną, tłustą, cuchnącą masę, która wydziela specyficzny zapach chemikaliów. Ponadto za parę lat mają tu powstać ośrodki czasowo-rekreacyjne, ale dokładnie kiedy to nastąpi — nie wiadomo. Do Mokrej nie dotarli na ten temat żadne konkretne informacje.

Przy zabudowaniach leżących najbliżej zalewu, u Miśkiewicza, urządzono przystań żeglarską. To znaczy zakłady pracy z Piotrkowa, koła Polskiego Związku Wędkarskiego i prywatni właściciele poprzywozili łodzie żaglowe i wiosłowe, które zaczęto wano przy brzegu. Zadaniem gospodarza i właściciela terenu jest jedynie pilnowanie, by łodzie nie zginęły. Nie ma żadnego zaplecza dla tych, którzy chcą z nich korzystać. Jedynie dziurawy, 10-osobowy namiot spełnia awaryjne funkcje hangaru. Większość łodzi cały rok stoi na wodzie.

— Dawniej, jak nie było zalewu, do Mokrej przyjeżdżało sporo ludzi na lato. Przede wszystkim z Piotrkowa i Łodzi. Wielu gospodarzy wynajmowało czasowicem mieszkania. Były zabawy, ogniska, na które chodzili i młodzi ze wsi. Od czasu zalewu tylu czasowicow nie ma. Tylko rybacy przyjeżdżają. Ludzie nie mają się gdzie kąpać, nie ma plaży, na którą można by pójść z dziećmi. Został tylko las. Ci, poza rybakami, którzy teraz przyjeżdżają, to po to, żeby w lesie zbierać grzyby i jeżyn — wspomina soltys.

Na koniec jeszcze jedna sprawa, której od trzech lat nie mogą załatwić władze gminne, a mianowicie — sprawa sklepu. Dopóki prowadził go Balińska, nie było problemu. Ale cztery lata temu Balińska przeszła na rentę. Po niej były dwie sklepowe, ale żadna długo miejsca nie zagrzała.

Trzy lata temu sklep został zamknięty i tak jest do dnia dzisiejszego. Po najdrobniejszych sprawunkach trzeba chodzić do odległych o 3 kilometry Barkowice, lub Lubiaszowa. Mieszkańcy Mokrej mieli nadzieję, że przyznanie ich wsi wysokiego odznaczenia zmobilizuje Gminną Spółdzielnię do uruchomienia nieczynnej placówki. Ale, jak na razie, nic z tego. Do dnia dzisiejszego sklep jest nieczynny. Co parę dni organizowane są całe wyprawy mieszkańców, aby zaopatrzyć się w produkty wystarczające chociaż na tydzień. Jak długo będą jeszcze organizowane — nikt nie wie.

— Teraz na wsi nikt nic nie wie. Trzeba myśleć jak przywieźć chleb, cukier, sól, a nogi bolą i sił brakuje. Czekam, żeby tu, u siebie umrzeć i koniec. Miałam gospodarke, ale sprzedałam, trzymam jeszcze krowę. Mam mleko i parę groszy do emerytury po mężu. Takich jak ja, jest we wsi dużo. Jak my, starzy, pomrzemy, nikt nie zostanie — mówi Wodzyńska, jedna z najstarszych, około 70-letnia mieszkanka Mokrej.

Co dalej, jaka przyszłość czeka tych, którzy zdecydowali się na wsi zostać i pracować? Jakże plany mają władze gminne i wojewódzkie w stosunku do Mokrej i jej mieszkańców? Na te pytania nikt z mokrzan nie potrafił mi odpowiedzieć.

MAGDA SZUSTER

W MOKREJ

której pozostała matka gospodarza. Zgromadzeni na podwórzu ludzie, zamiast gasić, zaczęli uciekać i chować się za pobliskie drzewa i zabudowania. Okazało się, że w stodole przechowywano zakopaną, partyzancką jeszcze, amunicję, która eksplodowała. Kobieta, stodoła i zboże spłonęły.

W trakcie prowadzenia prac ziemnych budowniczo wie wykopalili zalewu — parującą po pacyfikacji. Budowa zalewu przyspieszyła zmiany w społeczeństwie Mokrej.

przepis pozwolił budowniczym zalewu zburzyć wszystkie postawione na dziko domki letniskowe, znajdujące się w odległości mniejszej niż wyznaczona od lustra wody).

I drugi zakaz utrudniający gospodarowanie rolnikom: wies została uznana przez władze za letniskową a więc jej teren podlega ochronie i nie wolno na nim stosować żadnych chemicznych środków ochrony roślin. Przenikają bowiem poprzez glebę do zalewu i zanieczyszczają jego wodę. A zanieczyszczenie wody w zalewie jest — jak głoszą liczne



Foto: R. Łucyszyn

Po likwidacji tak uzyskiwanie korzystnych efektów ekonomicznych z rozdrobnionych gospodarstw było coraz trudniejsze. Większość młodzieży pracowała już w przemyśle i budownictwie, otrzymywała mieszkania w mieście. Jednocześnie nie zostały podjęte przez władze administracyjne żadne kroki, aby zatrzymać tych niewielu pozostałych młodych. Długo też czekano na realizację obiecanych inwestycji — prąd został doprowadzony dopiero w 1973 roku, a drogę jedynie utwardzono. Ciężki sprzęt, jakiego używano do prac ziemnych, w ciągu pół roku doprowadził ją do pierwotnego stanu. I tak już pozostało po dzień dzisiejszy.

tablice informacyjne — pod karą sądowną wzbronione.

— Jak tak dalej pójdzie i nie zostaną wydane żadne przepisy ułatwiające gospodarowanie, to za kilka lat nikt pracujący na roli nie będzie uciekał, a starzy i starzy powoli wymierają. Do tej pory tylko czwórka młodych chce pozostać we wsi, w tym i mój syn. Ja prowadzę gospodarstwo specjalistyczne, nastawione na hodowlę bydła mlecznego. Chcemy razem z synem trzymać ze dwadzieścia krów. Na to trzeba wybudować nową oborę. Jeśli mi nie pozwolą, to syn powieździ, że przenosi się do miasta, nie będzie chciał

Dalszy ciąg ze str. 1

przy pomocy miecha. W wieku XVIII i XIX — wieszając zmarłego za nogi, wałkując na beczce, przewieszając przez galopującego konia.

Metody, jakich uczono nas na lekcjach higieny kilkanaście lat temu, wynaleziono też całkiem niedawno: klasyczne sztuczne oddychanie zastosował Sylvester dopiero w 1861 roku. Defibrylacja, czyli oddziaływanie na serce przy pomocy prądu elektrycznego, pierwszy raz zastosował Prevost i Batelli w 1899 r., ale tylko na zwierzętach. Defibrylacja bezpośrednia serca — dopiero w 1947 r., pośrednia — poprzez klatkę piersiową — Zoll zastosował zaledwie w roku 1955. Rok wcześniej Amerykanin, Elam, użył powietrza wydychanego przez ratownika do sztucznego oddychania, a w dwa lata później, też Amerykanin, Sajar, wynalazł metodę „usta — usta”.

Największe osiągnięcie w zakresie reanimacji — masaż serca — wynaleźli, ku wstydy medyków, trzej Holendrzy nie mający z medycyną nic wspólnego: Keunen, van der Vliet i Knickerbocker, dopiero w 1960 roku.

Jakże niedawna jest więc historia współczesnej reanimacji. Trzeba w tym miejscu odnotować, że elementem sprzyjającym jej dynamicznemu rozwojowi stało się wprowadzenie do praktyki medycznej transplantacji. I znów, po raz kolejny w swej historii, nauka medyczna skierowała się ku próbom zbadań śmierci.

Zainteresowania te zmierzają z jednej strony do zdefiniowania samego pojęcia śmierci, jak najdokładniejszego zbadania jej jako zjawiska procesu biologicznego. Miało to znaczenie dla zapewnienia chirurgom zajmującym się transplantacją, warunków dla szybkiego wykonania zabiegu. Rodziły się kolejne pytania i problemy: kiedy można człowieka uznać za zmarłego, kiedy można pobrać organ do transplantacji?

Z drugiej strony, te same pytania miały jednak inny aspekt. Kiedy można przerwać zabieg zmierzający do ożywienia chorego? Kiedy trzeba je podjąć? Jakże to warunki skuteczności działań reanimacyjnych?

Ponieważ problemy, o których mówimy, są trudne i złożone, lepiej, gdy przewodnikiem naszym w temacie będzie specjalista. Poprosiliśmy o to kierownika Zakładu Anestezjologii i Reanimacji Instytutu Chirurgii Akademii Medycznej w Łodzi — dr med. Janusza Wara-Wasowskiego.

— W medycynie to, co potocznie nazywamy reanimacją, określane jest jako resuscytacja. Reanimacja, to przywrócenie do życia, po udanej reanimacji mamy do czynienia z człowiekiem całkowicie zdrowym i zdolnym do życia w sensie fizycznym i psychicznym.

Natomiast resuscytacja to tylko część reanimacji. Pod tym pojęciem rozumie się zabieg, który w sposób sztuczny mają zastąpić najważniejsze funkcje życiowe organizmu — oddychanie i krążenie, aż do czasu, kiedy czynności te powrócą, lub do chwili, gdy nieodwracalnie nastąpi śmierć.

— Są to działania podejmowane w momencie nagłego zagrożenia życia... — Z faktem takiego zagrożenia możemy spotkać się wszędzie — na ulicy, plaży, w kinie, teatrze czy... szpitalu. Światowa Organizacja Zdrowia określiła pięć objawów śmierci: błądność lub sinosć skóry, brak oddychu, brak świadomości, brak tętna na tętnicach szyjnych i szerokie źrenice.

Oczywiście nie trzeba znajdować wszystkich tych objawów. Wystarczy stwierdzić co najmniej trzy z nich, aby uznać człowieka za znajdującego się w stanie zagrożenia życia, a tylko jeden z nich — by nad człowiekiem tym rozłożyć specjalną opiekę, gdyż w każdej chwili może stać się on przedmiotem zabiegów resuscytacyjnych.

— Od wielu lat toczy się dyskusja specjalistów nad problemem śmierci i roli, jaką spełnia w niej czas. Kiedy można uznać człowieka za zmarłego i zaniechać pomocy?

— Odpowiedź na to pytanie jest całkowicie jednoznaczna. Jeżeli znajdujemy się w warunkach pozaszpitalnych i jeśli nie ma tak wyraźnych objawów niedowracalnego zgonu, jak zeszytnienie pośmiertne lub plamy opadowe, powinniśmy podjąć postępowanie reanimacyjne, czekając na stwierdzenie zgonu przez fachowca, a więc lekarza.

— Ale kiedy jesteśmy w stanie rzeczywiście pomóc?

— Wszyscy autorzy stwierdzają zgodnie, że śmierć nie jest zjawiskiem, lecz procesem. Rozmaite narządy, tkanki organizmu ludzkiego, nie umierają jednocześnie. Najwrażliwsze na zjawisko braku tlenu, spowodowane zatrzymaniem akcji serca, są komórki kory mózgowej, które umierają już w 3 do 5 minut od chwili zatrzymania akcji serca. Jedynym wyjątkiem są tutaj chorzy, u których śmierć łączy się z niską tempe-

raturą otoczenia — zamarznięcie, utopienie w chłodnej wodzie, lub którzy znajdowali się pod działaniem niektórych leków, m.in. barbituranów. W tych okolicznościach zjawisko śmierci kory mózgowej zachodzi znacznie wolniej.

Z tym zasadniczym faktem wiąże się stwierdzenie, że zbyt późno podjęte czynności ratownicze mogą oznaczać przywrócenie do życia serca i oddychu, ale móż pozostanie martwy i człowiek ten nie będzie nadawał się do życia psychicznego.

— Co przez to rozumiemy?

— Będzie po prostu nadal nieprzytomny, lub może odzyskać przytomność, ale zostanie bardzo ciężko okaleczony psychicznie. Właśnie dlatego przy rozpoczynaniu czynności ratowniczych starajmy się przystąpić do nich jak najszybciej bez względu na przyczynę zachorowania. Pierwsza pomoc jest bowiem zawsze taka sama w każdym przypadku.

— Co należy rozumieć pod używanym obecnie powszechnie określeniem — śmierci klinicznej?

— Wprowadzone ono zostało właśnie przez profesora Niegowskiego i określa wszystkie zmiany zachodzące w organizmie człowieka od chwili zatrzymania akcji serca i oddychu, aż do chwili wystąpienia nieodwracalnych już zmian w korze mózgu, a więc w okresie wymienionych tu wyżej 3—5 minut.

Śmierć kliniczna jest więc uważa-

nym można było mówić o warunkach dla intensywnej terapii, stał się w 1965 r. Oddział Leczenia Ostrego Zatrucia Instytutu Medycyny Pracy. Ukierunkowany był jednak wyłącznie na zatrucia. Wszyscy inni pacjenci leczeni byli na normalnych oddziałach macierzystych szpitali.

Problemem kwalifikowanej pomocy w stanach zagrożenia życia z możliwością jak najszybszej pomocy, zajęto się w dwa lata później w Pogotowiu Ratunkowym. Kierował nim wówczas dr Jan Matczak. System organizacyjny tam opracowany, upożyczony jest obecnie w całym kraju.

Stroną fachową zajmował się wtedy starszy anestezjolog Pogotowia, dr Andrzej Kieruczenko i ośmiu innych anestezjologów o najwyższych kwalifikacjach. Pierwsza karetka reanimacyjna wyjechała w miasto w styczniu 1968 roku.

Kolejnym krokiem było zarządzenie dyrektora Wydziału Zdrowia w sprawie przygotowania warunków na przyjęcie chorych z karetek reanimacyjnych w każdej izbie przyjęć szpitali łódzkich.

Wzorem organizacyjnym nie mieliśmy, więc wyposażenie karetki „R” początkowo wykonywane było chałupniczo. Ogromne zasługi położyła przy tym Łódzka Komenda Straży Pożarnej, której pracownicy dokonali rekonstrukcji samego samochodu, a z kilku starych aparatów ra-

oddział powstał w Szpitalu Klinicznym AM nr 1, czyli Szpitalu Bartłomieja Dział, polimiczny: „Barlicki” — 6—8 łóżek, „Jonseher” — 7 i 14 o profilu kardiologicznym, „Kopernik” — największy oddział, usytuowany przy bloku operacyjnym, a także do niedawna największy w Polsce Oddział Intensywnej Terapii Dziecięcej w Instytucie Pediatry przy ul. Sportowej. Cztery łóżka są w Zgierzu, osiem w szpitalu MSW, organizuje się także oddziały w Szpitalu Klinicznym WAM i w nowym szpitalu w Pabianicach.

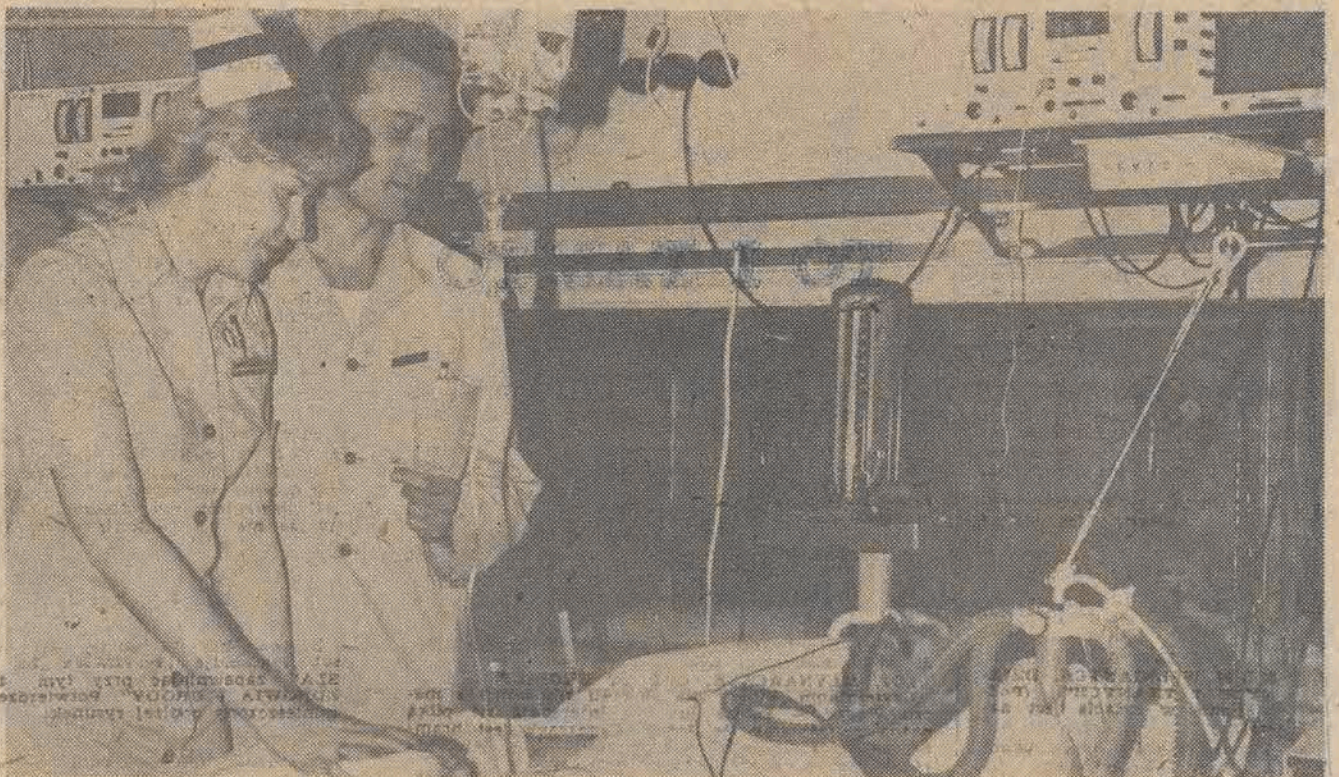
Istnieją również oddziały specjalistyczne. Kooperacyjne są w większości oddziałów zabiegowych województwa, dwa największe w klinikach kardiologii i chirurgii gastroenterologicznej AM. Jest sześć oddziałów kłóści kardiologicznych, jeden w Klinice Chorób Zakaźnych AM. Organizuje się oddziały w szpitalach im. Sonenberga i Pasteura.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że mamy tych łóżek wiele. Przyjrzywszy się jednak uważnie, można stwierdzić, że tak nie jest. Sporo jest łóżek wyspecjalizowanych, ale w intensywnej terapii ogólnej — bardzo mało. Na przykład największa z łódzkich dzielnic — Bałuty — nie ma ani jednego takiego łóżka, a ideałem jest istnienie 6—8-łóżkowego oddziału w każdej dzielnicy. Mamy więc sporo zaległości, choć z drugiej strony, w zakresie szeroko rozumianej organizacji intensywnej terapii i reanimacji, zrobiliśmy dotąd najwięcej w kraju.

* * *

Podczas jednego z ostatnich zjaz-

CZTERY MINUTY



W oddziale intensywnej terapii

Foto: R. Łucyszyn

na za zjawisko odwracalne, czego dowodem są dziesiątki tysięcy ludzi „znów” żyjących na całym świecie, także i w naszym mieście.

Proces, od momentu, kiedy mózgu nie można już przywrócić do życia, aż do chwili obumarcia ostatniej komórki człowieka określa się jako śmierć biologiczną, która uważana jest za zjawisko nieodwracalne.

* * *

O życiu lub śmierci człowieka decydują zatem sekundy. Sekundy składające się na cztery minuty, w których można i trzeba podjąć akcję ratowniczą. Jakże to niewiele...

Podstacja energetyczna na Teofilowie w Łodzi. Pracownik elektrowni został rażony prądem o napięciu 15 tys. V — wydawało się, że zginął na miejscu. Gdy dotarła doń karetka reanimacyjna, lekarz stwierdził prawidłowo przeprowadzoną akcję reanimacyjną i chory, żyjący, choć z rozległymi obrażeniami, znalazł się w szpitalu. Tym razem ludzie ręce — ręce najbliższych kolegów — okazały się silniejsze od śmierci.

Użyliśmy tu określenia — karetka reanimacyjna. Mało kto wie, że Łódź była pierwszym miastem w Polsce, na którego ulicach pojawiły się te specjalnie oznakowane i wyposażone samochody Pogotowia Ratunkowego. Gwoli ścisłości, nieco wcześniej, pierwsza taka karetka pojawiła się we Wrocławiu, ale sprawa reanimacji nie przybrała tam tak szerokich form organizacyjnych.

Jak wyglądała łódzka historia reanimacji? Raz jeszcze oddajmy głos dr J. Wara-Wasowskiemu:

— Problemem tym zaczęliśmy się interesować jeszcze w r. 1960, pracując w Klinice Neurochirurgicznej. Zaraził nas nim profesor Szapiro. Leczyliśmy wtedy dwie pacjentki. Pierwsza była ze szpitala M. Skłodowskiej-Curie. Żyła tylko trzy miesiące. Natomiast druga, ze szpitala w Tuszynie, udało nam się uratować. I to był pierwszy sukces.

Pracowaliśmy wtedy w niewielkim zespole: obecny profesor Brzeziński, doktor Bekier, mgr biologii Małgorzata Szulc-Polak, no i ja. Wzywano nas do różnych wypadków nagłych zachorowań. Właściwie pierwszym w Łodzi oddziałem szpitalnym, w któ-

towniczych zmontowali pierwszy respirator — aparat do sztucznego oddychania.

W drugiej połowie 1968 roku rozpoczął pracę drugi zespół reanimacyjny, o profilu kardiologicznym, a w kwietniu 1969 roku powstał scentralizowany Zakład Anestezjologii AM w Łodzi, którego pracownicy włączyli się do pracy w karetkach i podjęli badania naukowe. Zespół naukowców z dziedziny anestezjologii i reanimacji w łódzkiej uczelni medycznej jest dziś jednym z aktywniejszych w kraju.

* * *

Ze wspomnień lekarza pracującego od szeregu lat w zespołach „R” łódzkiego Pogotowia:

— Wezwano nas do pacjenta, który wyleciał z okna czwartego piętra na betonowe podwórze. Pojechalismy bez „gwizdka”, no bo co tu zbierać? Przybyliśmy na miejsce, nie mogliśmy jednak znaleźć ofiary wypadku. Dopiero po jakimś czasie podeszła 10-letnia chybła dziewczynka i powiedziała: „Jeśli zniknie tego pana, co spadł z okna, to on właśnie poszedł na górę”. Podeszliśmy schodami i pod drzwiami zastaliśmy młodego dość człowieka w koszulce gimnastycznej i granatowych majteczkach, siedzącego pod drzwiami. Mama go zamknęła, a on chciał pść i pomylił drzwi z oknem! Dokładnym badaniem nie stwierdziliśmy żadnych obrażeń. Okazało się, że zleciał na jedną w podwórzu kupałkę piasku. Wkrótce jednak zaczęło go opanować. Trzy dni później przeziębiał się, spadł z łóżka i zniknął trzy zebra... Wezwano kiedys nasz zespół do siedmioosobowej rodziny (w niej do pięciu dzieci), zatrutej czadem w mieszkaniu. Wszystkich udało się uratować. Był to najpracowitszy dzień i noc w moim życiu.

* * *

W początkowym okresie łódzkie karetki „R” miały wiele wyjazdów typu konsultacyjnego. Posiadały przecież rzadkie wyposażenie — m.in. aparaty do leczenia prądem elektrycznym zaburzeń w pracy serca — a właśnie defibrylator. Wzywano też karetkę do szpitali, celem pomocy w reanimowaniu chorych.

Profil i liczba pacjentów leczonych przez zespoły reanimacyjne Pogotowia postawiły przed łódzką służbą zdrowia problem specjalnych oddziałów intensywnej terapii zajmujących się leczeniem w stanie zagrożenia życia. Pierwszy taki

dół międzynarodowych, któryś z amerykańskich specjalistów powiedział do członków delegacji polskiej: Albo jesteście najbogatszym, albo najbardziej rozrzuconym krajem świata! Kto to słyszał, żeby lekarze jeździli w karetkach? Kogo stać na takie koszty?

Było w tym zarzucie wiele racji. W Stanach Zjednoczonych, w Skandynawii i wielu innych krajach świata, w karetkach reanimacyjnych nie jeżdżą lekarze. Właściwie, w wielu z tych krajów nie ma czegoś takiego, jak karetka reanimacyjna. Natomiast w zestawie do udzielania pierwszej pomocy, nawet łącznie z aparaturą do prowadzenia mechanicznego masażu pośredniego serca, wyposażone są wszystkie samochody straży pożarnej, wszystkie samochody policyjne, wozy pogotowia technicznego, no i oczywiście karetki sanitarne.

System niesienia pierwszej pomocy oparto na podziale czteroosobowym: A — (airway) — udrożnienie dróg oddechowych, B (breathing) — oddychanie, C — (circulation) — krążenie, D — defibrylacja, diagnoza, leki i definitywne leczenie. Pierwszych dwóch można i powinno się nauczyć dosłownie każdego człowieka. A więc w razie wypadku będący najbliższą ofiarą człowiek może i powinien podjąć te czynności. Z kolei pierwsze trzy zakresy czynności dobrze zna nieco większa grupa ludzi, ci, którzy pierwsi dotarą na miejsce wypadku. Stąd aparatura i potrzebne umiejętności u policjantów, strażaków itp. przedstawiceli służb społecznych, grupa objęta symbolem „D” znajduje się już w gestii wysoko kwalifikowanego personelu pielęgniarskiego i lekarskiego w szpitalach.

Jest to system najtańszy i najsprawniejszy zarazem w działaniu. Czy nie zdajemy sobie z tego sprawy? Oczywiście, tak! Wprowadzenie go w życie wymaga jednak przede wszystkim czasu!

Po pięcioletnich doświadczeniach łódzkich karetek „R”, zwrócono uwagę właśnie na problem ujednolicienia szkolenia służby zdrowia oraz wszystkich tych grup społecznych, które mają pierwszy kontakt z ofiarami wypadków — milicją, strażą pożarną, ratownikami i w ten sposób w październiku 1973 roku narodziła się przy Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Łodzi — pierwsza w Polsce i w krajach demokracji ludowej, a w ogóle w tej

formie pierwsza w Europie: Szkoła Ratownictwa.

Jej wykładowcami zostali ludzie od szeregu lat pracujący w zespołach reanimacyjnych. Dzięki funduszom ofiarowanym przez związki zawodowe, zakupiono unikalne w świecie wyposażenie. Zresztą Związek Zawodowy Włókiarzy po dziś dzień jest głównym sponsorem szkoły.

Przy placówce tej powstała rada programowa, zajmująca się tworzeniem programów szkolenia właściwych dla poszczególnych grup zawodowych. Dzięki funduszom ofiarowanym przez związki zawodowe, zakupiono unikalne w świecie wyposażenie. Zresztą Związek Zawodowy Włókiarzy po dziś dzień jest głównym sponsorem szkoły.

Mówiliśmy dotąd o Łodzi, ale problem ten dotyczy całego kraju. Z naszego regionu — w Piotrkowie są dziś dwie karetki „R”, z początkiem nowego roku szkolnego „ruszy”

LESZEK RUDNICKI

OCHRONA ŚRODOWISKA

Walory środowiska naturalnego stają się dzisiaj coraz bardziej istotnym składnikiem nieekonomicznych wartości określających warunki i jakość życia społeczeństw, a zarazem coraz bardziej znaczącym kryterium postępu społecznego. Postępujący proces uprzemysłowienia i urbanizacji pociąga za sobą zniszczenie bądź zubożenie tych walorów, a nawet taką degradację środowiska, że jego jakość staje się poważnym utrudnieniem dla normalnego funkcjonowania człowieka, a często stanowi zagrożenie dla jego życia i rozwoju. Zanieczyszczenia przyrody przybierają na sile, lokalne zniszczenia środowiska przechodzą w zniszczenia krajowe, a nawet globalne.

Ochrona środowiska naturalnego stoi dzisiaj w całej ostryści przed wszystkimi społeczeństwami bez względu na ich ustrój polityczny. Wyzwanie w postaci tzw. granic wzrostu jest największym z tych, na jakie społeczeństwa w procesie swego rozwoju muszą odpowiedzieć.

Niekorzystne zmiany w jakości środowiska nasilają się głównie w wysoko rozwiniętych krajach kapitalistycznych. W niektórych z tych krajów jego zanieczyszczenie, będące wynikiem masowej produkcji, sięga apokaliptycznych wręcz roz-

zasada: „produkuj więcej, niż jesteś w stanie spożyć, żebyś mógł produkować jeszcze więcej”, a także lansowana koncepcja „społeczeństwa wyrzucania” (throw away society) forsowana jako przejaw społeczeństwa dobrobytu (affluent society) — społeczeństwo obfitości — prowadzi do ekologicznie błędnych decyzji.

W przeszłości, kiedy oddziaływanie produkcji na przyrodę było ograniczone i przyroda sama rekompensowała powodowane przez tę produkcję zniekształcenia ekologiczne, być może taki rachunek był wystarczający. Dzisiaj, kiedy znacznie wzrosły wtórne i jeszcze dalsze oddziaływania produkcji na przyrodę i kiedy wytraca ona coraz bardziej zdolność do usuwania odpadów, ograniczenie się do bezpośrednich nakładów i rezultatów daje nie tylko niepełny, ale często fałszywy obraz działalności.

Realizacja postulatów ochrony środowiska w gospodarce kapitalistycznej popada też w konflikt z innymi celami gospodarczymi. W ostatnim okresie na przykład, w polityce wewnętrznej państw kapitalistycznych wysuwa się na czoło walka z inflacyjnym wzrostem cen. W wyniku zastosowania środków ochrony środowiska rosną zazwyczaj ceny towarów. W następstwie, więc

środowiska swoim następcą.

Gospodarka socjalistyczna dysponuje pełnymi możliwościami stosowania ekonomicznej zasady oszczędności. Ale muszą to być oszczędności wynikające z rzeczywistości racjonalnych przesłanek, z właściwie pojmowanego celu produkcji społecznej, a nie z wąskiego „ekonomizmu”, sankcjonującego ekonomiczną podbój przyrody.

Oszczędzanie na ochronie przyrody, jako postępowanie typowe dla przedmiotów gospodarczych w kapitalizmie, nie może i nie powinno stanowić u nas źródła akumulacji środków dla przyspieszenia rozwoju gospodarki i postępu społecznego. W naszym systemie działalność gos-

ustawodawstwo. Na przykład ustawa z dnia 31 stycznia 1961 roku o planowaniu przestrzennym wyraźnie określa, iż jego celem jest „stworzenie... warunków dla ochrony naturalnych bogactw i walorów przyrodniczych kraju”. Jednakże ani ta ustawa, ani wydane na jej podstawie różne akty wykonawcze nie były w stanie, jak tego dowodzi praktyka, uczynić w pełni zadość potrzebie ochrony naturalnego środowiska człowieka. Sposoby działania jednostek gospodarczych w tym zakresie w wielu jeszcze przypadkach do dziś nie nadążają, niestety, za potrzebami życia i nie zapewniają racjonalnego korzystania z poszczególnych składników tego śro-

do mikroekonomicznym rachunkiem przedsiębiorstw i gospodarstw domowych. Przy podejmowaniu decyzji inwestycyjnych w rachunku ekonomicznym winny być uwzględnione nie tylko koszty ochrony przyrody, ale i zabezpieczenia trwałości użytkowania jej zasobów.

Opinia publiczna domaga się od ekonomistów opracowania rachunku ekonomicznego, który obejmowałby wszystkie elementy środowiska przyrodniczego oraz włączenie problemów ekologicznych do teorii wzrostu gospodarczego. Zgłaszane są także postulaty opracowania modeli ekonomicznych ochrony środowiska, których celem byłoby skonstruowanie takich mechanizmów, które oddziałując na podmioty gospodarcze, skłaniałyby je do niepojemowania działań naruszających równowagę biologiczną.

Pełne włączenie do analizy ekonomicznej kosztów pośrednich „biologicznych” — to jeszcze kwestia przyszłości. Przejście społeczeństwa od cywilizacji technicznej do cywilizacji biologicznej, w której produkcja ropy trwałej będzie w nieodłącznym powiązaniu z procesem rozwoju życia w przyrodzie nie wydaje się też być w zasięgu żyjących pokoleń. Toteż, nie czekając na kompleksowe rozwiązania ekonomistów, należy szeroko korzystać z istniejących już instrumentów ekonomicznych i prawnych (z systemu zachęt i sankcji), albowiem instrumenty te, choć mniej precyzyjne, gdy będą stosowane konsekwentnie, są w stanie uchronić środowisko przed dalszą degradacją.

Ochrona przyrody stawia wysokie zadania także środowisku technicznemu: technikom, technologom i architektom, odpowiedzialnym za inwestycje. Winni oni traktować inwestycje ochronne jako nieodłączny komponent programów inwestycyjnych niezależnie od charakteru i dziedziny inwestowania. Na przykład koszty utylizacji odpadów powinny być uwzględniane w kosztach inwestycji podstawowych jako nakłady bezpośrednie, bądź towarzyszące. Tworząc nowe procesy technologiczne, technolodzy powinni dążyć do usuwania źródeł zanieczyszczeń, a nawet opracowywać takie technologie, które byłyby podporządkowane wymogom środowiska naturalnego (technologie opierające się na symulacji procesów naturalnych), czy też umożliwiały przeróbkę odwrótną (recycling). Architekci, odpowiedzialni za modelowanie przestrzeni, powinni tak kierować rozmieszczeniem inwestycji (przy współudziale ekonomistów), by nie prowadziły one do skutków, które skazywałyby przyszłe pokolenie na jeszcze trudniejsze niż obecnie warunki ekologiczne.

Sprawy ochrony przyrody należy więc rozpatrywać w całym ich kompleksie — interdyscyplinarnie, poddając je analizie systemowej i włączając do tej analizy mechanizmy nauk przyrodniczych, technologicznych, ekonomicznych i społecznych.

Ochrona środowiska powinna być udziałem wszystkich ludzi. Każdy winien sobie uświadomić, że człowiek jest nie tylko przedmiotem, ale i obiektem żywej przyrody i jako integralny składnik biocenozy, ingerując w jej sferę nie może i nie powinien niszczyć środowiska, w którym przebiega jego własne życie i życie innych ludzi, lecz dostosowywać swoje cele do możliwości tego środowiska i środowisko to aktywnie kształtować, zachowując stworzony ład i harmonię. W tym zakresie potrzebna jest zmiana tradycyjnego sposobu myślenia i wyeliminowanie zakorzenionych u wielu jeszcze ludzi przekonań, iż ziemia istnieje przede wszystkim po to, aby ją człowiek ujarzmił. Prawda ekologiczna jest zupełnie inna. Istnieje bowiem granice ingerencji człowieka w sferę przyrody, których przekroczenie może spowodować ją do odwetu. Zakłócenie subtelnej równowagi w przyrodzie w wyniku nierozważnej ingerencji może wywołać serie groźnych zmian, które mogą być bardzo przykre dla człowieka jako istoty biologicznej i społecznej.

Świadomość tego faktu niezbędna jest nie po to, aby wzdychać za przeszłością i usiłować powstrzymać postęp, ale po to, aby rozumnie ułomić się od niepotrzebnych strat, by działalność gospodarczą nie przeciwstawiała przyrodzie, lecz kontynuować jej rozwój na jakościowo nowym poziomie. Toteż do zasadnych środków ochrony środowiska ówczesniśmym podejściem z dużą rozważa, aby nie powtórzyć błędów, które popełniło wiele krajów gospodarczo rozwiniętych, lecz utrwalili dotychczasowe jego walory i zabezpieczyć na przyszłość taką jego jakość, by stworzone zostały warunki dla zaspokajania potrzeb najszerzej rozumianego rozwoju społecznego i koniecznej dla tego rozwoju ekspansji gospodarczej. Owa rozważa, wprowadzenie do nauk ekonomicznych i społecznych ekologicznego sposobu myślenia są konieczne, aby mieć gwarancję, że dysponujemy realną kontrolą nad procesami własnego postępu.

JÓZEF PENC

NAD RZEKĄ W CINIU DRZEW



Foto: W. Parys

miarów. Literatura traktująca o ochronie przyrody dostarcza wielu świadectw wskazujących na ogrom tych zanieczyszczeń. Współczesna technika obarcza przyrodę całym balastem substancji odpornych na rozkładanie się i zatrzuwa w ten sposób stworzenia towarzyszące człowiekowi, nie mówiąc o nim samym. Na balast ten składają się smog, puszki aluminiowe, które nie rdzewieją, organiczne tworzywa sztuczne, które mogą przetrwać dziesiątki lat, unosząca się na powierzchni oceanów ropa naftowa, która może zmienić ich współczynnik ciepła, a także odpady materiałów promieniotwórczych, których toksyczność rozciąga się na setki lat. Prawdziwa skala tych zanieczyszczeń nie jest znana. Trudno jest też określić ile czasu i wysiłku będą potrzebowały społeczeństwa dla odzyskania spalonego tlenu, przywrócenia czystości wód, uwolnienia się od pozostałości w los przypadku trujących środków chemicznych i substancji radioaktywnych, dla zmiany krajobrazów zasnutych śmieciami, czy smetne obrazu pozbawionych lasu obszarów. Wiele z poniesionych strat nie da się już w ogóle odrobić.

Wine za ten stan rzeczy ponoszą nie tylko przedsiębiorcy kierujący się zasadą racjonalnego gospodarowania — rozumiana bardzo wąsko, którzy starają się pomniejszyć koszty własne wytwarzania poprzez przetrzymywanie poważnej części kosztów ochrony przyrody na rzecz kosztów społecznych. Wobec stawiania przez ustawodawstwo coraz większych wymagań odnośnie stosowania uczciwych technologii obarczają oni tymi kosztami kraje rozwijające się, wywołując tam niekiedy całe zakłady przemysłowe. „Dziś kraje te dla pozyskania kapitału godzą się nawet na rozwiązania niszczące ich środowisko. Dla przedsiębiorców z krajów rozwiniętych taki eksport jest wyspoczątkiem. Technologia nie chroniąca środowiska na mniej kosztowne, co w połączeniu z bardzo niskimi kosztami robociznymi, umożliwia osiawanie wysokich zysków. Dla krajów rozwijających się oznacza to nowa forma neokolonializmu, „neokolonializm ekologiczny”.

Nie bez winy są tutaj także ekonomiści burżuazyjni, którzy zajmując apologetyczne stanowisko wobec celu i metod produkcji kapitalistycznej, starają się usprawiedliwić ten gwałt zadawany przyrodzie, tłumacząc go jako cenę, którą muszą zapłacić społeczeństwa za przyspieszony rozwój i zamożność. Burżuazyjna ekonomia, formułując wyobrażenia o bogactwie narodowym, produkcie społecznym, tempie rozwoju i wzroście dobrobytu, w dalszym ciągu korzysta ze wskaźników przeciwstawiających bezpośrednie nakłady i bezpośrednie rezultaty, niezależnie od zmian ekologicznych. Upowszechniona w praktyce

walka z zanieczyszczeniami działa w pewnym stopniu inflacyjnie.

W krajach socjalistycznych, z racji szerokiej możliwości kompleksowego, makroekonomicznego planowania, następstwa przyspieszonego rozwoju nie mają tak niszczącego charakteru. Niemniej i tutaj zaczyna się ujawniać ciemne strony tego procesu i jakkolwiek w ustroju socjalistycznym utylizację gospodarczą nie jest podobną do zachłannego utylizizmu kapitalistycznego to jednak i my również ponosimy straty w wyniku nierozważnej ingerencji w sferę przyrody i nie zawsze właściwego rozumienia przez podmioty gospodarcze wagi skutków, które ich działania może spowodować.

Obecnie jeszcze, jakkolwiek silnie akcentuje się konieczność ochrony całości środowiska jako integralnego czynnika rozwoju społeczno-gospodarczego, nie zawsze w teorii i praktyce docenia się dostatecznie istniejące sprzężenia zwrotne pomiędzy prawidłowym jego kształtowaniem, a efektywnością gospodarowania i postępow społecznym. Dominująca tendencja ciągłego wzrostu, której podporządkowuje się niemal wszystkie podległości gospodarcze, powoduje, że nie zawsze dalekowzrocznie i właściwie ocenia się możliwości i formy spełniania podstawowego celu, jakim jest zaspokojenie potrzeb społecznych, m.in. w zakresie ochrony i kształtowania zdrowego środowiska. Toteż w konsekwencji dochodzi niekiedy do poważnych rozbieżności pomiędzy potrzebami w tym zakresie, a decyzjami lokalizacyjnymi i działalnością jednostek gospodarczych. Przedsiębiorstwa, kierując się względami rentowności, ograniczają wydatki na ochronę przyrody, pomniejszając tym samym własne koszty produkcji, a zwiększając społeczne koszty swego funkcjonowania. W konsekwencji narażają społeczeństwo na różne straty i przykrości związane z naruszeniem równowagi biologicznej w środowisku, zubożeniem jego wartości wypoczynkowych, estetycznych itp.

Oczywiście społeczeństwo reaguje na te nieprawidłowości, lecz reakcja ta jest mało skuteczna. W praktyce zazwyczaj umarza się większość spraw o naruszenie środowiska z uwagi na preferencje interesu gospodarczego (stan wyższej konieczności). Tym samym toleruje się i „rozgrzesza” niejako marnotrawienie społecznego bogactwa, a zarazem godzenie w interes społeczny. Dawała przeważi interesom gospodarczym nad interesami ochrony środowiska wynika u nas z zakorzenionego poglądu, że interesy produkcji to sprawa dnia dzisiejszego, zaś interesy ochrony środowiska — to sprawa jutra. Dobry gospodarz kształtując „dzis” dba o „jutro”, a więc uzyskując korzyści ekonomiczne, stara się zachować walory śro-

podarza przedsiębiorstwa, jako części jednolitego organizmu — gospodarki narodowej, prowadzona jest na rachunek społeczeństwa jako całości. W związku z tym to, co jest społecznie użyteczne, winno być ujmowane w kategoriach efektów przedsiębiorstwa. Przedsiębiorstwo zatem nie może i nie powinno odpowiadać tylko za produkcję, a więc ograniczać swą działalność do wytwarzania potrzebnych społeczeństwu dóbr czy świadczenia usług. Powinno ono także unieszkodliwiać możliwie najpełniej uboczne „produkty” swego funkcjonowania. W trosce o stałe podnoszenie efektywności produkcji, przedsiębiorstwa, dokonując warunków pracy i socjalne wagi założeń, nie mogą zapominać o ochronie przyrody. Zapewnienie higienicznych warunków pracy nie wystarcza już dzisiaj dla ochrony zdrowia pracowników, jeśli w środowisku, w którym żyją, brak będzie czystej wody i powietrza, jeżeli nie będą oni mieć warunków dla regeneracji siły po pracy. Zanieczyszczenie atmosfery powoduje rozproszenie i absorpcję światła słonecznego, zmniejszenie intensywności promieniowania ultrafioletowego (sprzyja tym samym wzrostowi bakterii w powietrzu), hamuje rozwój roślinności, sprzyja krzywiczy u dzieci, powoduje choroby układu oddechowego i krążenia, choroby oczu, choroby alergiczne itp. Wszystko to wpływa ujemnie na stan zdrowia mieszkańców i utrudnia zachowanie pełnowartościowej zdolności do pracy, a także przeżywanie swego wolnego czasu na wysokim poziomie aktywności życiowej.

W naszym kraju rozmiary zniszczeń zasobów przyrodniczych nie są tak duże jak w krajach kapitalistycznych, niemniej zaczynają być już groźne. Znaną są powszechnie przykłady zanieczyszczenia wody i powietrza powodowane przez zakłady chemiczne, cementownie i inne. Wiele zakładów, bądź ze względu na niewłaściwą lokalizację, bądź z powodu braku odpowiednich inwestycji towarzyszących, zagraża środowisku naturalnemu, niszcząc jego walory krajobrazowe i rekreacyjne. Rozmiar ponoszonych z tego tytułu strat trudno jest określić w wymiernych wielkościach. Wiele z nich ma charakter wartościowania nieekonomicznego i zależy od znaczenia, jakie nadaje społeczeństwo różnym składnikom środowiska.

Najogólniej straty te można podzielić na bezpośrednie, polegające na utracie surowca lub zmniejszeniu się dyspozycyjności zasobów (np. zanieczyszczenie wód, skażenie powietrza itp.) i pośrednie ujawniające się w przekształcaniach innych, bezpośrednio nie naruszonych elementów środowiska (np. niszczenie roślinności wskutek skażenia powietrza, w pogarszaniu się stanu zdrowotnego społeczeństwa i jego republikach (np. wzrost absencji chorobowej, spadek wydajności pracy, wcześniejsze przejście na rentę, wzrost wydatków na leczenie i profilaktykę itp.), a także w zmniejszaniu trwałości i produktywności rzeczowych czynników produkcji (np. konieczność dokonywania częstych remontów i wymiany urządzeń, ponoszenia dodatkowych nakładów inwestycyjnych itp.).

Według wstępnych szacunków łączne straty spowodowane naruszeniami powietrza i wód w naszym kraju szacuje się na ok. 15—20 mld. zł rocznie, to jest w przybliżeniu tyle, ile na inwestycje w zakresie ochrony powietrza i wód przeznaczaliśmy w ubiegłym pięcioleciu.

Państwo nasze przejawia ogromną troskę o ochronę zasobów przyrodniczych. Znalazło to wyraz zarówno w szeregu aktów normatywnych jak w konkretnych przedsięwzięciach inwestycyjnych. W zakresie ochrony przyrody mamy postępowe

wiska. Również i stosowane urządzenia techniczne mimo nawet stalego doskonalenia nie chronią należycie środowiska.

Sprawa ochrony przyrody znalazła swój wyraz w wielu dokumentach najwyższej rangi. Jest ona mocno akcentowana w naszej Konstytucji, w uchwałach trzech kolejnych zjazdów partii i wreszcie w uchwalonej ostatnio ustawie o ochronie i kształtowaniu środowiska. Opracowany został także plan ochrony środowiska do 1990 r., który stanowi integralną część generalnego programu polityki społeczno-ekonomicznej państwa. W ramach tego planu zakłada się koncentrację wysiłku na kształtowaniu społecznie pożądanego jakości siedmiu podstawowych komponentów tego środowiska, a mianowicie: powietrza atmosferycznego, wody, powierzchni ziemi, roślinności, świata zwierzęcego, zasobów mineralnych, urbanizacji i życia w środowisku. Przewiduje się także duże wsparcie finansowe tych działań. Szacuje się, iż w 1990 r. wydatki na ochronę przyrody wyniosą około 4,5 proc. nakładów inwestycyjnych i około 2,1 proc. dochodu narodowego (wobec 2,9 proc. nakładów inwestycyjnych i ok. 0,6 proc. dochodu narodowego w 1970 roku).

Powzięte decyzje rokuja nadzieję likwidowania istniejących zaniedbań w dziedzinie ochrony środowiska i utrwalenia prawidłowej polityki jego kształtowania dostosowanej do rosnących potrzeb rozwoju gospodarczego i kształtowania wyższej jakości życia. Ich pełne uźródłowienie wymaga zarówno od naszej nauki jak i praktyki gospodarczej opracowania i stosowania takich metod gospodarowania, które pozwoliłyby łączyć wysoką efektywność ekonomiczną z troską o zachowanie wysokiej jakości środowiska człowieka. Konieczne jest przede wszystkim odrobienie zaniedbań w naszej teorii ekonomicznej. W teorii tej, jak wiadomo, formułuje się tezę, że produkcja społeczna podporządkowana jest ogólnemu celowi, który zakłada wykorzystanie jej wyników do zaspokojenia materialnych i pozamaterialnych potrzeb społeczeństwa. W praktyce gospodarczej natomiast cel ten wyraża się generalnie za pomocą tendencji do maksymalizacji dochodu narodowego, a więc w konsekwencji do przystroju dóbr materialnych i usług. Nie stanowi to jednak wystarczającego kryterium gospodarowania. Ocena rezultatów produkcji społecznej według stopnia przystroju efektów produkcyjnych jest nieścisła i może być wynikiem osiągnięcia doraźnych korzyści ekonomicznych bez uwzględnienia pośrednich kosztów działalności gospodarczej.

Określony program rozwoju gospodarki może zapewnić odpowiednio wysoki przystroj dochodu narodowego, ale następstwem tego mogą być negatywne skutki dla jego podziału, związane na przykład z degradacją bądź zniszczeniem naturalnego środowiska człowieka. W konsekwencji znaczna część przystroju tego dochodu będzie musiała być wydatkowana na sfinansowanie działań uprzedzających temu środowisku uprzednie wartości bądź też stwarzających nowe wartości. Wydatki te mogą pochłoniąć nawet znaczną część dochodu do podziału i tym samym ograniczyć możliwości w zakresie dalszego wzrostu akumulacji i konsumpcji.

Ekonomiści nasi winni więc dokonać społeczny rachunek produkcji, a funkcjonowanie gospodarki i poszczególnych jej ogniw rozpatrywać w „ścisłym powiązaniu z istniejącym ekosystemem, szerzej opierać rachunkiem makroekonomicznym i obejmować nim całokształt kosztów działalności inwestycyjnej i eksploatacyjnej społeczeństwa oraz ściślej związać go z

Ogólnowiatowe stosowanie badań prahistorycznych uczyniło możliwym wydobycie na światło dzienne przed-pisemnych kultur, pozwoliło też dostrzec różnorodność tworzonych przez człowieka cywilizacji. Nie można oglądać tej szerokiej panoramy bez refleksji dotyczących zarówno znaczenia tych dokonań dla nas samych jak i dla procesów dziejących się, a dających się zgłębić i rozwiązać przez prahistorię.

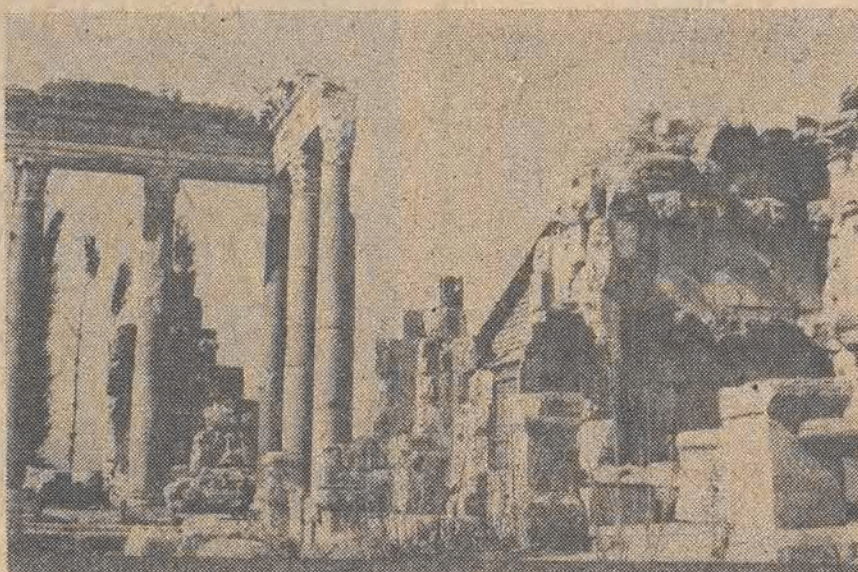
Prahistoria nie tylko dostarcza wspólnej platformy świadomości historycznej między ludźmi; nauka ta usuwa raz na zawsze myśl o oddzielaniu człowieka od innych gatunków, lub, inaczej się wyrażając, pomaga nam pełniej zrozumieć, w jakim sensie jesteśmy osobliwym, co prawda, lecz bezspornym — gatunkiem. Dzięki prahistorii człowiek, z jego materialnym aparatem techniki, samowiedzą w takich dziedzinach, jak etyka, religia czy filozofia, może być rozpatrywany jako wynik takiego samego ewolucyjnego procesu, za jaki uważamy od dawna zmiany innych form życia. W rzeczy samej zapis prahistorii pokazuje, że społeczeństwa o ludzkim charakterze wyselekcjonowały się i utrzymywały przy życiu przez zdobywanie atrybutów, które pomnażały ich samowiedzę. Atrybuty te członkowie społeczności ludzkiej przekazywali następnym generacjom, nie dzieląc ich z innymi zwierzętami.

Człowiek wywodzi się z natury, jest w punkcie wyjścia dany przez przyrodę jako pewien gatunek przyrodniczy o określonej konstytucji psychofizycznej. Różnica między człowiekiem a zwierzęciem ujawnia się w charakterze procedur przyswajania materiału przyrody przez człowieka. Ta procedura najbardziej charakterystyczna była praca. Cechą zasadniczą, różniącą przedmiotową czynność ludzką od zwierzęcej jest to, o ile zwierzę działa według zadanego z góry, biologicznie zdefiniowanego wzoru, człowiek czynność pracy wiąże z aktem świadomości, z myśleniem. Świadomość aktu pracy polega na tym, że podmiot najpierw ustanawia cel, który chce osiągnąć, a następnie, w oparciu o znajomość zależności przyrodniczych o charakterze przyczynowo-skutkowym dobiera środki, dzięki którym zamierzony cel może osiągnąć. Tak pojęta idea pracy, która dzięki prahistorii mogła być ujęta w filozoficzną formułę, stanowi fundamentalną zasadę, określającą zarówno charakter, bytu ludzkiego jak i jego genezę. Ewolucyjny proces istoty ludzkiej, ujawniony przez prahistorię, łączy w jedną całość rezultaty ręki i głowy ludzkiej.

W narzędziu pracy zawarta została jakby skamieniała myśl ludzkiej. Jego kształt, technologia wykonania i funkcja, ujawnia określony etap wzniesienia się przez daną społeczność lokalną w swoim rozwoju umysłowym. Wytwory poszczególnych społeczności informują nas nie tylko o osiągnięciach przez nie poziomie aktów myślowych, związanych bezpośrednio z czynnością materialno-produkcyjną, ujawniając stopień opanowania eksploatowanej przez nie przyrody, ale też odśladają, mniej lub bardziej fragmentarycznie, strukturę ich świata wartości. Na podstawie zachowanych szczątków wiemy bowiem nie tylko jak, ale też co dawne społeczności wytworzyły. O tyle, o ile wytwożyły przyrodzie nie naśladować pod względem formy twórców naturalnych — są przejawem wyborów aktów suwerennych, w których ujawnia się wolność ludzka.

Poczucie wolności związku czasu i miejsca jest szczególnie dla ludzkiego charakteru. William R. Dennes wyraził to następująco: istoty ludzkie wyzwoliły się z tyranii współczesności i lokalności, przyswoiły sobie doświadczenia innych wieków, innych narodów, zachowały i interpretowały swe własne obserwacje, przewidywały przyszłość i kierowały kształtowaniem jej.

Jedną z pierwszych dróg, na której istoty ludzkie dokonywały tego wyzwolenia, było poszukiwanie początków i ustalenie swej tożsamości. W tym kontekście prahistoria jest tak samo potrzebna, jak potrzebne są badania fizycznej natury czy matematycznych właściwości wszechświata, badania rozlicznych form życia, czy zajmowanie się sztuką i uprawianiem spekulatywnej filozofii. Znaczenie prahistorii polega i na tym, iż zdolna jest ona rozszerzać perspektywę dziejów w zgodzie z potrzebami współczesności. Nie jest to z pewnością zbieg okoliczności, że taka koncepcja tej nauki przybiera realny kształt wtedy, kiedy świat na przekór podziałom, zmierzając nieubłaganie np. do wspólnych form politycznych i gospodarczych, kiedy technologia tak bardzo zredukowała wymiar świata, kiedy obieg informacji jest tak szybki, a ponad wszystko — kiedy upowszechnienie naukowego sposobu myślenia rozprzestrzenia się na wszystkie, jakże



Ruiny świątyni w Baalbek (Liban)

JERZY KMECINSKI

PRAHISTORIA WSPÓŁCZESNYM

różne, cywilizacje ludzkie. Można by powiedzieć, że człowiek wytwarza taką koncepcję dziejów, jaka najlepiej harmonizuje z aktualnym życiem społeczeństwa.

Związek ludzkości z przeszłością wyraża się w ten sposób, że poszczególne grupy ludzkie są jakby skonstruowane z właściwości, które odziedziczyły z właściwej sobie swojej tradycji. Tradycyjna wiedza, która jest udziałem członków określonych, odrębnych społeczności, służy nie tylko podnoszeniu ich poczucia solidarności, lecz także do wyróżniania ich spośród innych.

Długo w historii ludzkości przestrzenie terytorialnej i historycznej świadomości były wąsko ograniczone. Znano gruntownie przestrzenie, po których poruszano się w celu zaopatrzenia w żywność, posiadano też już powierzchowną wiedzę o od-

leglejszych terytoriach, z którymi utrzymywano formy wymiany, lecz o wielkim zewnętrznym świecie nie miało na ogół pojęcia. To samo można odnieść do historycznej świadomości. Opowieści przekazywane były przez starców przy ceremoniach inicjacyjnych, w czasie których młodzi mężczyźni przyjmowali byli do dojrzałego społeczeństwa. Zazwyczaj wtedy informowani byli o tym, w jaki sposób przodkowie kształtowali zwyczaję plemienne, a także zapoznawani z charakterystycznymi cechami rodzinnego krajozobu. Informacje te, jako historia, były bardzo ograniczone, służyły jednak głównie podnoszeniu solidarności grupy, nadawaniu mocy obowiązującej społecznym instytucjom, a także środowisku plemienia. Innymi słowy zakres świadomości geograficznej i historycznej był równie i ściśle przystosowany do

warunków, a członkowie grup ludzkich wiedzieli, dlaczego należy być świadomym. Im większa stawała się grupa ludzka, tym większe na ogół zajmowała terytorium, dzieląc podobną kulturę i mając bardziej już rozległą świadomość historyczną. Im społeczeństwo staje się bardziej złożone, tym bardziej skomplikowana jest jego historia.

Jak wynika z poematów Homera, Rig-Vedy, eposów celtyckich czy germańskich, przez długi czas możliwe było ustne przekazywanie tradycji. W momencie pisemnego zakonowania historii, ludzie władający piśmem zyskali możliwość przeniknięcia w zewnętrzne obszary ich historycznej świadomości. Mimo tego świadomość nie rozciągała się dalej niż przestrzeń związana z interesami grupy: w tej dziedzinie podstawowymi wyróżnikami były określenia „my” i „oni”, „cywilizowani” i „barbarzyńcy”. Tam, gdzie zachowały się mapy, oddają one w sposób graficzny terytorialne dziedziny zainteresowań poszczególnych, dawnych społeczeństw. W wypadku ludów zamieszkujących interior, jak np. Babilończycy, była to przestrzeń ograniczona do macierzystego terytorium i pograniczy. Chłircy, mimo że poprzez różne okresy prowadzi handel z Zachodem drogą przez Azję wewnętrzną, czerpali bogactwa z handlu morskiego z Filipinami, Indonezją czy południowo-wschodnią Azją, żeby nie wspomnieć o kontaktach handlowych z Arabami poprzez porty południowych Indii i Cejlonu, byli z gruntu zorientowani śródlądowo i ksenofobiczni. U ludów żeglarskich wiedza geograficzna była dużo bardziej rozwinęta, np. Grecy posiadali wiedzę o całych wybrzeżach Morza Śródziemnego, europejskich wybrzeżach Atlantyku, Morza Czerwonego i Czerwonego, Zatoki Perskiej i Indii.

Wszystkie wczesne cywilizacje, czerpiąc bogactwa w różnej formie z handlu czy kolonizacji, były z gruntu zainteresowane tylko w tym właśnie i stawiały znak równości między świadomością historyczną a własnym działaniem. Fakt, że ekspansja Europejczyków na terytoria zamorskie, przyniosła w następstwie wielki wiek odkryć geograficznych, była spowodowana chęcią grabieży, nie wymaga komentarzy. Oczywiście Europejczycy pragnęli zdobyć złoto i inne dobra, lecz usiłowali również, z różnym stopniem gorliwości, narzucać swą religię, jak i swój polityczny system. Koncepcja narzucania jarzma przez białego człowieka wyrastała z przeświadczenia, iż jest on istotą najdoskonalszą. Jak to doświadczył powieściopisarz Graham Clark: „Jego misją było nawrócić pogan lub w ostateczności nauczyć ich grać w krykieta”. Białe człowiek chciał uformować innych na swoje podobieństwo.

Nie jest więc niczym dziwnym, że zaledwie kilka dziesiątków lat temu historia starożytna w ujęciu Europejczyków była jednoznaczna z historią człowieka biblijnego i klasycznego, że historia średniowiecza była identyfikowana z historią wypraw krzyżowych, zaś historia nowożytna była interpretowana jako historia państw europejskich i ich zamorskich posiadłości. Taka historia była niezaprzeczalnie europocentryczna, tak jak w klasycznej Grecji hellenocentryczna, zaś w Chinach sinocentryczna.

Anomalie te wtedy tylko stawały się oczywiste, kiedy Europejczycy, rozprzestrzeniwszy się po innych kontynentach, napotykali lokalne cywilizacje o wspaniałych, starożytnych tradycjach, lub części, kiedy hegemonia Europejczyków była odrzucana, nie uznawana przez nowo powstałe państwa. Jeszcze krótko przed tym, kiedy siły napędowe dziejów doprowadziły do upadku wielkie zamorskie imperia, historycy-prorocy, jak np. Oswald Spengler pod koniec I wojny światowej, zaś Arnold Toynbee w czasie drugiej wskazywali na ułomności historii europocentrycznej. Obaj byli ostro atakowani przez profesjonalnych historyków za skłonności do kształtowania historii przede wszystkim na wzór pseudofilozoficznych modeli. Jednakże każdy z nich na swój sposób przyczynił się do otwarcia perspektywy historii.

Toynbee ostrzegł: „nie powinniśmy w okresie potęg ekonomicznej i politycznej Europy zapominać, że w świecie europejska cywilizacja jest tylko jedną z wielu”. Dziś w pełni zdajemy sobie sprawę z relatywności europejskiego spojrzenia na historię.

W chwili obecnej konieczne jest szeroko rozumiane ujmowanie dziejów — takie, które umie pogodzić doświadczenia różnych wielkich piśmiennych cywilizacji ze społecznymi, które jeszcze kilka generacji wstecz były „prahistorycznymi”. Musimy ustanowić nowy rodzaj porządku świata; nie można tego jednak dokonać bez głębokiego wzajemnego zrozumienia. Nasze naukowe,

estetyczne, moralne i produkcyjne interesy wymagają dostrzegania, w głębokiej perspektywie, stawiania się nie tylko naszego narodu, ale i powszechnej cywilizacji.

Jak w kontekście dnia dzisiejszego możemy uzyskać prawdziwe, powszechne spojrzenie na historię? Powinno to być chyba ujęcie traktujące wszystkie pisemne cywilizacje jako odrębne od wspólnego pnia zakorzenione w prahistorycznej starożytności. Wyrażając to inaczej, można by stwierdzić, że ujęcie historii adekwatne do współczesności można sobie wyrobić, biorąc pod uwagę cały byt ludzki, pamiętając o tym zarazem, iż wszystkie fragmenty tego bytu były w swoim czasie prahistorycznymi.

Dzięki zastosowaniu nowych metod datujących pojawiła się możliwość zsynchronizowania zjawisk w różnych częściach świata. Praca sieci laboratoriów radiowęglowych, pracujących zarówno w Europie, jak i Ameryce Północnej, zarówno w Japonii jak i w Australii i Nowej Zelandii, jest ilustracją zunifikowanego efektu nowoczesnej nauki. Powstała możliwość ujmowania pradziejów Polski w relacji z pradziejami innych krajów i kontynentów. Nie oznacza to dostosowania siebie samych do jednolitego świata nauki i techniki poprzez porzucenie naszej tradycji historycznej i znajomości obyczajów. Porównanie rozwoju różnych cywilizacji pozwala ustalić, co jest wspólne, co jest symptomem osobnych praw rozwojowych, co zaś modelem zamkniętym w konkretnym terytorium.

Pozwala to krytycznie oglądać siebie samych, pomaga też w wyrabianiu tolerancji, która przejawia się w szacunku dla wszystkich kultur i historii innych społeczeństw. Z drugiej strony uznawanie przywiązania do własnej kultury za uczucie wstydlive z tej racji, iż szowinizm kulturowy uważa się za rzecz naganną, jest tak samo bezzasadne, jak żądanie wyrzeczenia się uczucia patriotyzmu, ponieważ czasami się go nadużywa. Te mylne założenia pozwalają, niestety, niekiedy sądzić, iż człowiek cechujący się brakiem kulturowych więzi oraz wykluczający braki w uczuciach patriotycznych jest jakoby „lepszym” obywatelom świata.

Tymczasem człowiek może wzbogacać ludzkość tylko poprzez wnoszenie wartości swoich własnych, lokalnych kultur. Pozbawie się rodzimej kultury jest tym samym, co pozbawienie się prawdziwego człowieczeństwa.

Z perspektywy, którą uzyskujemy patrząc przez pryzmat prahistorii — wszystkie społeczeństwa, niezależnie od tego, kiedy wkroczyły w swój zurbanizowany czy piśmienny żywot, są na jednym poziomie. Wszyscy ludzie, niezależnie od ich doświadczenia, jakie nabyli w czasie ostatnich paru setek generacji, dzielili wspólny proces hominizacji, rozciągający się na kilka milionów lat. Taka refleksja czyni łatwiejszym zrozumienie, dlaczego społeczeństwa, które pozostawały prahistorycznymi jeszcze w dziewiętnastym wieku, zdolne były tak szybko przyswoić sobie cechy współczesnych cywilizacji. Przez pryzmat historii zdobywamy szacunek dla dokonań licznych grup i jednostek ludzkich, stajemy się świadomi naszego człowieczeństwa.

Prahistoria nie jest więc tylko nauką o tym, co egzystowało dawno temu. Warto przypomnieć, że wiele państw, które wchodziły w skład Narodów Zjednoczonych, było „prahistorycznymi” do najnowszych czasów.

Współcześnie, w czasie zawierającym tyle napięć i niepokojów, prahistoria jest zdolna pomóc społeczeństwu we wzajemnym zrozumieniu. Wyróżniające miejsce prahistorii polega nie tylko więc na tym, że jest jedyną nauką, która może sięgnąć do czasów, z których nie mamy piśmiennych przekazów, ale także na tym, że z punktu widzenia fundamentalnego pytania o naturę bytu ludzkiego, dostarcza materiału o charakterze istotnym. Bogactwo materiałów, dzięki którym docieramy do wymarłych dawno wzorców kulturowych tworzonych przez różne grupy lokalne, nie jest wielkością powielanych form (mimo że u podstawy tych form ukrywa się podmiot zasadniczo ten sam, o fundamentalnie jednakowej strukturze egzystencji i jej manifestacji), lecz fragmentem otwartej w przyszłość wielkości historycznego przejawiania się człowieka, który, tworząc określoną historię i tym samym ograniczoną formę swej egzystencji, nie zadowala się nią w pełni. „Człowiek — powiada Marks — nigdy nie dąży do tego, by być czymś ostatecznie uformowanym, lecz znajduje się w absolutnym ruchu stawania się”.



W ruinach najstarszego miasta świata — Ugaritu w Syrii

Foto: J. Kałarasiński

Jesli mamy wiele do zarzucenia repertuariowi kin, jeśli w obrzydliwym besserwisser-skim patryzmie na widzów, tłoczących się na te filmy, na które nie należałoby — to naturalnie powinniśmy coś zrobić, żeby zarówno zmienić repertuar, jak i skierować strumień widzów we właściwą stronę. Przyglądam się jednak temu zdaniu — i każde jego słowo, w najlepszym wypadku prawie każde, budzi mój sprzeciw. Cóż to znaczy, „filmy, na które należałoby”? Dobrym prawem każdego konsumenta kultury jest prawo do rozrywki, niezależnie od wieku. I może nawet pewnego rodzaju nieaktowności wobec odbiorcy byłoby pytanie o jakość tej rozrywki, dotyczy ono bowiem upodobań, będących sprawą prywatną. Ale znowu, jak dalece prywatna — i obojętna dla działaczy kultury, w tym krytyków — może być sprawa upodobań? Gdzie są granice z jednej strony dowolności, żywiołowości gustów, a z drugiej — owego besserwisserstwa, siłą rzeczy przywileju i obowiązku krytyka?

Wydaje się, że jedyną, a przynajmniej w jakiejś mierze sprawdzoną drogą wyjścia z takich dylematów, jest stwarzanie jak najszerzej możliwości wyboru; i — co tylko pozornie rozumie się samo przez się — nie rzucanie widzowi kłód pod nogi, gdy już zdecydował się na wybór „pozytywny” (klód w postaci niewygodnych godzin seansów, niedostatecznej, niekiedy wręcz niekompletnej reklamy etc.). Doświadczenie uczy, że widzowie, przynajmniej wykształceni i dorośli, nie najgorzej potrafią odróżniać te kłody i tak czy owak dostają się na filmy warte oglądania. Uparcie jednak chciałabym wrócić do widzów młodszych, do niebłahej sprawy ukierunkowanego rozbudzania potrzeb... Po staroświecku nazywało się to sublimacją zainteresowań kulturalnych.

Na jakim materiale ma się dokonywać ta sublimacja?

Wynalazek tzw. sztuki dla dzieci jest, jak wiadomo, dosyć świeży daty, liczy około stu lat. Wielowiekowa sytuacja dziecka jako członka społeczeństwa, a zatem również potencjalnego odbiorcy dóbr kultury, znakomicie odzwierciedla malarstwo. Mały Jezus na średniowiecznych, a nawet na renesansowych malowidłach różnił się od człowieka dorosłego jedynie rozmiarami. Dopiero w okresie baroku nagie ciało zaczyna nabierać krągłości, ale od owych dziecięcych, cielesnych zaokrą-

Angielska literatura dla dzieci okazała się pionierką jeszcze w innej dziedzinie. Eksperymentatorskie próby poszły w kierunku uprzystępnienia dziesięcio-dwunastoletnim dzieciom dorobku sztuki dla dorosłych; jego najcenniejszych pozycji. Być może przyczyną była tutaj ta sama negacja treści i form dziecięcej potoczności literackiej, ów protest, który otworzył drzwi do literatury dziecięcej mniej czy bardziej abstrakcyjnemu, a na pewno poetyckiemu humorowi. Oraz wówczas raczej tylko intuicyjne przekonanie (intuicyjne, gdyż wyprzedzające rozwój i wyniki badań psychologicznych), że dziecko należy traktować jako indywidualność dynamiczną, przeżywającą drogę, która biegnie nie tylko naprzód, lecz również wstecz.

Pisarstwo przeznaczone dla dzieci wyciągało stąd wnioski o konieczności oderwania się od aktualnych potrzeb wychowawczych, od moralów, na doraźny użytek. Wzięto sobie za cel kreślenie perspektyw dalszych, zastępowanie myślowego ubóstwa utworów dla dzieci bogactwem — nieprawdą, że niedostępnym dziecku.

Trzeba było jednak przełamać pewne bariery dzielące dziecko od dzieł dla dorosłych. Na początku ubiegłego wieku rodziła się Mary i Charles Lambowie napisali — z wyraźnym adresem dzieci jedenasto-dwunastoletnich — „Opowieści Szekspirowskie” (Tales from Shakespeare). Nie jest łatwo określić gatunek literacki, jaki prezentuje ich książka — bestseller od przeszło półtora wieku. Niewątpliwie jest to jakiś gatunek, ponieważ Lambowie nie sporządzili ani streszczenia, ani bryku z Szekspira. Opowiedzieli dwanaście sztuk, w tym „Hamleta” i „Makbeta”, zachowując w miarę możliwości oryginalną metaforykę Szekspirowską, ale zwalniając dzieci od obowiązku czytania w zbył dla nich długie i w zbył, jak na ich gust, kwieciste tytrady (gdzie dzieci są rzeczowe i z bezwzględnej nieomyślnością odróżniają urok słowa od tzw. „szumu informacyjnego”, serwitutu splecionego retorycznemu sylowemu epoki). Jak wiadomo, „Hamlet”, odkąd został stworzony, jest nieustannie interpretowany zarówno przez wystawiające go teatry, jak — poza angielskim obszarem językowym — przez tłumaczy. Każda z tych interpretacji dzieli włos na czworo. Lambowie dokonali interpretacji każącej odbiorcy płakać nad „biednym królewiczem duńskim” i oburzać się na „niegodziwego” króla Klaudiusza. Dobro i zło znalazły się po przeciwnych, wyraźnie zaznaczonych stronach.

Drugie pionierskie i eksperymentalne dzieło literatury angielskiej dla dzieci, od książki Lambów późniejsze o kilkadziesiąt lat — „Opowieści z zaczarowanego lasu” Nathaniela Hawthorne’a. (Wydane w 1972 roku przez „Naszą Księgarnię” w pięknej przekładzie Krystyny Tarnowskiej i Andrzeja Konarka). Są to mity greckie, opowiedziane barwnie, z fantazją i werwą i nie roniące nic z oryginalnych i różnicowanych charakterów bohaterów.

Praca Hawthorne’a i Lambów była w pewnym sensie pracą adaptatorów. Czy antycypowała w jakiejś mierze współczesne zabiegi adaptacyjne, ich program i rodzaj? Wiek dwudziesty niepomniennie rozszerzył zakres środków wyrazu, jakimś sztuką zwraca się do dzieci. Lambowie i Hawthorne nie wychodzili poza czarodziejski krąg słowa literackiego, pozostawali w obrębie jednego i tego samego tworzywa, gdy dzisiaj obok książek dla dzieci pojawił się film i rozpowszechniły przedstawienia teatralne. I film zwłaszcza okazuje się ogromnie wdzicznym narzędziem, niekiedy wręcz kluczem do zasobów, z których może czerpać życie duchowe dziecka.

Wydaje mi się, że nie zaprzeczam tu poglądom, które wyrażałam w poprzednim artykule („Odgłosy” nr 2 z 13 stycznia br.) — wrogim wobec praktyki adaptacyjnej. Istota sprawy polega bowiem na wyborze utworów do adaptacji i założeniach, które będą przyswajać pracy adaptatorów. Uprawianie tego procederu może mieć swoje dobre i złe strony. Barbarzyństwem są na przykład przenosiny na scenę „Koziołka Matołka” — utworu tak doskonałego i plastycznego, nadanego przez pisarza Makuszyńskiego i plastyka, Waleńtynowicza. Już chyba adaptacja filmowa była bardziej na miejscu, a przynajmniej nie wyrządziła Koziołkowi szkody, jakkolwiek dyskusyjną można, czy — pozostając przy wierszu Makuszyńskiego i rysunku Waleńtynowicza — warto było zastępować wyobraźnię dziecka tam, gdzie mogła ona działać sama, gdzie, pokrótce, samodzielnie, artykułowała wymiar dramatyczny i ruchu. Podobne obawy może budzić aktualne ufilmowanie „Muminów”. Kto wie, czy nie jest słuszne sformułowanie, że adaptując utwory doskonałe artystycznie nie tylko „mieszmamy” środki wyrazu, lecz — co gorsza — przyzwyczajamy dziecko do bierności, że pozbawiamy je okazji do wysiłku umysłowego, tak jak tłumimy jego zdolności praktyczno-manualne, wyręczając przy myciu lub ubieraniu.

Literatura w opisie świata powołuje się jednak na przedmioty, które w rzeczywistości do nieśmiertelnych książek umierają, a ich nazwy stają się pustym dźwiękiem; na przedmioty, które mówią po prostu wychodzą z życia, a które swego czasu wnosiły smak życia i konkretność do przedstawianej rzeczywistości (nawiasem, ciekawe, że wielu autorów piszących dla dzieci „ukonkretnia” tworzone postacie i sztafaż środowiskowy, sporządzając własnoręcznie obrazki; czynili tak Milne z Kubusiu Puchatkiem, Tove Jansson z Muminami, Sait-Exupery z Małym Księciem, a Makuszyński niezwykle ściśle współpracował z Waleńtynowiczem). W takich przypadkach wydaje się, że pole do popisu zyskuje film, adaptacja zaś nabiera tym większej celowości, im cenniejsza jest treść adaptowanego utworu.

„Antek” Bolesława Prusa został zaadaptowany na film w roku 1971 przez Wojciecha Fiwkę i jest to adaptacja pod wieloma względami wzorowa. Przede wszystkim dochowuje wierności atmosferze, wolałabym powiedzieć — temperaturze uczuciowej oryginału, podziwiałam dla chłopca, który wbrew przeszkodom zmierz ku umiłowemu zawodowi. Ta samorealizacja, dokonywana nadludzkim wysiłkiem, który widzialnie uwiarygodniał warunki, w jakich żył bohater — jest wartością bezcenną również dzisiaj.

Obecnie Wojciech Fiwek przygotowuje adaptację „Serca” Edmundo de Amicisa, powieści napisanej w roku 1886, a przełożonej na język polski przez Marię Konopnicką w roku 1899. Jeszcze moje, wojenne pokolenie, wychowywało się na tej książce. Pokolenie mojej córki zostało już, jak sądzę, odsunięte od realiów — obojętnie Włoch czy Krakowa u schyłku wieku, gdzie scenarzysta, Konrad Frejdluch, przenosił akcję. Co ważniejsze, pokolenie to odeszło chyba również od typu reagowania, od wrażliwości cechującej bohaterów oryginalnego „Serca”. Jakiekolwiek mielibyśmy dziś o tym zdanie, kartki książki tchną wybujałą, nawet sentymentalną uczuciowością, którą nie tylko młodzież, ale dzieci dzisiejsze zwykły raczej skrywać i przynajmniej na zewnątrz — pogardzać. Mimo to „Serce” zawiera wartości uniwersalne i konieczne, jeśli mamy pozostać ludźmi, trzeba jedynie wyłuskać te wartości z czułościwej otoczki.

Miejmy nadzieję, że zrealizowany film dokona tego. W ten sposób uchylił może drzwi do kulturalnej schody, której znajomość potrzebna jest jak powietrze.

MAREK PRYT

LIMITOWAĆ KSZTAŁCENIE?

W roku ubiegłym Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki podjęło decyzję o ograniczeniu limitów przyjęć na niektóre kierunki szkół wyższych. Według oficjalnych wypowiedzi kierownictwa resortu było to spowodowane zmniejszeniem się ilości kandydatów na studia, a także chęcią pełniejszego dostosowania poziomu kształcenia do potrzeb gospodarki narodowej.

Ograniczenia te dotknęły łódzkie uczelnie w niewielkim stopniu i poza zainteresowanymi środowiskami akademickimi nie wzbudziły większych emocji. Niedawno jednakże problem zmniejszenia naboru na pierwszy rok studiów pojawił się na nowo, a to w kontekście postulatów tutejszych organów do spraw zatrudnienia, sygnalizujących brak zainteresowania pracodawców absolwentami niektórych kierunków i specjalności, głównie uniwersyteckich. Pisała o tym Małgorzata Golińska w artykule „Mgr Kowalski idzie do pracy”.

Artykuł ten, z którego nie-wszystkimi tezami można się zgodzić, spowodował pisanie do słowa do podzielenia się z Czytelnikami „Odgłosów” kilkoma refleksjami.

Wielki skok i zadyśka

Bezpośrednio po wyzwoleniu dołączono się w Polsce około czterdziestu tysięcy obywateli z wyższym wykształceniem. Dzisiaj mamy ich ponad milion, a mury uczelni opuszcza co roku osiemdziesięciotysięczna armia dyplomatów. W takim tempie jak liczba studiujących nie rosła jednakże ilość a przede wszystkim jakość kadr nauczycieli akademickich, a także baza materialna uczelni.

Podobne trendy można zaobserwować w Łodzi. O ile dwadzieścia lat temu studiowało tutaj 12 tysięcy, to obecnie — 33 tysiące osób. Kiedy w roku 1970 kreślono prognozę rozwoju Uniwersytetu Łódzkiego, przewidywano na początek lat osiemdziesiątych wydawanie 2300 dyplomów rocznie. Plan ten został przekroczony o jedną czwartą już dwa lata temu. Równocześnie jednak liczba profesorów i docentów jest dzisiaj dwa razy mniejsza od zakładanej!

Z aktualnym wskaźnikiem ilości studiujących (179 osób na 10 tys. mieszkańców) Polska sytuuje się w czołowej światowej wyprzedzając większość bratnich krajów socjalistycznych. Obecnie każdy średniozdolny, lecz wytrwały absolwent liceum ma szansę zostać — jeśli nie magistrem filozofii, to pielęgniarstwem, a przeciętny, lecz ambitny pracownik gospodarki uspołecznionej — magistrem nauk ekonomicznych bądź prawniczych.

Badowniczo podziemne przejście

Od końca lat pięćdziesiątych liczba pracowników z wyższym wykształceniem zwiększała się w tempie prawie dwukrotnie wyższym od wzrostu ogólnego zatrudnienia. Na początku lat siedemdziesiątych było już w Polsce więcej magistrów inżynierów niż ich odpowiedników we Francji czy RFN, a w liczbie ekonomistów z analogicznym tytułem doścignaliśmy Stany Zjednoczone.

Niestety, nie pokrzepiającego z tych równań nie wyniknęło poza smętną konstatacją, że społeczna efektywność pracy polskiego inżyniera czy ekonomisty jest niższa, niż jego kolegi na Zachodzie.

Profesor Janusz Tymowski, walczący uparcie o nowoczesny model kształcenia wyższego, opowiada, że wiele lat temu budowa tunelu pod Alami kierowała dwóch inżynierów, gdy wśnóćcie przy przebijaniu podziemnego przejścia pod Krakowskim Przedmieściem w Warszawie, kształło się ich dziesięciu. Szczegółowe badania przeprowadzone ostatnio dowiodły, że wykorzystanie kwalifikacji i czasu pracy polskiego inżyniera czy ekonomisty sięga tylko 60-70 proc. Ankietą iaka rozszano w roku ubiegłym do pracujących absolwentów Politechniki Łódzkiej i Uniwersytetu Łódzkiego (Wydział Ekonomiczny) potwierdziła, że tylko 38 proc. z nich uważa iż uzyskane kwalifikacje są odpowiednie do wykonywania zadań zawodowych. Dla pozostałych są one zbyt wysokie, bądź w ogóle nieprzystające.

Podstawową przyczyną tego stanu rzeczy jest nadmierna i utrzymująca się w dalszym ciągu koncentracja kadr z wysokimi kwalifikacjami głównie w ośrodkach wielokierunkowych. Według ocen Komisji Plano-

wania do województw, w których obecna wielkość zatrudnienia tych kadr nie jest uzasadniona strukturą gospodarczą, należą w kolejności: krakowskie, warszawskie, poznańskie, gdańskie, lubelskie, wrocławskie, a także — łódzkie.

Tymczasem zatrudnieniem w innych, tzw. deficytowych regionach kraju, pomimo szeregu zachęt, nie jest zainteresowana dostateczna ilość absolwentów wyższych uczelni, w większości stałych mieszkańców ośrodków akademickich. Dla przykładu, w roku ubiegłym tylko 8 proc. absolwentów UŁ z kierunków objętych planowym zatrudnieniem — mieszkańców Łodzi, zdecydowało się podjąć pracę poza granicami swego województwa.

Inkubator czy latarnia morską

Rosnący napór na malejącą w aglomeracjach miejskich rezerwę miejsc pracy powoduje, iż zwiększa się ilość absolwentów, głównie kierunków uniwersyteckich, mających kłopoty z uzyskaniem zatrudnienia zgodnie z nabytymi kwalifikacjami. Przynosi to ewidentne szkody materialne i społeczne.

Warto tu przypomnieć, że koszty kształcenia jednego rocznika absolwentów studiów dziennych Uniwersytetu Łódzkiego oscylują aktualnie wokół kwoty 200 mln zł, a niezatrudnienie zgodnie z kwalifikacjami np. grupy 30 absolwentów biologii, przynosi gospodarce narodowej straty rzędu 4,5 mln zł.

Rodzi się więc zasadnicze pytanie: czy uczelnia, w tym przypadku uniwersytet, winna ograniczać kształcenie wyłącznie do poszukiwanych aktualnie i możliwych do zaspokojenia grup absolwentów, stając się w gruncie rzeczy szkołą zawodową, swego rodzaju inkubatorem produkującym specjalistów z magisterium?

Czy raczej, służąc celom dalekosiężnym, tj. postępowi społeczno-kulturalnemu i humanistycznym ideałom rozwoju jednostki, winna być latarnią morską, która wskazuje swym światłem okazy drogę przez wzburzone fale, lecz nigdy światła swego nie nurza w samych fałdach — jak pisał niegdyś prof. K. Twardowski.

W dyskusji nad przyszłością uczelni uniwersyteckiej trzeba przyznać, że tym, który bronią prawa kształcenia „dla rozwoju”. Realizację tegoż wymaga jednak spełnienia dwóch warunków. Pierwszym z nich jest ekonomiczna zdolność państwa do pokrywania wzrastających kosztów wykształcenia bez spodziewania się z tego tytułu doraznych korzyści w postaci pozyskania wysoko kwalifikowanej siły roboczej. Drugim — powszechna akceptacja faktu, iż studia uniwersyteckie służą wzrośnięciu osobowości jednostki, nie gwarantując w każdym przypadku zatrudnienia zgodnego z profilem wykształcenia i oczekiwaniami.

Trzeba zaznaczyć, że okoliczności, z jakimi mamy do czynienia, nie wskazują na możliwość spełnienia w chwili obecnej tych warunków.

W tej sytuacji jedynym rozsądnym wyjściem jest niwelacja największych rozbieżności między kierunkami i poziomem kształcenia, a możliwościami i potrzebami rynku pracy.

Usuwanie tych rozbieżności może wiązać się w sporadycznych przypadkach z korygowaniem limitów przyjęć na niektóre kierunki studiów. Decyzje takie winny zapadać w wyniku obiektywnej analizy istniejącej sytuacji, wychodzącej od realiów, nie zaś opierającej się na odniesieniach do wskaźników wykształcenia w wybranych krajach świata, dyskusyjnych argumentach tzw. pożądanym stanów zatrudnienia itd.

Dusze — ale nie martwe

W sporach dotyczących rozszerzenia bądź ograniczenia liczby studiujących rzetelnie swobodnego rozwoju uczelni prezentują oficjalnie uzasadnienia o dużym ciężarze gatunkowym. Chodzi więc najczęściej o realizację ideałów socjalizmu, rozwój nauki polskiej, czy wzrost kwalifikacji zatrudnionych w gospodarce i kulturze narodowej.

Rzadko natomiast wspomina się o tym, iż od ilości studiujących i wydanych dyplomów zależą w poważnym stopniu nakłady finansowe na bazę materialną uczelni, ilość etatów, środki na płace personelu dydaktycznego.

Szkola wyższa, co paradoksalnie, funkcjonuje więc jak anachroniczny model fabryki premiowanej od wielkości przerobu i wagi produktu finalnego, nie zaś od jego jakości, czy nowoczesności rozwiązań technicznych.

Koniecznością chwili jest odejście od instrumentalnego traktowania liczby „dusz” studenckich jako zasadniczego kryterium istnienia uczelni, stanowiącego o ich randze. W przyszłości należałoby oczekiwać również faktycznej reorientacji celów funkcjonowania szkół wyższych, rezygnacji z mierników ilościowych na rzecz wyceny autentycznych osiągnięć dydaktyczno-wychowawczych a także naukowo-badawczych.

W dniu dzisiejszym natomiast troska o dobre samopoczucie przyszłych absolwentów winna inspirować także wyodrębnianie potrzeb kształcenia, które wychodzą na przeciw aspiracjom społecznym, uwzględniać będzie możliwość i potrzeby kraju.

Jolanta Mach

Jeszcze przeciw godzilli

gleń biegnie jeszcze długa droga do ukazania całej złożoności psychiki dziecka. Wymowne byłoby zestawienie jakiegoś gotyckiego wizerunku z drobną, przypodlaną, w sztywne, dorosłe szaty figurą dziecka — i „Portretu uczennicy” pedzła Picassa, dziewczyneczki, która z odpowiedzialnością i uderką ugina się pod ciężarem ogromnego tortora. Skomplikowany dla oczu nawiązków do iluzjonistycznego podobieństwa (które określamy jako „realistyczne”), obraz Picassa sygnalizuje samą warstwę malarską, jak nieprosty jest fenomen, zwany dzieckiem. Jest to mały człowiek, podobny, ale zarazem odmienny, od dorosłego.

Traktując dzieciństwo jako mało ważne, wstępne stadium dorosłości, przez wiele wieków nie dostrzegano potrzeby dostarczania dzieciom strawy duchowej innej niż strawa dla dorosłych. Zresztą, co mówić o pokarmie duchowym, skoro nie rozumiana była także i na daleko w wielu środowiskach i kulturach nie jest rozumiana) konieczność specjalnych zabiegów zdrowotno-higienicznych, wskutek czego dzieci marły. Jak mchy. Od najdawniejszych czasów biedne i bogate dzieci na całym świecie miały zabawkę: strugane z drewna przez podhalańskich górali i południowoamerykańskich Indian, lepiące z gliny przez starożytnych Cypryotyków i historycznych Słowian zwierzątka i laleczki, które ćwiczyły wyobraźnię. Ezop układał jednak swoje bajki dla dorosłych. A odrębna literatura dla dzieci, gdy mniej więcej stulecie temu się narodziła, nie wykroczyła poza nurt, którym od wieków płynęły poglądy na dzieciństwo. Pojmowała dzieciństwo wąsko i pragmatycznie jako przygotowanie do życia dorosłego i do brawolnie wzięcia na siebie brzemienia tworzenia dzieł nie tyle sztuki, ile dydaktyki. Narzucała małym słuchaczom i czytelnikom to, co Michał Głowiński nazywa „instrumentalnym stylem odbioru” i z czym co krok spotykamy się jeszcze dzisiaj w książeczkach, przedstawieniach teatralnych i filmach dla dzieci. Można by powiedzieć, że duch Jachowiczowski „Chorego kota” (z I połowy XIX wieku), który leżał w łóżeczku, gdyż zgryzł się łakomstwem, nadal unosi się nad twórczością dla dzieci, tylko że proste słowo „moral” zastąpiliśmy eufemistycznymi „wartościami wychowawczymi”.

Można by również dodać, że ten instrumentalny styl odbioru, który, jak zastrzeża Głowiński, zmienia lekturę w „czynność utylitarzną”, stanowi wymóg nie tylko dla dzieci, lecz także dla dziewcząt i chłopców, mających już swoje „ważne sprawy” (współczesna seria wydawnicza pt. „Ważne sprawy dziewcząt i chłopców” — przykład najbardziej znamienity). Ciekawe, że bodaj jako pierwsza wyłamała się z moralizatorskiego (bo nawet nie moralistycznego) kanonu twórczości dla dzieci i młodzieży (kanonu nigdy nie będącego przecież specjalnością wyłącznie polską) literatura, która zawsze umiała wykorzystać i jako źródło inspiracji i jako materiał, poczucie humoru. Myślę o literaturze angielskiej, o ukochanych przez wiktoriańskie i post-wiktoriańskie pokolenia „Kubusiu Puchatku” Milne’a i „Alicji w Krainie Czarów” Lewisa Carrolla. Niektórzy badacze i krytycy obwieszczali w związku z tym narodzinami „antymoralu” — watek, który u nas podjął w poezji dla dzieci Jan Brzechwa, „dowcipny pan w średnim wieku”, jak nazywa go Ryszard Matuszewski w artykule: „Opublikowanym niedawno w „Literaturze”. Jakże inny jest w swoim rodzaju humor Makuszyńskiego — niemniej wyraźnie świadczy, że właśnie żartobliwy — a przez to zakładający pewien dystans — stosunek do rzeczywistości, ratuje literaturę dziecięcą przed ponurym i przyziemnym moralizatorstwem.

Dalszy ciąg ze str. 1

każdorazowego jej laureata znacząca nagroda.

Gdybym dla pełniejszego portretu młodego artysty dodała jeszcze, że emanuje z niego ogromna radość z wybranego zawodu, powstałby może konterfekt tak gładki, że przysporzyłby Semotiułowi miana młodzieńca pogodnego i nieco infantylnego. Niech jednak przed takim posądzeniem broni go to, co mnie w całej jego postaci zaskoczyło najbardziej: jakiegoś głębokiego wewnętrznego skupienia, nie ujmującego niczego prawdziwej młodości powagi, z jaką mówi on o sprawach swojego zawodu, w którym stawia dopiero pierwsze kroki, i o teatrze, który jak sam powiedział, jest dla niego wszystkim.

— Dostę do teatru określę długą drogą. Nie marzyłem o nim w szkole podstawowej, a myśląc o zawodzie nie kierowałem się zainteresowaniami humanistycznymi. Nie poszedłem do „ogólniaka”, a po ukończeniu Technikum Samochodowego nie odkryłem w sobie żadnej odmiennej od zdobytego tam zawodu pasji i po tak krótkim, że właściwie wstyd się przyznać pobycie na Politechnice Łódzkiej, kiedy stwierdziłem, że i ona nie jest „moją” drogą, rozpocząłem pracę w TOS. Naprawdę samochody także nie reżyserowałem monologu Hamleta, a pierwszą, nie tyle potrzebą samodzielnego wypowiedzenia artystycznego słowa, ile wiarą w jego cudowną, oczyszczającą moc, pojawiła się dopiero w wojsku. Tam (z niemałym zresztą trudem) udało mi się zachęcić kilku kolegów do zorganizowania wieczoru poezji, do przydania jakiegś urody monotonnaemu życiu w koszarach. Chwyciło, zaczęto nas „kupować”, jeździłem więc po różnych jednostkach, brałem udział w różnych imprezach i w czasie jednej z takich imprez zobaczyłem sam, na własne oczy, rzecz, której przedtem nie mogłem dać wiary, która w relacjach zawsze wydawała mi się nieprawdopodobna: zobaczyłem jak pod wpływem słowa rodzi się ludzkie wzruszenie i zupełnie oszołomiło mnie to, że mogę być jego sprawcą, że mogę pośredniczyć między np. wybitnym poetą a słuchaczem, odbiorcą jego dzieła, że mogę słowu nadać kształt, że ten jakiś nowy kształt mogę sam stworzyć, że mogę słowem i jakimś towarzyszącym mu działaniem stworzyć przed kimś nowy świat, może inny, może lepszy. Egzamin wstępny na Wydział Ak-

torski zdawałem w żołnierskim mundurze. Niektórzy koledzy do dziś twierdzą, że chodziło tylko o to by skrócić sobie o te pozostałe 122 dni, służbę wojskową. To oczywiście żarty, ale prawdę mówiąc, nie wiem jak bez tamtego „zielonego” etapu ukształtowałyby się moje zainteresowania, jakie potrzeby dałyby sobie znać najsilniej, a jakie nie ujawniałyby się wcale. Więc chyba jestem wdzięczny wojsku, że było, że przez nie przeszedłem, choć do pełnego „kursu” rzeczywiście zabrakło tych dni. Egzamin się powiódł. — Po nim nastąpiły więc lata nauki?

— Tak, cztery lata ciężkiej pracy. Było to zdobywanie wiedzy i umiejętności, a także gromadzenie kolejnych, tak w naszym zawodzie niezbędnych doświadczeń. Wiele moich

ochoty porze trzeba grać tak, czy inny (znów bez możliwości wyboru) spektakl — było dla nas wystarczającą trudną do pokonania przeszkodą. I dalej — uzyskawszy w czasie próby jakiś zamierzony przez reżysera efekt — nie umieliśmy go powtórzyć, czy przywołać następnego dnia. A przecież to są podstawy; lista innych wymagań zawodu którym ciągle jeszcze nie umiemy sprostać, zajęłaby zbyt dużo miejsca. Niech jednak przed tymi zarzutami broni nas fakt, że mamy świadomość własnego nieobycia.

— Taka świadomość może być dręcząca, może przeszkadzać w pracy...

— Mnie ona nie przeszkadza, to znaczy nie hamuje. A czy dręczy — owszem. Sączy się we mnie i nie pozwala ani na chwilę zapomnieć o

ty bardzo precyzyjnie, przeto i teraz, po stu już przeszło spektaklach „Lekarza mimo woli”, każdego wieczoru czuję ten emocjonujący i przypominający premierę dreszcz pierwszego przedstawienia.

— A jak przeżywał pan to naprawdę pierwsze przedstawienie?

— Przyznam, że nawet nie umiem opisać tej tremy, jaka mi wtedy towarzyszyła.

— Taka była wielka?

— Ołbrzymia. Próbowaliśmy, te sztukę bez żadnego kontaktu z publicznością. Nie wiedziałem więc, czy to, co robię, jest zabawne, czy nie. A przecież generalnym założeniem tego przedstawienia było rozbawienie widzów, dostarczyć im radoznego uśmiechu, odrobinę wzruszyć, zdjąć z czoła cień codziennych trosk. Ta najważniejsza próba miała do-



Foto: J. Neugebauer

U WEJŚCIA DO LABIRYNTU

umiejętności okazało się przydatnych, zdobywanie innych musiałem zaczynać od nowa. Ale to przecież jest zupełnie normalne, myślę, że każdy proces kształcenia tak właśnie wygląda.

— Pan jednak przygotowywał się do dość trudnego i specyficznego zawodu...

— Jego wymagania uświadamiali nam profesorowie i choć z całą pewnością pragneli przedstawić je w możliwie najpełniejszym wymiarze, to przecież ich ogrom poznałem dopiero w teatrze. Tym prawdziwym, nie szkolnym. Jeśli dodam — z pewnością obawą zresztą, bo może zabrzmiało to jakoś nienaturalnie — że marzyłem o pracy w Teatrze Nowym, a tu wymagania stawiane wszystkim, nie tylko młodym aktorom, są zdaje się szczególnie wysokie — to nie będę musiał mówić, że odległość między teorią, a praktyką (mimo najlepszych chęci moich profesorów) okazała się jednak dość duża. Do Teatru Nowego przyszedłem wraz z dużą grupą moich szkolnych kolegów i wszyscy potykaliśmy się o rzeczy i zjawiska tak w tym zawodzie oczywiste i tak dla niego nieodłączne, jak „zwykła” powtarzalność. Już samo to, że nie przygotujemy przedstawienia jedynie dla dyplomowej, czy egzaminacyjnej prezentacji, że każdego dnia o tej lub innej, ale zawsze niezależnej od naszej w danym dniu kondycji czy

stojących przede mną zadaniach. Mówiąc jeszcze ściślej — ta właśnie świadomość jest mi po prostu potrzebna, ona bowiem inspiruje mnie do podejmowania kolejnych etapów pracy nad sobą. Zresztą nie wyobrażam sobie, bym kiedykolwiek mógł powiedzieć: umiem już wszystko, wszystko już wiem, teatr nie ma już dla mnie żadnej tajemnicy. Czy dla pani zjawisko teatru jest takie całkiem oczywiste? Nie? A właśnie. Teatr jest tajemnicą. To jedno wiem już o nim z całą pewnością. Chcę ją poznawać i wierzę, że... nie pozwolił się poznać do końca.

— To poznanie teatru, już z dyplomem w rękę, zaczął pan od pracy nad realizacją jednego z jego arcydzieł — sztuki Mollera, a w niej tytułowej roli, która przyniosła panu nagrodę.

— O nagrodzie wcale wtedy nie myślałem. Miałem ołbrzymią tremę nawet przed rozpoczęciem prób. Wiedziałem też, że materiał dramatyczny jest niezwykle trudny i wymaga świetnego opanowania warsztatu aktorskiego, ale wiedziałem także, że ogromnie doświadczonej w tej materii artysta jest reżyser tego spektaklu i czułem, że najlepiej będzie, jeśli zaufam mu tak, jak on zaufał mnie. Starałem się więc realizować każde z postawionych mi przez Bogdan Baera zadań, a że zadania te określone by-

piero nastąpić, ale wiedziałem, że wtedy, w momencie owej bezpośredniej konfrontacji z publicznością, niczego nie da się zmienić. Chyba tylko wybrany zawód...

— O ile mi wiadomo — nie zmienia go pan. Po odniesionym właśnie sukcesie, pierwszych, od razu świetnych recenzjach, wiadomych mi propozycjach ról filmowych i telewizyjnych, ma pan prawo czuć się dzieckiem szczęścia. Ale bywają też lata chude. Czy jest pan przygotowany także na kleski?

— Tak. Znam skądinąd także i cienie tego zawodu. Znam rozterki i rozczarowania. Wiem jak wygląda porażka. Wiem też, że wszystko to może dotknąć także i mnie. Cóż mogę powiedzieć, pracuję, gromadzę siły. Uważam się za zdobywanym codziennie doświadczeniami i płynącymi z nich umiejętnościami. Chciałbym uniknąć tych klesk, to chyba naturalne. Nagroda za debiut dodała mi wiary w siebie. Jest latarka na daleką drogę.

— Oby panu świeciła.

Rozmawiała:
EWA PANKIEWICZ

W poprzednim numerze przedstawione zostały w procesie drukowania podpisy pod zdjęciami Włodzimierza Zalewskiego i Bogusława Semotiuła. Przepraszamy.

Dalszy ciąg ze str. 1

wego. Dzięki aktywności młodych kompozytorów i przewodniczącego Koła, Jana Przybylskiego, obydwa koncerty reklamowane były przez plakaty i wydrukowane zaproszenia.

W grudniu 1979 r. Koło Naukowe wystąpiło z nową inicjatywą. W ramach akcji „Sójusz świata pracy z kulturą i sztuką” postanowiono poszukać dla swoich utworów nowych, szerszych kręgów odbiorców. Prezentacje dokonywane wyłącznie na terenie uczelni stało się dla młodego twórcy w potrzebach przeciętnego słuchacza. Znajomość jego smaku muzycznego umożliwia kompozytorowi dobór takich środków artystycznego wyrazu, które by w sposób najbardziej komunikatywny przekazały idee utworu.

Zagadnienie to poruszono na spotkaniu przedstawicieli łódzkich środowisk młodych twórców, zorganizowanym w ŁZPB im. Obrońców Pokoju (Unionex), któremu przewodniczył dyr. Józef Gałęcki. W rezultacie otrzymano propozycję realizacji koncertu na terenie zakładu i przy jego wydatnej pomocy finansowej, dotyczącej opłacenia wykonawców.

W ten sposób doszło do zorganizowania dwóch koncertów pod hasłem „Debiuty Młodych Kompozytorów 80”, które odbyły się 1 kwietnia br. w auli PWSM w Łodzi oraz 2 kwietnia w kawiarni Zakładowego Domu Kultury ŁZPB im. Obrońców Pokoju. Stanowiły one prezentację doskonałych twórczych studentów sekcji kompozycji PWSM: Barbary Puchalskiej, Jolanty Markowskiej i Sławomira Kaczorowskiego. Koncerty prowadził przewodniczący Koła Naukowego, aktualnie student Wydziału Kompozycji i Teorii Muzyki Jan Przybylski.

Kilka słów o młodych kompozytorach, prezentujących swe utwory.

Barbara Puchalska w latach 1974-79 studiowała teorię muzyki w łódzkiej PWSM (dyplom z wyróżnieniem — 79). Obecnie jest studentką III roku kompozycji w klasie doc. Bronisława K. Przybylskiego. Od 1980 r. działa jako członek Koła Młodych Związków Kompozytorów Polskich. Utwory, które zaprezentowała na koncertach, to „Obrazy wiosenne” na sopran solo i zespół kameralny w wykonaniu Barbary Urzędowicz — sopran, Aleksandra Gaczyńskiego — klarnet, Jacka Golińska — kotły i Adama Tomaszewskiego — wibrafon, oparte na trzech strofach poematu L. Staffa „Płacz pod czas wojny”, które stały się materiałem trzech lirycznych, nastrojowych pieśni oraz „Refleksje” na bas solo (Piotr Nowacki) i instrumenty perkusyjne (Marian Adamus, Sławomir Fajkowski, Jacek Goliński, Adam Tomaszewski), będące wyrazem fascynacji poezją K. Wierzyńskiego. Obecnie pracuje nad „Miniaturami” na flety i taśmę magnetofonową oraz utworami na fortepian i taśmę.

Jolanta Markowska w 1972 r. rozpoczęła studia na Wydziale Kompozycji i Teorii Muzyki PWSM w Łodzi, ukończona pracą magisterską z zakresu teorii muzyki współczesnej (1978). Naukę kompozycji pobierała początko-

wo u Bernarda Pietrzaka. Obecnie jest studentką roku dyplomowego w klasie doc. Bronisława K. Przybylskiego, jednocześnie zaś, od kilku lat, zajmuje się pracą dydaktyczną. Od 1979 r. jest członkiem Koła Młodych ZKP. Podczas koncertów Leszek Orzechowski zaprezentował jej „Trzy kaprysy i jeden antrakty liryczny” na kontrabas solo. „Inspirowałam się — pisze kompozytorka w zaproszeniu na Debiuty 80 — wykorzystaniem możliwości technicznych i wyrazowych kontrabasu, powszechnie uważanego za instrument nie nadający się do gry solowej”. Piszę dla dzieci „Bajkę o trzech krasnoludkach” do słów Jana Brzechwy oraz na pracę dyplomową Koncert na trzy orkiestry kameralne.

Sławomir Kaczorowski w 1976 r. rozpoczął studia na Wydziale Kompozycji i Teorii Muzyki łódzkiej PWSM w klasie kompozycji prof. Tomasza Kiesewettera. Obecnie student IV roku w klasie kompozycji doc. Bronisława

Wydziału Instrumentalnego i Wokalno-Aktorskiego. Trud ich jest przecież niemały, jeżeli weźmiemy pod uwagę cały szereg nowych problemów wykonawczych, jakie niesie ze sobą muzyka współczesna, nie mówiąc już o utworach pisanych ręką jeszcze niezbyt wprawna.

Sprawę, która wymaga rozwiązania, stanowi wykonania utworów dyplomowych. Zgodnie z założeniami programu nauczania są to kompozycje na duże składy orkiestrowe, których realizacji nie jesteśmy w stanie dokonać we własnym zakresie. Niestety — aktualnie inne możliwości nie istnieją. Może Filharmonia Łódzka znalazłaby miejsce w swoich planach repertuarowych na wykonanie tych prac, których przecież nie jest aż tak dużo.

Sławomir Kaczorowski: Przez kilka lat jesteśmy wdrażani do rzetelnej pracy kompozytorskiej, zdobywamy w szkole przede wszystkim warsztat i dyplom, który stanowi podsta-

DEBIUTY MŁODYCH KOMPOZYTORÓW-80

wa K. Przybylskiego. W roku 1980 został przyjęty w poczet członków Koła Młodych ZKP. Usłyszyliśmy jego „Pezzo concertante” na fortepian i taśmę w wykonaniu Teresy Czekaj oraz „Polciore — vitorno”, utwór na sopran (Anna Kąmierzczak), obój, (Dariusz Cieplucha), waltornie (Marek Medyński), wiołonczelę (Paweł Tomaszewski) i taśmę, stanowiący próbę nowego spojrzenia na kulturę ludową z pozycji współczesnego kompozytora. Zastosowane przysłówia ludowe recytowane przez chór (z taśmy) oraz akcja sceniczna instrumentalistów były niejako refleksją autora nad wartością prezentowanej muzyki. Aktualnie pracuje nad Kantatą na orkiestrę kameralną i solistów do słów K. I. Gałczyńskiego „Dytiramb na cześć pokoju” oraz pracą dyplomową — Koncertem na fortepian i orkiestrę.

Skoro więc jest tak dobrze, dlaczego jest aż tak źle? Mówi przewodniczący Koła Naukowego Jan Przybylski: To pierwsza na tak szeroką skalę prezentacja naszej twórczości. Dom — szkoła — szuflada stanowi tradycyjny „obieg” naszych utworów, a to przecież nie wystarczy do potwierdzenia umiejętności kompozytorskich. Prace naszego Koła Naukowego zmierzają w kierunku rozwiązania problemu możliwości wykonania i usłyszenia własnych kompozycji. Jedną z form działalności są organizowane od kilku lat na terenie uczelni doroczne koncerty prezentujące twórczość studentek sekcji kompozycji. Ze względu na brak jakiegokolwiek środków finansowych, przeznaczonych na ich realizację, dotychczasowe wykonania zawiązujemy wyłącznie bezinteresownej, koleżeńskiej pomocy studentów

wę prawną naszego statusu społecznego, gdy samego tworzenia nie można się nauczyć — jest to sprawa intensywnej pracy nad samym sobą, talentu i odpowiedniej atmosfery wokół kompozytora i jego działalności. Chodzi nam o szeroki kontakt ze słuchaczami nieprofesjonalistami, o konfrontację na żywo, która jest najlepszym sprawdzianem naszego talentu. Przecież studia opłacane są przez społeczeństwo a zatem, uważam, że rezultaty powinny być także i przez nie oceniane. Jest to poza tym jedyna możliwość weryfikacji naszych własnych niedociągnięć w materii kompozytorskiej, bowiem żadne „suche” studiowanie partytury — tym bardziej muzyki współczesnej — nie daje pełnego pojęcia o właściwym kształcie dzieła. Prestiż społeczny zawodu twórczego wymaga, aby artystyczne porażki i sukcesy nie były jedynie sprawą małej garszki przyjaciół i pedagogów, ale żeby, o ile to możliwe, stały się przedmiotem obserwacji jak najszerszego grona zainteresowanych.

Jak zatem widzą możliwości poprawy istniejącego stanu rzeczy, który wydaje się być zniemiony nie tylko dla młodego środowiska muzycznego?

Barbara Puchalska: Uważam, że najważniejszą sprawą jest stworzenie tradycji wykonywania utworów młodych muzyków otrzymujących dyplom PWSM. W Łodzi działa czynnie niewielka grupa kompozytorów. Myślę, że systematyczne przedstawianie ich dorobku przez Filharmonię Łódzką nie nastrozałoby większego kłopotu, tym bardziej, że twórczość ta pozostaje w cieniu tak prężnych środowisk muzycznych jak warszawskie czy krakowskie.

Jolanta Markowska: Największe kłopoty za-

czynają się po skończeniu szkoły. Ewentualne wyróżnienia uzyskiwane na konkursach kompozytorskich, poza otrzymaniem pewnej sumy pieniędzy, nie gwarantują ani wykonania, ani wydania nagrodzonego utworu. Jedną z propozycji, jaka została wysunięta przez wszystkich łódzkich środowiska młodych twórców na wspomnianym już spotkaniu w „Unionexie”, była sprawa przyznania rocznych stypendiów dla absolwentów szkół artystycznych. Uważam, że w naszym przypadku najlepszą formą rozliczenia się stypendysty byłby jego koncert kompozytorski, który przede wszystkim stwarzałby możliwość publicznego zaprezentowania dorobku twórczego. Rok stanowi wystarczający okres czasu dla napisania jednego, dwóch utworów orkiestrowych, względnie kilku kompozycji kameralnych, które, jak wiadomo, stanowią doskonały sprawdzian umiejętności kompozytorskich.

Drugi problem to forma zatrudnienia absolwentów sekcji teorii PWSM, kończących jednocześnie kompozycje. Myślę tu o studentach, którzy będą wykładowcami przedmiotów teoretycznych w szkołach muzycznych, pracując w takim samym wymiarze godzin jak absolwenci sekcji teorii. Z tego też względu czas przeznaczony na własną pracę twórczą — niemożliwa do podjęcia po wielu godzinach intensywnych zajęć — jest znacznie ograniczony. Ewentualna niższa godzina pracy w ramach etatu niewątpliwie umożliwiłaby prawidłowy rozwój osobowości twórczej młodego kompozytora.

Jedną z najnowszych propozycji Koła Naukowego Wydziału Kompozycji i Teorii Muzyki PWSM w Łodzi jest zorganizowanie pod koniec listopada Studenckiego Festiwalu Młodych Kompozytorów. Impreza organizowana przez PWSM w Łodzi ma być konfrontacją doskonałych twórczych studentów sekcji kompozycji na szczeblu ogólnopolskim, winna ujawnić najbardziej utalentowane jednostki — twórców i odtwórców nowej muzyki i zarazem rozpropagować jej wykonawstwo. Organizatorzy przewidują zaproszenie gości festiwalowych w osobach kompozytorów, szefów znaczących instytucji muzycznych, przedstawicieli poszczególnych uczelni a także prasy, radia i telewizji. Plany zakładają stworzenie forum dyskusyjnego, w ramach którego uczestnicy festiwalu będą mogli zaprezentować z taśmy inne swoje kompozycje, niezależnie od złożonych do wykonania podczas koncertów festiwalowych.

Organizatorzy w chwili obecnej nie dysponują odpowiednimi środkami finansowymi na realizację projektu. Myślę, że propozycja zorganizowania festiwalu winna spotkać się z szerokim poparciem władz miasta, z zainteresowaniem mecenasów w osobach przedstawicieli dużych zakładów przemysłowych.

Studencki Festiwal Młodych Kompozytorów może stać się w przyszłości stałą imprezą propagującą twórczość młodych muzyków — studentów Wyższych Szkół Muzycznych w Polsce.

JACEK KRAKOWSKI

— Skoro już ma męża, po co się w to miesza?

— Jak to po co? — zdumiał się. — Czy przysłała być naszym dzieckiem?

— Tak. Ale postawa, jaką zajmujesz, nie gniewaj się, może sugerować, że mu nie ufamy.

— Chciałbym po prostu wiedzieć — zaczął się raptownie zirytować — co on o tym sądzi i co on ma na ten temat do powiedzenia.

— A uważasz, że ma do powiedzenia coś więcej, niż powiedział nam dotąd?

Od dłuższego już czasu spóźniał się, że dojdzie w końcu do takiej rozmowy z żoną.

A jednak uczył się podminowany odkrywając, że posiadała inne jakby zdanie w tej sprawie.

Że zajmowała inną wobec tej sprawy postawę i znówu pomyślał: „Nie kocha tej jednak. Jest zimna, zbyt wyrachowana. Nie kocha jej” —

niewiele, z uczuciem, jakby coś nieznanego odkrywał, jakby to był trop, po którym powinien podążać.

— Już zapomniałaś, wydaje się, że to ty właśnie odkryłaś tę jego przeszłość i że to ty powiedziałaś mu o nielojalności wobec nas.

— Mimo to — upierała się przy swoim — sprawa to takie wrażenie, jakbyśmy chcieli wszystko zważyć na niego. Czy tego nie rozumiesz?

— W końcu stało się to pod jego dachem.

Patrzyli na siebie przez szerokość stołu, nieufnie i nawet jakiś wrogo, jak podczas gry, w której każde liczyło własną wolę zwycięstwa. Ile to lat? — zastanowił się, jakby wbrew zamiarom, jakby pragnąc stłumić napór teraźniejszości z wszystkimi jej problemami, przywołując po prostu przeszłość. Uległa jego namowom, pokusom, które jej sprytnie zadawał, a może i za poradą którejś z przyjaciółek-cwaniaczek twierdzących, że na rozwód jest zawsze i czas, i szansa, i wzięli na koniec ten ślub.

Bez parady. Bez zastawionego po tradycyjnemu stołu. Nie powiadamiając nawet bliskich, jakby byli ich pozbawieni, a nie — wstydziła się ich obecności w mieszkaniu. Patrzyli dziś na nią po tych bez mała już dwudziestu pięciu latach; czy rzeczywiście zauważał na jej skroni cieniutkie srebrne nitki? Uczuł ból w sercu i znówu zraniła go myśl, że jednak nie dał jej szczęścia, że w jakiś trudny do nazwania sposób zniszczył jej życie. I twarz też niosła piętno lat, gdy wąskie zacienione usta o wargach ledwie muskających pomadką znamionowały upór i zawziętość. Choć przy tym ona właśnie, a nie on, zachowała spokój i większe opanowanie; może miała inny jeszcze od oficjalnego cel, kiedy z nim zaczynała rozmowę?

Milczeli długą chwilę i odniosi wrażenie, że zagrali coś bardzo groźnego.

— To jak — spytał, konsekwentnie pomimo wszystko. — Sum mam z nim ponownie, czy i ty pojedziesz ze mną do niego?

Wpierw jednak byli w szpitalu, jakby po to tylko, by nabrać pewności co do słuszności zamiaru, który przed nim przynajmniej, ojcem tej chorej dziewczyny, jawił się jak nieuchronna konieczność. Zima dobiegała kresu i stąd chociażby wywodził się pewien odczuwalny optymizm. A i Tola, odniosi wrażenie Koziareski, kiedy patrzyła na chorą córkę, przyznawała mu w końcu rację. Potwierdziła też jego donajętą co do swego, zmniejszonego, stanowiska w kwestii zięcia mówiąc, że przemysłała sprawę i że odwiedzi Albina wspólnie z nim.

— Ale — powiedziała — postaraj się być dla niego nie zażyty ostry. To też człowiek, i na pewno kocha ją nie mniej od ciebie.

— Tak sądzisz? — Koziareska uśmiechnęła się do niego. — Bądź spokojna, zaproponuję ci coś, co mu z pewnością będzie na rękę.

Szli więc tam powoli przez miasto, była dosyć dobra jak na luty pogoda: prawie wcale mrozu, a świecące zza chmur słońce obmywało z szarości wszystkie stare kamienice i zabrukowane jezdnie; człowiek gdy tu siedzi, to jakby po to, żeby szukać dawnych wspomnień. Dzielnice ocalały od wojennych zniszczeń — stanowiły przecież dzisiaj o brzydocie sporych rejonów miasta. A dawniej, jak już zdobyte sublokatorce w tych rudach, to był sukces. Ej, a ile można wyrobić normy układając regłę na cegie, żeby powstał nowy dom? Przeważnie wychodziło się na swoje, a nawet lepiej, a potem triumfalny pierwszomajowy przemarsz ulicami, dyplomy uznania i szacunek sąsiadów. Tylko, że tobie przypadło robić akurat w tych starych budach: ściana pękła, więc ją posklejamy, tu znówu przegniły stropy; ale jednak zawsze więcej forsy niż w tramwajach i przecież człowiek czuł się trochę jakby bardziej na swoim miejscu. Chociaż nie od razu. Z początku przecież musiały być trudności: pytali o szkole, o kurs jaki, a wiedzy tam było trzeba tyle, co do trzymania łopaty w rękach. Pamięta do dzisiaj pakamery śmierzące duchota i tytoniowym smogiem, butelki po wodce petające się pod nogami, wymięta, schlapaną wapnem robotniczą odzież, sztywna od potu i brudu, głupawe sprone odzyski kolegów, majzel i młotek, majzel i młotek; ona tego chciała, i uderzył się z całej siły w palec, aż zsiął paznokcie i trzeba było walić do chirurga: ona tego chciała, już lepiej zarabiać, więc czy naprawdę nie stać ich było na to dziecko? Innym domy to umiesz budować, a sami co mamy?

I odeszła wtedy wieczorem. Leżał w łóżku sam, dobra, myślał. I przemysłał wszystko na wszystkie strony, i prawie się z tym jej odejściem pogodził. Pal sześć, jakos to przeżyje. Chociaż zaraz chciałbie szukać jej po wszystkich akademikach i licho wie gdzie. Ale rano wychyla się z okna budowy: stoi na ulicy za parkanem z sosnowych obrzyków. „Musimy” — powiedziała — konieczność zmienić pokój, bo ci ludzie nie są nam życzliwi”. Ano jak tak, to jasne. Czy się nie cieszyli? Zaraz do pakamery, już jest w cywilnym ubraniu, pańskie majster, w niedzielę się odrobił. Polskę obojętny, ale i własny los też; i idą, już miała nowy adres: pokój na peryferiach miasta, willa, ogród, i gospodarze jakos im „życzliwi”. Aż oko biorąc. Coś takiego, wróciła do niego!

Patrzył jak rozkłada na stole książki, notatniki, deskę kreślarską — jego, kurecze, prezent; stał poza kręgiem światła z biurowej lampy, patrzył na nią: ta sama, a inna, bardziej dojrzała, jeden tylko dzień, jedna noc; podziwiał jej włosy opadające na twarz, pochyloną sylwetkę, popielniczkę po jej prawej pełną niedopałków, budzik ustawiony na szósta, a już pierwsza; nie rozumiał: po co się uczyła? Cemu wyrzekała się tylu rzeczy dla tej niewymiennej wartości,

jaką jest wiedza? Meczyla się, nie spała po nocach, truchlała przed egzaminem? Wyobrażał sobie (ale taki mądry był już grubo później), że dostała nagłe wezwanie od Leksu: porzucić rodziców i wiesze wszystkich na wsi żyjących kawalerami i gospodarstwami, które by mogła, zostając, objąć w posiadanie, i wybrać się do miasta; uczyła się tak zapamiętała, że w wyreczeniu tylu rozrywek czających się w mieście, że prawie nie mieściła mu się w głowie myśl, że właśnie nauka stanowiła dla niej najlepszą rozrywkę. Ale też i dumny był z niej. Wystarczyło, żeby ją ujrzał idącą przez miasto w gronie kolegów i koleżanek, śmiejącą się i szczęśliwą, z tym brzuchem, lecz przede wszystkim z torbą pełną książek lub, kiedy indziej, wielkim rulonem papieru. Nie podchodził, cofał się, obserwował z utajenia. Będzie jego żona, matka jego dziecka! A jeszcze ta inna duma, okazywana przezeń wobec koleżanek z budowy. Jak

stłk w zupełnym porządku! Nikt go nie odwiedza, sam jak ten palec. To bardzo dobry chłopak. I żył tak dobrze, tak przykrotnie z Iwoną...

Właśnie na dobrą sprawę ta jego „stanowczość” jeszcze tu, na schodach ponurej kamienicy wystawiona na próbę, „stanowczość”, którą jednak w jakiś czas potem wobec zięcia wykazał, znalazła wsparcie u tej starej baby. Była też z kolei powodem rozdrażnienia, któremu sam uległ, i poważnej w konsekwencji kłótni z Tolą. Stara, durna, wścibska baba! To przez nią i niejako jej na przekór rozmawiał w taki sposób z zięciem, a teraz, po powrocie do własnego domu wyklócał się z żoną o swoją, jak przecież sam pojmował — chybioną rację.

— Popelniliście okropny błąd — orzekła surowo Tola. — Czyś bodaj przez chwilę nie pomyślał o tym, co on może sobie teraz ubzdurzać?

— Co niby takiego? — Siłił się na spokój i

zalegały półki segmentu stojącego w mniejszym z dwu pokoi. Gdy przybyli z Iwoną, specjalnie nie otwierali drzwi z klucza, tak, aby otworzyła je przed nimi Tola na alarm dzwonka, którego przycisk polecił wcisnąć dziewczynce. Trzymał małą za rączkę, jakby na wszelki wypadek, jakby się obawiał, czy nie ucieknie.

— Mama zaraz otworzy — mówił on. Czuje wzruszenie w swoim głosie i przyjmuje groźną, zaspioną minę. — Zadzwoń raz jeszcze — prosi małą i patrzy, jak Iwonka wspina się na paluszki; czekała, sekundy wloką się straszliwie wolno i on myśli, że może Tola nie zechce ich przyjąć, że wyprowadziła się może, albo w czasie jego nieobecności kazala słusarzom wymienić zamki. — No, już, już!

I te drzwi otwierają się teraz, i one obie patrzą na siebie: mała z ciekawością dziecka i ta druga z twarzą tak bladą, jakby była śmierciennie chora. Wymieniają spojrzenia ponad głową dziecka i Tola nareszcie nachyla się nad dziecka twarzyczką. Są podobne do siebie, obie jednakowo przesłiznięte i prawie można porównywać ich młodość. Matka i córka. Ona na to potrzy z napięciem, jakby mogło się coś jeszcze bardziej znamiennego wydarzyć: Tola nie tylko zrobić magisterium, a mała okazać się, na przykład, królową z bajki, czy przynajmniej małą aktoreczką grającą taką królową. Długo trwa ta scena. Potem, kiedy jednak powitanie nie odbyło się zgodnie z jego wyobrażeniem i Tola nie uściśnięła małej, a mała nie rzuciła się z ramionami na szyję matki, przechodzą przez próg, on i córka, i ta mała wcale nie jest stremnowana, biegnie po domu, ogląda pokoje, cały ten nowy dla siebie, zaskakujący rozległy i tajemniczy w porównaniu z pokojami z wiejskiego domu jego rodziców świat, podczas gdy Tola patrzy na niego błagalnie, rozczulając bezradna, prosząc go o pomoc i ratunek...

— Jaka duża — mówi Tola.

— A zwróć uwagę — mówi on — jaka mądra!

I przywołuje Iwonkę, żeby jej zadać przeróżne pytania, na temat podróży, łabci, krówki i wszystkich zwierząt, jakie tylko żyły w tamtej wsi i za oknami podłazu, w lasach i na polach, które odwijały się przed ich oczyma jeszcze nie tak dawno. Patrzy na Tolę. Tola przygryza dolną wargę, w oczach ma łśnienie: to w jej życiu szczególny dzień — wczoraj wręczono jej dyplom magistra inżyniera, a dzisiaj usankcjonowano jej życiowy sukces przywiązując ją (czy w ogóle czyniąc) do godności matki tak dużego dziecka.

— To nie była przesadna z twojej strony dobroć — powtórzył.

Rozesmiała się, a potem wstała i opuściła pokój.

Stalo się to wszystko jakoś wbrew jego woli, inaczej niż planował. Popatrzył na swoje ręce — dłonie były spocone; a jaki głupawy wyraz musiała mieć jego twarz! Boże — pomyślał — nagadałem jej tyle rzeczy, wszystko rozumiała opacznie, przecież nie tak myślałem, jak ona to sobie wyobraża! I pomyślał: Zabije się! Zniechęcony pośrodku pokoju, wmurowany w podłogę wnętrza, z którego najbardziej był dumny: piusowe zasłony w oknach, akwarium z rzadkimi okazami ryb, dyplom na ścianie i własnoręcznie jakoś do tych dyplomów i zdjęć przedstawiających ich zgodne stadło chyba z sześćdziesiątego roku, przyklejona do tych ścian tapeta, zakupiona w Pewexie za dolary nabyta na czarnym rynku. Nasuchiwał: cisza. Co tam robiła, usłyszałby szum wydzielającego się z kucharki gazu, gdyby już (co, co cholera to wszystko; i zapalił kolejnego papierosa.

Na dworze znowu się zmrozi, musiałoby być zimno, wiatr znowu wodził po zamkniętych oknach; coż mógł uczynić, skoro już zrobił aż tyle? Nerwy. Myślała pewnie, że upi się w jakiś tajemniczy sposób. Nasuchiwał. Nic nie było słychać; jeżeli płakała, to bełgłonie i przez to bardziej boleśnie. Mogła mieć pretensje; co miała z młodości, dom i uczelnia odmawiały sobie wielu rzeczy i rozrywek ciągle oszczędne wydawanie pieniędzy, bo kiedy dżstana mieszkanie, to wiadomo jaki wydatek, a jeszcze i to, że w zasadzie wszystko z tego pensji, bo przecież jej stypendium starczało ledwie na kosmetyki. Tylko czy brała pod uwagę, jak też było z nim? Harowa od świtu do nocy. Tacki z zaprawą na budowie, majzel i młotek. A potem jeszcze jej kretyńskie pytania o skład zaprawy do tynkowania jakichś francuskich sufitów, pytania, które miały, jak rozumiał ratować jego nadwątlony męski autorytet. A potem jeszcze jakieś francuskie wille, bogatych frajerów i jej rady, żeby zaczął układać kafelki na ścianach tych wili, wystawianych i rzecz łobuzów żyjących nad stan za przywiązane mienie i skrobanki, bo układanie kafelków jest właśnie — słyszał jej głos — najbardziej optymalne w dotychczasowych czasach dla murarza. Co tam mogła robić?

Drzwi nie zabarykadowała przecież; stała przy oknie i wypatrywała czegoś w ciemni ulicy.

— Posłuchaj — powiedziała podchodząc — posłuchaj, to nas tyle kosztuje normalność. Tak nie można. Zadręczamy tylko jedno drugie...

Chciał położyć dłoń na jej barku ale zabrakło mu odwagi, gest zamari w połowie opuścił rękę i zdiwili się odnajdując ją w parę minut później; zaciśniętą w pięść, jakby ożez potworny, niezależny zupełnie od niego skurz mięśni.

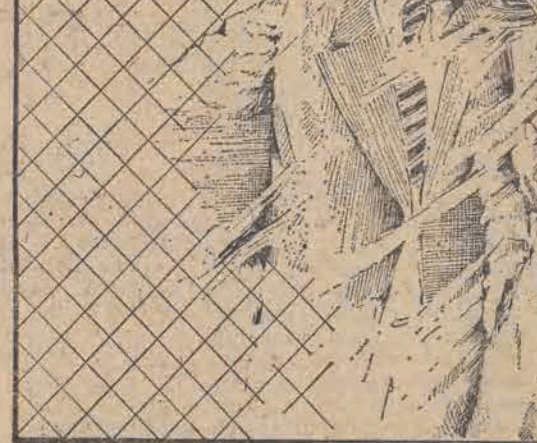
— A właśnie — powiedziała ona — Tak i ja uważam. I dlatego myślę, że napiętej będzie, jeśli się rozłączymy.

Trzymał te dłoń uniesioną do wysokości piersi i patrzył na nią z głupawym zakłopotaniem na twarzy. Skrzyknęły drzwi za jego plecami. Nie drgnął nawet. Nadejście tej chwili wyobrażał sobie tyle razy, a kiedy przyszła, nie nie był w stanie uczynić. Chciał przecież bić. Ale stał w miejscu. Wróci — pomyślał — pojedzie po mieście i wróci. I wciąż miał zdawanie na twarz, jakby po raz pierwszy w życiu zobaczył swoją dłoń ściśniętą tak mocno w kulak. Zaraz potem widział nareszcie, jaki kolor miały tyłne światła tego małego fiacika, kiedy bezszelestnie jakos, jak w śnie, oddalał się w ciemności ulicy...

Fragment powieści „Incident”, która została nagrodzona w konkursie literackim na oświeść lub tom opowiadań tematycznie związanych z województwem śląskim, ogłoszonym dla upamiętnienia 35-lecia PRL.

Michał Ciapała

przed odbudową



Rys. Janusz Szymanski-Glanc

to, ma dziewczynę inżyniera? Ot, hydraulik ma problemy z rozruchem kotła co, a on mówi zwyczajnie i bez drżenia głosu: Poczekaj, popatrz na swoją starą. I widać, że jest to jego żona.

Raz wraca z pracy późno wieczorem, bo trafia mu się fucha po fajerancie, i patrzy, a ona siedzi za stołem, wydaje się, że pogrążona w nauce. Jest w tej ciąży, coraz bardziej zaawansowana sprawa, brzuch coraz większy, i siedzi nad książkami; poczuł nagłe przerażenie tak potworne, że z paniką wycofał się do sieni i dał jej na dwór, na ulicę miasta. Cisza wokół. Włeczór, maciejka, gwiazdy na niebie; jakie to wszystko razem tajemnicze i straszne! Połaził z godziną, pomedytował, wraca, a ona przy tym stole siedzi jak przedtem, wstrząsł się — przecież zwyczajnie śpi! Tak nie można, tak nie wolno, i do tego tyle papierosów! Nie zrozumiela go: okazał się po prostu sknerą wylczającą każdy grosik. I znowu mu wspomniła, że był niezaradny i że trudno jej przecież polegać na nim, skoro zrobił jej dziecko, a nie postarał się dotąd o własne mieszkanie. W co on wierzy, kiedy stara się być taki okropnie uczciwy, nie da komu trzeba tapówki, nie podliże się, żeby awansować na majstra; może wierzy w to, co wypisują gazety, jak niby oczekuje nas raj? Przez życie trzeba iść ostro, dobrze robić lokciami, rozdawać razy, oszukiwać, a innym razem znówu ugiąć karku i pocałować, na przykład, cudzą dłoń. I ni z tego ni z owego znowu w plac. Ze brzez to dziecko straci ona cały rok w nauce, że nie po to wyjeżdżała ze wsi. Zaczęła, nieopatrznie przebudzona przezeń w zle, niestosownie chwili, walić pięścią w blat stołu, spadały kartki papieru, jej zażalowana twarz wydała mu się raptiem brzydka i nawet... odrzucająca. Schylił się i bez słowa zbierał te wszystkie papierki, które ona teraz ciskała na podłogę z jakąś wściekłą, zapamiętałą pasją...

Przyszedł przed ten dom i stanął, jakby nie zdecydowany, a przecież jeśli o niego szło, miał aż nadto stanowczość, tak konieczną dla przeprowadzenia rozmowy z zięciem. Nie być zbyt ostrym. W porządku, to przecież Tola może obiecać. I w końcu cóż takiego ma zamiar zaproponować tamtemu? Nic, co by nie było mu na rękę.

— Te domy — powiedziała Tola — wszystkie jak są, mają iść do rozbiórki. W osiemdziesiątym roku, już niedługo. Jeśli nie otrzymają wcześniej spółdzielczego mieszkania, miasto da im odpowiednie w zastępstwie.

Milczeli chwilę. Dwa lata. Cóż to jest w końcu dwa lata? Wobec tych sześciu na przykład, jakie mieli za sobą oni z Tolą w tamtym „czasie próby”? Jednak kiedy się uwzględniło zaistniałą sytuację z Iwoną, dwa lata były wiecznością...

— A może ty...? — Zawahał się i odwrócił od niej spojrzenie. Mogła zachećkać nań w kawiarni. Albo w pobliskim kościele?

— Nie — powiedziała. — Wiesz dobrze, że muszę być przy tym.

Wspięli się, już nic nie mówiąc, na właściwe piętro. I pani R. stała tam rzecz jasna, uśmiechnięta radośnie, jakby przychodząc spełniał jej pragnienie gromadzenia jak największej plitki.

— Wyszli na miasto — poinformowała. — Na pewno do szpitala. Może państwo...? — uchyliła drzwi swego mieszkania. Kiedy okazali przed nią chłód i nawet nieuprzejmość, wyszła do nich aż na schody. — Jest strasznie załamany jej chorobą. — Uśmiechnęła się chytrze. I ze znajomością rzeczy: — Ale poza tym uszy-

opanowanie, podczas gdy w rzeczywistości wszystko w nim wrzało i czuł się bardzo podniecony. Gówniarz — pomyślał wspominając postawę Albina — jeszcze był gówniarzem. Tak bardzo się boi, że może on w końcu porzucić. Jeżeli jej nie kocha, to im wcześniej odejdzie, tym lepiej. Dla nas wszystkich. To chyba proste. A zresztą, nie żądałem, żeby się wycofował, chociażby na krótko, choć na czas, kiedy ona TAM jest. Zasugerowałem mu tylko taką możliwość, taką... szansę.

Chodził po pokoju długimi krokami, ciągle skutecznie udając opanowanie, które już tracił. Tola obserwowała go niespokojnie, a przy tym z pogardą.

— Sam powiedz — rzekła w pewnej chwili — czy to nie ty właśnie wiskałeś mu ją prawie siłą? Jakbyś się bał, że w tym jej wieku ośmiestnie lat, które wtedy miała, grozi jej staropienstwo? Albo jakbyś chciał...

Zamilkła, a on roześmiał się goźko i przystanął przed nią.

— Nie dokończysz? Wiem, z twojego punktu widzenia wygląda na to, że wciągnęłam mu ją z tym znanym nam obojętym wcześniej, niż to się okazało, „buble”. Czyż tak?

Zauważył, że przybladła. Pohańaj się! — upomniał siebie. Milczała i jej spokojna godność wyprowadzała go do reszty z równowagi. Miała rację. A on jeszcze chciał ją ostonić, sprawić, by nie urola sobie winy. Dobrze w takim razie to rozegrał, nie ma co!

Nagle, kiedy znowu patrzyli na siebie, uzmysłowił sobie, że od dłuższego już czasu mogła tylko czekać na dobrą sposobność, żeby zerwać z nim ostatecznie i odejść.

— Coś ci powiem — powiedział. — Może wyda ci się to za bardzo szczere, ale w końcu muszę ci powiedzieć, co ja sam o tym wszystkim myślę. — Pohańaj się! — przemknęło mu znówu przez głowę. Lecz kontynuował: — Robisz mi takie wymówki, bo boisz się po prostu, że ona może przypadkiem tu, do nas, wrócić. Czy tak nie jest?

Podniosła na niego spojrzenie, w oczach mając nagłą dezorientację i popłoch. Zamilkła, akurat niby na czas zapalenia papierosa. I wtedy ona, cicho i spokojnie, choć w jej głosie dawały się już słyszeć nutki płazliwej hysterii: — Zaraz, czy ty aby w tak subtelny sposób nie zamierzasz dać mi do zrozumienia, że to wszystko zdarzyło się przeze mnie? Nie chciałam dać jej życia, nie kochałam po matczynemu, a potem już tego nie byłam w stanie zrekompensować jej przesadną dobrocią?

Obawiał się tego i tak właśnie było — w głębi duszy obwiniała siebie za to, co przydarzyło się ich małej. Zapomniała o całym ich późniejszym życiu, kiedy jednak dawała rozliczne przykłady macierzyńskiej niskości do tego, może nawet trochę za bardzo wrażliwego i trochę jednak, jego zdaniem, zbyt rozwydrzonego dziecka. Swoim postępowaniem dopuścił do tego, że niejako obnażyła się przed nim po raz wtóry. Tylko czy nie za ostro sobie poczynął? Odpędził od małej męża, a teraz znowu... Czy nie było już szansy na odwrót?

— To nie była, Tola — powiedział cicho — przesadna dobroć ani żadna przesadna troska.

Przypomniał sobie dzień, kiedy pojechał po małą na wieś i przywiózł ją w kręciu do tego ich świeżo w mieście pozyskanego domu. Jak jakiś szlachetny kwiat dla przystrojenia wnętrza. Mała miała wtedy pięty rokczek, a Tola przygotowała wszystko: łóżeczko, drobne prezenciki: lalki, zabawki — całe paczki kolorowych cacek

PROZA

Przyzwyczajaliśmy się, iż przy adaptacjach różnych dzieł słownikowo często droga wiedzie z książki na ekran. A że i w drugą stronę droga okazać się może interesująca — przekazują publikacje Wydawnictwa Radia i Telewizji. Ukazała się właśnie w jednej z serii tej oficyny rzecz Władysława Orłowskiego, autora, który formami dramatycznymi zajmował się od bardzo dawna (zarówno teatralnymi, jak i filmowymi oraz telewizyjnymi).

Mikropowieść „Urodzinowy wieczór” posiada prehistorię, o której koniecznie trzeba wspomnieć. W roku 1974 warszawskie studio telewizyjne emitowało spektakl pt.: „Nie ma sprawy” w reżyserii Andrzeja Marii Marczewskiego z Jerzym Bończakiem w roli głównej. Jego scenariusz stał się następnie punktem wyjścia do wersji książkowej.

Rozważania moralne często pojawiają się w twórczości autora. „Cudzej miłości, cudzego cierpienia”, Orłowski uczulony jest zwłaszcza na sprawę odpowiedzialności, odpowiedzialności wobec samego siebie, wobec własnego sumienia. I

jest to główny problem „Urodzinowego wieczoru”. Młody, świetnie zapowiadający się pianista, spowodował wypadek samochodowy. Zginął w nim człowiek. Notoryczny alkoholik, który w stanie kompletnego zamroczenia dostał się pod koła samochodu nie dawał szans wyminięcia najlepszemu nawet kierowcy, lecz Piotr Stachon przez cały czas odczuwa wyrzuty sumienia, bo nieco wcześniej towarzyszył pod-

wiedliwości bezwzględnej, bezgranicznej, a nie tylko instytucjonalnego usprawiedliwienia. Że jest maniakem sprawiedliwości, bo jakby tytułem zadośćuczynienia oddać chce nerkę gwoździ uratowania życia któregoś z potrzebujących pacjentów szpitala.

Bez wątpliwa bohater „Urodzinowego wieczoru” na tle dość często występującej zniechęty moralnej może się wy-

nie ponosi konsekwencji milczenia...

„Prokurator to jedno, a sumienie ludzkie to coś całkiem drugiego” — powiada w pewnym momencie Piotr Stachon, a mimo to usiłuje obie te rzeczy scalić w jedno, chce, by indywidualne, prywatne odczucie sprawiedliwości pokryło się z oficjalnym werdyktem. Czy to możliwe? I od kogo, bądź od czego to zależy? Czy tylko od konfliktu sumienia? Pytania takie książka Orłowskiego ewokuje i jakkolwiek ich rozstrzygnięcie pozostawia autor czytelnikowi — to przecież sugeruje, iż niezależnie od osobistych poglądów musi istnieć w każdym z nas swego rodzaju superarbitr, to znaczy takie poczucie uczciwości, które w sytuacji konfliktowej pozwoli zająć jedynie dopuszczalne stanowisko.

Powieściowy moralitet Władysława Orłowskiego przeciwstawia się powierzchownemu pojmowaniu życia, przypomina o odpowiedzialności za czyny i słowa.

TADEUSZ BŁĄŻEWSKI
Władysław Orłowski, „Urodzinowy wieczór”, Wydawnictwo Radia i Telewizji, Warszawa 1979, nakład 40 000 + 250 egz., s. 116, cena zł 15,—

TELEWIZJA

Dostojewski jest pisarzem, który bogactwem swej wizji wstrząsa, a wymową swoich utworów przynębia, odbiera spokój wewnętrzny czytelnikowi. Przypisywany kalendarzowo do XIX wieku, typem swej wrażliwości i metodą analizy psychologicznej bliski jest człowiekowi współczesnemu. Stąd wywodzi się niezmiennie zainteresowanie Dostojewskim dziś, stale powtarzające się próby nowych interpretacji jego dzieł.

Istnieje niezaspokojony głód przenoszenia jego pisarstwa w sferę oddziaływania wizualnego, tak typowego dla czasów, w których żyjemy. Mnogość więc adaptacji teatralnych, które obraz zastępywały w jego książkach pragną uruchomić — żywić, wprowadzić w ruch rządzone innymi prawami, prawami widowiska.

„Zbrodnie i kara”, jedna z najpotężniejszych erupcji ducha, jaką zna ludzkość, była w przeszłości przedmiotem niejednej takiej próby. Każda z nich niesie w samym założeniu ogromne ryzyko, gdyż ma-

że co mógłby zrobić, to byłaby chęć dodania czegoś od siebie, pójsie w rozbudowę widowiskowości, w uzupełnienie powieści bogatą grą obrazów.

Nic z tych rzeczy nie oglądaliśmy na ekranie. Telewizyjna „Zbrodnie i kara” nie ma cech dzieła zamkniętego, pełnego, samostanowienia. Jest czymś w rodzaju estrady literackiej, formą możliwie wiernego przekazu pewnych starannie dobranych fragmentów dialogów powieściowych. Aktoży nie zamierzają się lokować pomiędzy nami i powieścią Dostojewskiego, przesłaniać ją, czy załuszczać. Przyjmują w stosunku do tekstu zakodowanego w książce funkcję służebną, możliwie „przezroczystą”, która nie zamącałaby intencji autora.

Daleko posunięta redukcja wątków, wydarzeń, postaci, zrodziła widowisko pełne skupienia i koncentracji na słowie, świadomej rezygnacji z wizualnych smaczków na rzecz oszczędnej, niemal oschłej relacji. Króciutko przedstawiona scena zabójstwa starej lichwiarki i jej siostry Jelizawie-

JESZCZE RAZ
DOSTOJEWSKI

my do czynienia z utworem niezwykle pełnym, domyślanym do końca i wykorzystującym całkowicie konwencję powieściową. Ta kompletność dzieła literackiego, jego „skończoność” każe zadawać sobie pytanie, czy należy brać się za jego przeróbkę, czy z góry nie stoi się na przegranej pozycji?

A jednak ryzyko to nie odstrasza, przeciwnie, pociąga wciąż nowych twórców do dokonywania inscenizacji i ekranizacji powieści. Z Dostojewskim nie można wygrać konfrontacji, można ją co najwyżej w mniejszym lub większym stopniu przegrać. Świadomość tę ma chyba każdy z adaptatorów, a mimo to chce spróbować swych możliwości na tym polu jak magiczna siła pociąga śmiarków w ten gasek i na te bezdroża.

Przyswojenie „Zbrodni i kary” ekranowi telewizyjnemu dokonane w tych dniach przez Andrzeja Łapickiego ma w swej karkołomności wstępny zamiar, który jest swego rodzaju ratunkiem przed dużymi rozmiarami klęski. Otóż autor adaptacji nie ma ambicji stworzenia widowiska, które miało by funkcjonować w miejsce powieści. Buduje je jakby obok niej, albo raczej mając ją nieustannie w tle. Nie jest to spektakl dla tych, którzy nie czytali, żaden skróty ani bryk, ale raczej aluzja, mająca swe stałe odniesienie w książce Dostojewskiego, karmiąca się nią nieustannie.

Przedstawienie wyrasta z wiary w aktorstwo, w jego zdolność ekspresyjnego przekazu tekstu literackiego. Łapicki nie stara się niczym innym „wzbogacić” Dostojewskiego, jest wobec „Zbrodni i kary” skromny. I to dobrze. Najgor-

ty wyrzucona została przed nawias, przed napisy czołowe, by nie zakłócać jednorodności strukturalnej widowiska.

Potem mamy już do czynienia tylko z sekwencją dialogów, z minimalnym ruchem postaci w kadrze przy jednoczesnym śmiałym operowaniu wielkim zbliżeniem twarzy mówiących. Nic dziwnego, reżyser telewizyjny „Zbrodni i kary”, Anna Minkiewicz, należy do najwytrawniejszych u nas mistrzów w prowadzeniu kamer. Dzięki przyjętej koncepcji realizatorskiej spektakl jest gęsty, niemal stabilny, a tym samym trafny w przenoszeniu mistyczno-egzystencjalnych treści.

Zadania aktorskie rozłożone zostały na trójkę wykonawców w niemal równym wymiarze. Raskolnikow Daniela Olbrychskiego jest chyba tak bliski bohaterowi Dostojewskiego jak na to stać obecny polski teatr. Aktor ma do dyspozycji bogaty zbiór środków, z ich pomocą draży rozliczne warstwy psychiczne Raskolnikowa, z których żadna nie jest jeszcze dnem, każda odsłania nowe głębie.

Olbrychskiemu towarzyszy i wspiera go, dojrzałe, wystudiowane aktorstwo Andrzeja Łapickiego, który z sędziwego śledczego Porfirio tworzy zgodnie z Dostojewskim rodzaj alter ego Raskolnikowa. Porfiry wraz z Sonią w wykonaniu Małgorzaty Zajączkowskiej staje się uosobionym głosem sumienia. Obojgu aktorom udało się zaakcentować pozorną różnorodność prowadzonych przez Raskolnikowa. W istocie prowadzi on rozmowę jedynie z sobą samym...

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

TEATR

Jeśliby zestawili listę twórców naszej literatury dramatycznej, którzy odeszli „nie pożegnani” a rozgłos i uznanie zdobyli dopiero wiele lat później, znalazłoby się — gdzieś u jej początku — nazwisko Stanisława Przybyszewskiego.

Dla sceny napisała trzy utwory: głośną od czasu warszawskiej inscenizacji Andrzeja Wajdy „Sprawę Dantona”, „Thermidor” — powstały w języku niemieckim oraz chronologicznie najwcześniejszy „Dziewięćdziesiąty trzeci”. Zrodził się w ten sposób swoisty tryptyk Rewolucji Francuskiej.

„Sprawa Dantona” i „Thermidor” to udratyzowane kroniki; postaci, faktów i wydarzeń nie stworzyła wyobraźnia pisarza, lecz historia. Wyjatek w tym cyklu stanowi jedynie „Dziewięćdziesiąty trzeci”, wyposażony nie tylko w bohaterów fikcyjnych, ale i bardziej „teatralną” akcję, zawierającą elementy sensacji, wątek miłosny i wyraźne pierwiastki autobiograficzne.

Nad bohaterami tego dramatu, ich losami i sytuacją życiową, zaciążył wielki konflikt historyczny. Nie śledzimy go jednak bezpośrednio. Jesteśmy z dala od głównych animatorów tej fazy rewolucji: Robespierrea, żyjącego jeszcze Dantona i już zamordowanego Marata. Na scenie rozgrywa się konflikt innego rodzaju; powstał wprawdzie na tle tego pierwowzoru, ogarniającego swymi rozmiarami cały kraj i angażującego większość monarchistycznej Europy, ma jednak charakter odmienny, czysto psychologiczny, przy czym wachlarz prezentowanych z tej okazji uczuć jest szeroki: z jednej strony wyznacza go nienawiść i prowokacja, z drugiej miłość i zrozumienie. I przebiega doprawdy pierwszorzędnie warsztat aktorskiego, umiejętności prezentowania złożonych stosunków międzyludzkich, uzewewnętrzniania odczuć i doznań psychicznych nad wyraz skomplikowanych, by przedrzeć się przez niełatwy tekst dramatu Przybyszewskiego.

Czy sprostał temu zadaniu zespół Teatru Nowego? Połowicznie. Nie wiem, czy było to wynikiem błędów w obsadzie, czy też po prostu niewłaściwej koncepcji reżysera — dość powiedzieć — że postać najbardziej interesująca dla całego spektaklu, myślę o Maud, wypadła blade i nieprawdziwie. Obawiam się, co więcej, że widz nie znający tek-

stu dramatu mógł mieć pewne trudności z odczytaniem motywów jej postępowania, które, tak wyraźne w trakcie lektury, okazały się niezwykle powierzchowne w interpretacji, jaką zaproponowała Teresa Makarska. Jeśli nawet przyjąć, że problem stosunku Maud do ojca potraktowany został przez Przybyszewską w sposób skrajny, a w samym założeniu utworu tkwi pewna sztuczność, to jednak jest w tej postaci tyle uczuć, zmienneń, walczących ze sobą wzajemnie, tyle sprzeczności i decyzji podejmowanych pod wpływem różnorodnych impulsów, tyle — wreszcie — dynamiki, że starczyłoby tego z pewnością na kreację aktorską. Makarska przeliznęła się jednak nad całą głębią pro-

sumienia. Ale właściwa hierarchia wartości tego człowieka ma jednak wymiar inny. „Nie mam skrzydeł; od ziemi oderwać się nie mogę” — wyznaje w rozmowie z Maud. I dalej: „Dlatego kocham człowieka — w jego doczesnym życiu przede wszystkim. To błąd. W dodatku kocham miłością tak głupią, tępa, tak... rozpaczliwie, że aż na równi z Bogiem — Pan nie ma pierwszeństwa w moim sercu. A u kapłana to straszliwy grzech”. A więc „grzeszy kapłan”, służący nie Bogu lecz człowiekowi, kryje się za tą postacią. Czyż nie dlatego stara się pomóc w ucieczce księdzu de la Meuge, którego rewolucja przeznaczyła na zagładę — że go ceni i ufa mu jako człowiekowi? Józefowicz obrał jednak inną drogę interpretacyjną, przydając granej przez siebie postaci cechy nie najlepiej do niej przystające. Zawiniła tu w dużej mierze niewłaściwa charakterystyka, czyniąca z księdza Michota osobnika o wyglądzie niemal diabolicznym. Gra stosowana i oszczędna podkreślała jeszcze te cechy, której doprawdy trudno się doszukać w literackim pierwowzorze.

Nie zawiódł natomiast oczekiwani Janusz Kubicki jako ksiądz de la Meuge. Rola prowadzona konsekwentnie, z dużym wczuciem tekstu i postaci. Zawarł w niej Kubicki dumę i godność arystokraty, troskę ojców o dobro najbliższych mu istot, a przede wszystkim obraz człowieka, na którego historia wydała wyrok skazujący. Stosując umiarkowanie i rozważnie środki aktorskiej ekspresji dał w efekcie postać klarowną i dojrzałą. Dobrze zaprezentowali się również Bogusław Semotulski jako Josse i Krzysztof Leszczyński (Denis).

Z pewnością nie jest to spektakl łatwy w odbiorze. Wysokie wymagania stoją zarówno przed aktorem jak i przed widzem. Ale skoro wkroczyliśmy już w świat rzeczy wielkich Stanisława Przybyszewskiego — uznajmy, że wart był poznania.

ANDRZEJ S. WARZECHA

Państwowy Teatr Nowy, Mała Scena Stanisława Przybyszewskiego: „Dziewięćdziesiąty trzeci”. Reżyseria Jerzy Wróblewski, scenografia: Iwona Zaborowska. Premiera 7 marca 1980 roku.

FILM

„Cóż za osobliwa epoka w Niemczech; owe lata, które nastąpiły po zakończeniu pierwszej wojny światowej (...). Niejasna atmosfera osiąga swoje apogeum podczas inflacji, pociągającej za sobą zawalenie się wszystkich wartości. W tym czasie wrodzony niepokój Niemców przybiera gigantyczne rozmiary. Mistycyzm i magia, ciemne siły, którym Niemcy zawsze ulegali z przyjemnością natary teraz z podwójną energią, wzmożoną „jeszcze przez śmierć szalejącej na polach bitew. Hekatomba młodych mężczyzn, przedwczesne skoszarowania, zdawała się teraz syć niepokojące skłonności tych co przeżyli. I upiory, które już nawiedzały niemieckich romantyków, znów odżyły na podobieństwo cieni Hadeu, pokrzepiających się ludzką krwią” — pisze w „Ekranie demonicznym” Lotte Eisner — badaczka niemieckich filmów ekspresjonistycznych.

Nieokreśloność, niepewność,

przeświadczenie, że jutro może wydarzyć się wszystko — kryły w sobie zapowiedź nadchodzącej nocy. W szare, deszczowe dni berlińskiego listopada 1923 roku rozgrywa się akcja „Jaja węży”. Inżyniera Bergmana — filmu, w którym obserwujemy tak rzadką w zachodnim kinie rejestrację szczególnych momentów w historii. Momentów, w jakich nadciągające wydarzenia dziejowe są jeszcze nieobecne, choć ich kształt jest już rozpoznawalny. Podobnie jak w „Kabarecie” Fosse’a ważna staje się chwila, w której jeszcze nic się nie wydarzyło, chociaż wyrok już zapadł. Bohater filmu — amerykański Żyd Abel Rosenberg, który przez przypadek znalazł się w Berlinie, jest człowiekiem z zewnątrz. Podobnie jak młody bohater „Kabaretu”. Temu ostatniemu nieświadomie uda się odejść wówczas gdy petla nie zacisnęła się jeszcze ostatecznie. Rosenberg chce być daleko od spraw, które rozgrywają się wokół. Ale los wybiera właśnie jego. Właśnie on ma stać się człowiekiem, który ja-

ko pierwszy pozna prawdę o nieuniknionej przyszłości.

Na ulicach Berlina stale obecny jest strach. W sytuacji, gdy marki liczy się na kilogramy, a godność ludzka jest już tylko wspomnieniem — ludzie stają się przedmiotami. Kiedy człowiek może sprzedać już tylko własne życie, kiedy jest już jedynie organizmem — społeczeństwo tworzy jedność bardziej niż kiedykolwiek zgo-

porywa to obce ciało w wir i rzuca na samo „dno”. Jest to jednocześnie moment, kiedy obserwatorowi udaje się dostrzec potworną crupeję absurdu, który odwołuje się do zimnej, odczłowieczonej logiki. Rodzi ją świat sprowadzony do trwania biologicznego, niepewny, „czy Niemcy będą jeszcze istnieć w czwartek”. W chaosie, jaki zapanował dokoła, przy braku jakiegokolwiek wartości

PRZED FASYZMEM

dną w oczekiwaniu na przyszłość, która powstanie przeciwko każdemu z osobna, a na korzyść i za przyczynieniem wszystkich. Nieindywidualizowany tłum uliczny z pierwszych i ostatnich ujęć filmu przelewa się przez miasto jak osobny twór — żywa istota obdarzona własną świadomością. Rosenberg jest jednym z tłumy — ale jest zarazem kimś obcym. Strumień ludzkiej masy

— może zatriumfować logika, która reprezentuje jedynie w tym świecie idealistę — demoniczny doktor Vergerus — współczesny Caligari. Jest to logika nienawiści wobec tego, co w człowieku biologiczne, własnie, ograniczające — na rzecz organizacji społecznej zracjonalizowanej w system totalitarny. Medyczne doświadczenia rejestrowane na filmowej taśmie w szpitalu św. An-

ny są zapowiedzią nadchodzącego czasu i efektem sytuacji już powszechnej. Wyprzedzają zaledwie o miesiąc i dni monachijski pucz Hitlera — niedużą próbę generalną wydarzeń mających się rozegrać za lat dziesięć. „Jaja węży” podobnie jak film Fosse’a czerpie swoją siłę z świadomości przyszłych wypadków, które dziś są już historią.

Drukowany u nas w „Dialogu” scenariusz filmu Bergmana — nakreślonego po wyjeździe reżysera ze Szwecji — sugerował nawiązanie do tradycji ekspresjonistycznych w kinie. Jednak w ostatecznej realizacji stało się inaczej. Co prawda wszechobecny lek znajduje swój obrazowy ekwiwalent w wędrówkach kamery po opustoszałych ulicach gdzie mimo obecności policyj trwa już polowanie na Żydów, po labiryncie policyjnych i szpitalnych korytarzy, gdzie strach towarzyszy motywowi zamknięcia, uwiecznienia. Lecz przecież nie jest to czarno-biały świat „Ulisy” Grunego z 1923 roku i dziesiątków filmów z lat dwudziestych.

Barwa, która przeciwstawia się filmowej tradycji i starowi istotne ograniczenie jak i fabuła, która bierze na siebie odpowiedzialność za sens dzieła — decydują o odmienności „Jaja węży” w stosunku do filmów, które na bieżąco, w czasie teraźniejszego rejestrowały stan zbiorowej świadomości Niemiec. A przecież pewna dosłowność fabry filmu mogłaby stać się jego słabością, gdyby nie konkretyzacja leku „który obróci się we wskiełość” w twarząch zdziłych pracowników szpitalnego archiwum, policjantów, Frau Holle, bojówkarskich i innych skieplakarzy-widm. A także w niepewnych spojrzeniach gości i artystów kabaretu — miejsca, które przynależą do odchodzącego świata XIX-wiecznej mieszczańskiej stabilizacji w wielu już filmach stało się motywem obrazującym ostatnie chwile wahanie się historii pomiędzy tyranią a chaosem.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

Być w Moskwie i nie zobaczyć Wioski Olimpijskiej? Ale Wioska Olimpijska jest zamknięta. Stoi gotowa i czeka. Szesnaście pięknych wieżowców, szpital, sale treningowe i wiele innych urządzeń, które potrzebne będą sportowcom, a później przydadzą się mieszkańcom. Po olimpiadzie Wioska Olimpijska zamieni się w nową, ładną dzielnicę miasta. W Moskwie w ogóle buduje się ładnie. Nowe osiedla coraz silniej wiskają się w dawne podmiejskie tereny, zabudowane drewnianymi domkami. Wracając z Wioski Olimpijskiej mogłem zobaczyć kilka zachowanych jeszcze takich drewnianych domków. Ładnych zresztą, ale już nie wytrzymujących konkurencji nowoczesnego budownictwa.

Był to ostatni dzień mego pobytu w ZSRR. Mając kilka godzin do odlotu samolotu do Warszawy postanowiłem pojechać do kina. Być w Moskwie i nie pojechać do kina, tego też nie mogłem zrobić. Bardzo lubię radzieckie kina. Szczególnie to duże, gdzie bufet dobrze zaopatrzony; znakomicie można tam zjeść lody, posłuchać muzyki przed filmowym seansem, obejrzeć ciekawą wystawę. W kinie „Oktiabr” przy Prospektie Kalinina było wszystko. I lody, i muzyka i ciekawa wystawa. Ale nim zdecydowałem się na poście do kina zapytałem znajomych:

— Czym teraz interesują się moskiewscy kinomani?

— Przede wszystkim „Garażem”. To wspaniała komedia, dość śmiała i żywo dyskutowana.

Ale „Garaż” grano w kinach odleglejszych, a czasu już było niewiele. Z kina „Oktiabr” do hotelu „Ukraina” tylko dwa przystanki autobusem. Można więc zdążyć do hotelu na kolację i po bagaże. A w kinie „Oktiabr” grają akurat inny film, który także cieszy się ogromną popularnością: „Moskwa łzom nie wierzy”. Władimira Mienszowa.

Moskwićanie lubią chodzić do kina. Jak obliczyli statystycy, moskwićanin chodzi do kina 17 razy w roku. Wprawdzie statystyczny obywatel ZSRR chodzi do kina 20 razy w roku, ale nie zapominajmy, że w Moskwie pełno jest przyjeźdźców i ci na ogół mają wiele innych zainteresowań, a do kina chodzą w swoich miastach. Z wyjątkiem cudziemców, którzy interesują się filmem i znają język rosyjski.

— „Moskwa łzom nie wierzy” — powiedzieli mi znajomi — to jest bardzo dobry film.

I rzeczywiście. Biletów już nie było. Na szczęście administratora kina miała niewielki zapas — uratowała mnie legitymacja prasowa i fakt, że za kilka godzin odluduję do Warszawy.

— Cóż z wami robić — powiedziała ciężko wzdychając. — Idźcie do kasy numer 6 z tą karteczką, tam wam sprzedadzą bilet.

„Moskwa łzom nie wierzy” jest o powieści o losach trzech radzieckich dziewcząt, które w latach pięćdziesiątych, ale już pod ich koniec, przyjechały do stolicy. Zamieszkały w hotelu robotniczym, w jednym pokoju i miały jeden cel. Dobrze wyjść za mąż. Jak chyba wszystkie dziewczęta na całym świecie. A i samo zjawisko migracji do miasta nie jest innym obce. Nam na przykład. Tylko, że u nas ma ono niewątpliwie inne podłoże.

W Związku Radzieckim — notują demografowie — nasila się zjawisko przenoszenia się młodzieży ze wsi do miast. W wyniku tego w niektórych rejonach średnia wieku zatrudnionych na roli zamyka się w granicach 45—50 lat. Jest to oczywiście zjawisko niekorzystne. Demografowie i socjologowie zastanawiają się więc, gdzie tkwi przyczyna tego zjawiska, bowiem ostatnie lata przyniosły poprawę warunków życia na wsi, wzrosły dochody ludności żyjącej w kolchozach, rozwija się budownictwo na wsi. Akurat przed filmem, w kronice, pokazano jedną z wiosek litewskich, przepięknie przebudowaną według projektów niejcowskiego architekta — kobiety w tej wsi mieszkającej. Takich wiosek jest jeszcze mało. Mogłem się o tym przekonać, jadąc pociągami przez spory szmat Rosji, ale już i w tej dziedzinie zaczyna się zmieniać. A proszę nie zapominać o skali, jaką się wszystko mierzy w Związku Radzieckim. Tam każde zjawisko idzie zaraz w miliony. Więc i starej, drewnianej Rosji szybko się nie przebuduje, ale praca nad tym trwa.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

MOSKWA ŁZOM NIE WIERZY



Foto: Archiwum

Bohaterki filmu „Moskwa łzom nie wierzy” przyjechały do Moskwy z określonych powodów. Marzyły im się życie jak w filmie. Nowe znajomości. Aktorzy, filmowcy, telewizja. Być może i dziś niektórymi młodymi kierują te same powody. Ale rzeczywistość okazała się inna. Zamiast pięknego mieszkania, wspólny pokój w hotelu robotniczym. Zamiast olśniewającej kariery, praca w piekarni, codzienna sytuacja, wynikająca z pewnych procesów społecznych.

U nas film ten potraktowany być może będzie jako typowy melodramat. Okazałoby się, że tak dalej. I rzeczywiście. Są tam sceny wzruszające. Film jest bowiem utrzymany w ciepłym tonie. Dialog żywy, pełen humoru. Widownia reaguje bądź pełną napięcia ciszą, bądź salwami śmiechu. Ale przy tym wszystkim jest to film do myślenia. Nie, nie ma tam płaskiego dydaktyzmu. W ogóle nie ma dydaktyzmu. Jest po prostu normalna, codzienna sytuacja, wynikająca z pewnych procesów społecznych.

W Związku Radzieckim pracuje 90 procent kobiet w wieku 20—40 lat. A przy tym — jak to wykazał ostatni powszechny spis — w ZSRR liczba kobiet — przewyższa liczbę mężczyzn o prawie 18 milionów. Jest to oczywiście skutek wojny. I tego skutku nie łagodzi przyrost naturalny. Wprawdzie na każde 100 urodzonych dziewczynek rodzi się 106 chłopców, ale są oni słabsi i w rezultacie do wieku dojrzalego dorasta taka sama liczba chłopców co dziewcząt. A poza tym w niektórych re-

gionach ZSRR demografowie z niepokojem obserwują obniżający się przyrost naturalny. Zmienia się też struktura rodziny w Związku Radzieckim. Jeśli w 1970 roku przeciętna rodzina statystyczna składała się z 3,7 osoby, to na początku lat osiemdziesiątych już z 3,5 osoby.

A jak postępuje spadek przyrostu naturalnego? Otóż w latach pięćdziesiątych wynosił on 1,8 procent, w latach sześćdziesiątych — 1,3, a w

latach siedemdziesiątych — 0,92 procenta. Ale różnie to wygląda w różnych częściach ZSRR. Jeśli na przykład ludność RFSSR, Białorusi i Ukrainy wzrosła o 26 procent, to w Turkmenii — o 28 procent, w Uzbekistanie — o 30 proc., w Tadżykistanie — o 31 procent. Przy tym trzeba pamiętać jeszcze i o tym, że występuje tu migracja ludności między republikami.

„Moskwa łzom nie wierzy” składa się z dwóch części. Pierwsza kończy się wtedy, gdy Katarzyna nastawia budzik i zasypia płacząc. Kiedy na ciemnym ekranie pojawiają się napisy — „Koniec części pierwszej” i „Część druga”, mijają w akcji filmu 20 lat. Są już lata siedemdziesiąte. Dzwoni budzik. Budzi się Katarzyna, ale jest to już inna Katarzyna, inna mieszkaniec, inna część Moskwy. Jej córka Aleksandra ma już 20 lat. A Katarzyna jest dyrektorem fabryki włókienniczej.

W tej drugiej części jest taka scena. Do domu kultury przychodzi Katarzyna jako dyrektor fabryki. Właśnie odbywa się nauka tańca. Kierowniczka klubu (pamiętajmy, że 90 procent kobiet w wieku lat 20—40 pracuje) prosi o pomoc, bo wokół jest wiele samotnych kobiet i samotnych mężczyzn. Trzeba im pomóc spotkać się, nawiązać znajomość, poznać się bliżej.

— Czy wy wiecie, jaki to problem? — pyta kierowniczkę klubu Katarzyna. — Ile w Związku Radzieckim

jest samotnych kobiet i samotnych mężczyzn?

Katarzyna wie, bo jest też sama i sama wychowała Aleksandrę. A widzę domyśla się, że przy skali tutaj obowiązuje wszystko wyraża się milionowymi liczbami. Ale dlaczego są samotni mężczyźni? Ich jest przecież mniej. Powinni być rozchwytywani. A nie chcą się żenić.

Film bezpośrednio daje nam to odpowiedź. Kiedy wrzeszczą Katarzyna poznaje swego męża, a gra go Aleksy Batałow, przy pierwszym wspólnym obiedzie wygłasza on swoje męskie credo przyjmowane przez widownię w dużym skupieniu. Powiada on mniej więcej tak: — w rodzinie decyduje mężczyzna, on musi zarabiać więcej od żony, on musi mieć wyższe stanowisko (a nie wie jeszcze, że jego wybrana kobieta jest dyrektorem), on musi mieć poważniejszą i szacunek. Kiedy w nowo zażywającej się rodzinie dojdzie do pierwszej kłótni, on zagrozi Katarzynie, że jeśli jeszcze raz podniesie na niego głos, wstanie, wyjdzie i więcej nie wróci. I Katarzyna to rozumie, prosi o przebaczenie, Ona, która raz dzieli załoga dużej fabryki, gdzie jej zastępcami są mężczyźni.

W sklepie byłem świadkiem drobnej awantury, kiedy klient chciał wyczerpującej informacji, a ekspedientka — starsza zresztą już pani — potraktowała go dość sucho i obojętnie. — Proszę mnie tak nie traktować — powiedział ostro klient. — Tylko bez szorstkości. (Użył on słowa „grubost”, co tłumaczy się jako szorstkość, ale i impertynencja. — Kaka gruba? — tłumaczyła się ekspedientka. — Nie było nikakoj grubości.)

Utrzymanie porządku i dyscypliny społecznej wymaga pewnej szorstkości i oschłości, a także stawia przed wszystkimi określone wymagania. Na straży tego porządku i dyscypliny stoją przede wszystkim pracujące kobiety. One pełnią szereg funkcji w instytucjach życia publicznego. One — można powiedzieć bez większej przesady — rządzą mężczyznami. Czy teraz można się dziwić, że mężczyźni wolą nie mieć w domu kobiet nawykłych do rządzenia? Ja się nie dziwię. Ale społecznie nie jest to zjawisko korzystne. Przeciwnie. I film „Moskwa łzom nie wierzy” daje do zrozumienia w sposób bardzo sugestywny i wzruszający, że jednak niezależnie od tego, kto jest kim (Aleksy Batałow gra cenionego w instytucjach naukowym szluzarza) w domu kobieta i mężczyzna muszą się wzajemnie rozumieć i szanować. W domu obowiązują inne zasady i inna hierarchia. Ludmiła, której nie udało się małżeństwo ze znanym sportowcem, marzy o drugim, chce jeszcze raz spróbować. A już się uda. Katarzynie udało się znaleźć swego mężczyznę, choć nie przyszło jej to łatwo. Dlaczego więc jej miało być nie udało. Ich trzeciej przyjaźni nie udało.

Nie wiem, o czym dyskutowali moskwićanie po wyjściu z kina, kiedy pospacerowali po zasypanej jeszcze śniegiem Moskwie, a potem zasnęli w domu do kolacji. Myślę jednak, że o sprawach, które zaprezentował im film Władimira Mienszowa. Bo rzeczywiście warto o tym dyskutować. A życzyliby przyjęcie tego filmu na berlińskim festiwalu świadczy, że radziecki reżyser znalazł właściwy sposób pokazania spraw, które interesują każdego człowieka i na szczęście dobrze się kończą.

PO PROSTU

Ogłoszoną przez Państwowe Wydawnictwo Ekonomiczne (1979) w ramach serii *Problemy ekonomii politycznej socjalizmu* książkę Joachima Meissnera p.t.: *Krytyka burżuazyjnych teorii syntezy ustrojów społecznych* historyk od czytelnika innej, niż socjolog czy ekonomista. Rozumie on oczywiście, że teoria konwergencji, rozwijana na Zachodzie jako alternatywa marksistowskiego pojmowania dziejów, uważająca za zasadniczą tendencję rozwojową współczesnego

wariantach teorii konwergencyjnych, czy to będzie teoria stadiów rozwoju gospodarczego W. Rostowa, czy inne, nie zawsze dostrzega się ich historyczne antecedence. Leżą one w pokładach myśli społeczno-ekonomicznej minionego stulecia, bardziej niż w poglądach starszej szkoły historycznej w ekonomii w zapamiętywaniu jej młodszy siostry, oraz ogólnie biorąc w marksistowskich pozytywistycznych próbach wyjaśniania zmienności rzeczywistości. Były one budowane w opozycji do stosunku do tzw. indywidualistycznego historyzmu, który świecił triumfem na obszarach historycznego myślenia co najmniej od połowy XIX w. I proponowały rozpatrywanie procesu dziejowego w kategoriach nomologicznych, podług wzoru wyniesionego z bujnie rozwijających się wówczas nauk przyrodniczych. Koncentrowały się na poszukiwaniu „czynników”, stymulujących rozwój ludzkości, starały się też wskazać na konieczność i prawidłowość — w przekonaniu myślicieli reprezentujących ten kierunek poszukiwań — etapy czy szczeble rozwoju dziejowego w nadziej, że uda się im odnaleźć jakiś ogólny „rozkład jazdy” wedle którego toczyłaby się historia wszystkich krajów. Jedną z najmłodniejszych pod koniec stulecia takich koncepcji była krytykowana przez W. Lenina teoria „łipskiego ekonomisty i historyka gospodarczego Karla Büchera. Byłoby ciekawe i pouczające dokonanie zestawienia wspomnianych nam poglądów tego autora z różnymi współczesnymi nam wariantami teorii stadiów rozwojowych; wówczas okazałoby się, że mimo wszystkich różnic, ogólny model rozumowania pozostał w zasadzie bez zmiany.

Dawniej i dziś polega on bowiem na założeniu ścisłego, niedialektycznego determinizmu rozwoju rzeczywistości, warunkowanego czy to postępowem ekonomiczno-produkcyjnym, czy rozwojem technologicznym czy innymi czynnikami. Wydaje się, że współcześnie najmłodniejsze są technologiczne warianty tego rodzaju koncepcji: fascynacja rozwojem techniki, w dobie rewolucji naukowo-technicznej jest — jak podkreślał J. Meissner — skądinąd zrozumiałą. Rozwój techniki i nowoczesnej technologii pociąga przecież za sobą określone konsekwencje w różnych dziedzinach życia społecznego.

Myślę, że nie trzeba będzie długo czekać, by pojawiły się ekologiczne warianty koncepcji syntezy ustrojów społecznych w przyszłości, bowiem modna dziś problematyka ekologiczna jest w stanie dostarczyć ich zwolennikom sporej wiaźki nowych argumentów, które z pewnością mogą zostać przez nich podjęte.

Zarówno dawne, jak i nowsze teorie, oferując wszechobowiązujący dziejowy rozkład jazdy dla przeszłości, teraźniejszości i przyszłości ludzkości, poszukują wyjaśnienia źródła zmienności świata poza sferą świadomej i celowej działalności człowieka w takich bądź innych niezależnych od niej anonimowych siłach czy czynnikach. Stanowią one logiczne przeciwieństwo koncepcji, wyjaśniających dziejową zmienność wolą i działaniem ludzi, przede wszystkim tzw. wielkich jednostek. Niewiele różnią się co się tyczy przyjętego modelu rozumowania, od modnych na Zachodzie koncepcji proweniencji psychoanalitycznej. One również chciałyby wyjaśnić całokształt dziejowej zmienności odwołując się do sił, pozostających poza sferą celowej i świadomej działalności ludzkiej, z tą różnicą, że tkwiących nie poza człowiekiem, ale w nim samym, jako w jednostce biologicznej, psychicznej itd. Wszystkie one, eksponując bądź obiektywną, bądź subiektywną stronę dziejowej rzeczywistości, pozostają w zasadniczej sprzeczności z tym jej wyjaśnieniem, które oferuje teoria materializmu historycznego oczywiście nie w jej sprymitywowanej postaci. Proponuje ona rozpatrywanie procesu dziejowego jako dialektycznej jednostki obiektywnej i subiektywnej. Jego strony wskazując, jak określone warunki obiektywne wyznaczają możliwości subiektywnych ludzkich działań, zaś te ostatnie z kolei oddziałują na owe warunki. Filiaż modelu wyjaśniania zmienności świata, do którego odwołują się współcześni zwolennicy teorii konwergencyjnych, wykazuje bardzo bliskie pokrewieństwo z mechanistycznymi koncepcjami spod znaku pozytywizmu, niezależnie od tego, czy są reklamowane jako prawdziwa intelektualna nowość, czy też nie.

Warto książki J. Meissnera polega, naszym zdaniem, nie tylko na tym, że rzetelnie informuje o koncepcjach W. Rostowa, R. Aroana, J. Timbergena i innych, oraz poddając je

uzasadnionej krytyce, dostarcza nam ona materiału do znacznie ogólniejszych przemyśleń o kierunkach współczesnych refleksji nad zmiennością świata. Szczególną wagę przywiązywałbym do umieszczenia na końcu tej książki refleksji o charakterze teoretycznym, dotyczących nie tyle takich czy innych wariantów teorii konwergencji, ile rozumienia marksistowskiej teorii formacji społeczno-ekonomicznych. Zgadamy się z autorem, że oczywiście nie teoria konwergencji wysunęła te zagadnienia, ale trudno zaprzeczyć, że może ona stanowić dogodną tło dla niektórych rozważań z tego zakresu. Problemy, które autor dyskutuje, są więc nie tylko ważne, chodzi bowiem najogólniej o sposób rozumienia teorii formacji, nie będącej wszak jeszcze jednym dziejowym rozkładem jazdy z pretensjami do nieomylności, ale typologicznym ujęciem rozwoju społeczeństw w skali makro, nie wykluczającym — co już podkreślał K. Marks (a o czym nie zawsze pamiętał jego interpretatorzy) — niezliczonych odmian i gradacji rozwojowych. Trudno nie zgodzić się z J. Meissnerem, że te i im podobne zagadnienia wymagają od uczonych teoretycznego pogłębienia, oraz że doświadczenie historyczne krajów, które ominęły określony etap rozwoju nie zostało jeszcze w pełni uwzględnione w teorii formacji społeczno-ekonomicznej lub ewentualnie w jej interpretacji i stąd mogą się pojawić pewne wątpliwości. Ekonomista — J. Meissner — jest bowiem przedstawicielem tej własnie dyscypliny — wychodzi tu na przeciw dyskusjom, które fascynują dziś licznych filozofów i historyków nie tylko w krajach socjalistycznych.

ANDRZEJ F. GRABSKI

TEORIE SYNTEZY USTROJÓW SPOŁECZNYCH

świata nieuchronne — zdaniem jej rzeczników — upodabnianie się kapitalizmowi i socjalizmowi, jest właściwie zbiorem różnych koncepcji, dotyczących hipotetycznego rozwoju współczesnych społeczeństw kapitalistycznych i socjalistycznych, że w związku z tym poprawnie byłoby mówić nie o jednej teorii, ale o teoriach w liczbie mnogiej, głoszących w przyszłości syntezę ustrojów społecznych. Z racji swej profesji historyk zaakcentuje jednak silniej, aniżeli specjaliści od innych nauk, że te bardzo nowe koncepcje, reklamowane w wielu krajach jako prawdziwa intelektualna — a zarazem polityczna — nowość, są co się tyczy łączącego u ich podstaw modelu wyjaśniania zmienności rzeczywistości społecznej bardzo stare, odgrzewają bowiem w nowej wersji poglądy znane od bardzo dawna z obszaru myśli społecznej.

Dłatego historyk żałuje, że pisząc o współczesnych

20 lutego 1979 roku. Godzina 9 rano. Kapitan Kenneth Lenard zapatrzył się w mapę nawigacyjną. Dowodzony przez niego oceanograficzny statek „Alisse Maru” zaledwie wczoraj wypłynął z Hongkongu, biorąc kurs na Morze Czerwone. No i pech — defekt w silniku. Kenneth Lenard odrywa wzrok od map i pytająco patrzy na mechanika, który, z wyrazem zaniepokojenia na twarzy, stoi oparty o drzwi kabiny nawigacyjnej. Już 8 lat pływał razem na pokładzie „Alisse Maru” i nauczyli się porozumiewać bez słów.

— Crige, jak sądzisz, musimy zawinąć do portu?

— Moglibym sam naprawić silnik, trzeba się tylko schronić w jakiejś małej zatoczce. Ale czas nagli. Silnik ledwie zipi.

— Dobrze, stary — rzucił kapitan i odwraca się do sternika: Kurs sto dziewięćdziesiąt! Idziemy na Hantwey.

20 lutego, godzina 19. Przez szczelinę w ścianie szalasu z bambusowych prętów sączy się złoisty promyk zachodzącego słońca. Połowi blednie, wreszcie gaśnie. Kapitan Lenard leży na ziemi z rękami

złóżkami, szybko znikają za horyzontem, kiedy tylko w pobliżu ukazują się sylwetki patrolowego kutra. Strefa działalności współczesnych piratów jest bardzo rozległa — Cieśnina Tajwańska aż po Zatokę Adeńską. Paradoks polega na tym, że ani jeden okręt — czy to amerykańskiej czy też filipińskiej lub Malezji — nie zwraca najmniejszej uwagi na zbrodnicze wypadki morskich rozbójników.

TAJEMNICE MOKENÓW

Francuski etnograf, Pierre Ivanov, długi czas studiował obyczaje małej narodowości Mokenów, morskich koczowników, zamieszkujących wybrzeża Birmy, Tajlandii, Malezji. W 1974 roku wynajął statek i udał się na „wykrycie” Mokenów. Kilka tygodni później jego żłok, ze zmiażdżoną czaszką, wyrzuciło morze na jedną z plaż w Tajlandii. Podczas śledztwa policja niewiele wyjaśniła: po nawiązaniu kontaktu z Mokenami, Ivanov wniknął w najgłębsze tajemnice „triad”. Mokenowie gnieźdzą się rodzinami na małych, stępczkach. Ale piraci z Singapuru zaopatrują ich w szybkie kutry, żeby umożliwić im

Tygodnik U.S. NEWS AND WORLD REPORT zwraca w obszernym opracowaniu uwagę na groźne zjawisko, które — jak dotychczas — umykało uwadze amerykańskiej opinii publicznej.

Przemysł amerykański boryka się z falą przestępczości o niespotykanych wręcz rozmiarach. Jest ona w swym szczytowym okresie i przynosi straty sięgające miliardów dolarów.

Złodzieje kradną narzędzia rolnicze i maszyny budowlane, warte dziesiątki tysięcy dolarów, często wysyłając je za granicę, gdzie są one sprzedawane z dużym zyskiem.

Wzrastające ceny energii spowodowały porywanie cystern z benzyną, a nawet kradzież paliw z rurociągów.

Mnożą się doniesienia o napadach na kolejowe stacje przeładunkowe, fabryki i hurtownie, gdzie towary są przechowywane lub eksportowane.

Pomimo faktu, iż problem ten nabiera dużej wagi, wywołuje on bardzo małe zainteresowanie opinii publicznej, a wysiłki mające na celu jego rozwiązanie przynoszą nikłe rezultaty. „Nie są to przestępstwa, które wzbudzają protest choćby niewielkiej części społeczeństwa — stwierdził W. E. Rutledge, urzędnik śledczy zatrudniony w kalifornijskiej policji drogowej — przeciwny obywateli sądzi, że maszyny te są ubezpieczone, ale w rezultacie płaci za ich kradzież, kupując np. główkę sałaty lub budując sobie podjazd do garażu”.

Największe straty ponosi przemysł budowlany. W Cleveland złodzieje włamali się na ogrodzony teren budowy i uciekli z koparką wartości 150.000 dolarów, którą załadowali na platformę samochodową. W Roscoe (stan Nowy Jork) przedsiębiorca budowlany ogrodził teren budowy ze wszystkich stron, z wyjątkiem terenów graniczących z rzeką. Wystarczyło to, aby zniknął przenośny barak mieszkalny wartości 7.000 dolarów, ciężki traktor wartości 38.000 dolarów oraz ładowniarka wyceniona na 85.000 dolarów. Wszystkie te przedmioty ukradziono za pomocą barki rzecznej.

Według ocen „Associated General Contractors of America” (AGC), jednego z największych stowarzyszeń firm budowlanych, straty z tytułu kradzieży i wandalizmu na placach budów wyniosły w 1978 roku 638 mln

\$. Oznacza to, że przeciętny przedsiębiorca stracił w tym roku 10.425 dolarów.

Wartość zdobyczy może być olbrzymia. Zdaniem Deery’ego, złodzieje mogą często uzyskać od 30 do 50 tys. dolarów za duży buldożer, a za zgarniarkę od 60 do 100 tys. dolarów. Najwyższe ceny można uzyskać wysyłając sprzęt za granicę. Za maszyny wysyłane do Ameryki Południowej można zainkasować ceny przekraczające 200 proc. ich wartości, a w krajach Bliskiego Wschodu lub Afryki prawie 350 proc.

Zjawisko tego rodzaju kradzieży występuje w większości rejonów kraju, jednakże w pierwszym rzędzie dotyczy ono „pasa słonecznego”, czyli stanów południowych. Występuje tam szczególnie duże zapotrzebowanie na usługi budowlane ze względu na przebudowę śródmieści wielu dużych miast oraz nasilenie prac wieśniaczych na polach naftowych.

Ray Atherton, specjalista od spraw bezpieczeństwa, zatrudniony w koncernie naftowym „Chevron” twierdzi, że jego firma podejmuje wiele działań w celu ochrony kierowców cystern i przewoźników paliwa podczas załadunku lub rozładunku, jednakże z chwilą, gdy kierowcy znajdują się na drodze, najlepszą, co możemy zrobić, to poradzić im, aby mieli oczy otwarte”.

W ub. roku „Chevron” padł ofiarą szajki złodziei, którzy skradli ok. 50.000 galonów benzyny z rurociągu w południowej Kalifornii. Posługując się jako kamuflażem porzuconym stoiskiem do sprzedaży owoców, przestępcy wywiercili podziemny tunel, za pomocą którego doprowadzili część przepływającej rurociągiem benzyny. Zdaniem policji, złodzieje, którzy wciąż jeszcze są na wolności, musieli dysponować cysterną o pojemności ok. 2.000 galonów w celu wywozu skradzionego paliwa. Herb Force, inny specjalista od spraw bezpieczeństwa z „Chevronu” uważa, że musieli to być wysoko kwalifi-

kowani specjaliści, ponieważ tylko tacy mogli „podłączyć się” do rurociągu nie wysadzając go równocześnie w powietrze.

Również farmy i zakłady przemysłowe borykają się z tego rodzaju problemami. Szczególnie często łupem złodziei padają dystrybutory z benzyną na farmach, chemikalia używane w rolnictwie, drogie traktory i inny sprzęt rolniczy. Z pewnej farmy w Kalifornii zniknęła w ub. roku ciężarówka wraz z ładunkiem 55 galonów chemikaliów. Straty oceniono na 115.000 dolarów.

W Detroit dwaj mężczyźni przynajmniej się ostatnio do kradzieży 5.000 funtów płytek niklowych z zakładów koncernu „Ford” w Saline (stan Michigan) i sprzeda-

USA: PLAGA KRADZIEŻY W PRZEMYSŁE

ży swego łupu w składnicy złomu za 8.000 dolarów. Również w Michigan aresztowano niedawno trzech członków szajki, która kradła części samochodowe z zakładów koncernu „General Motors”. Rocznie łupem złodziei padają części wartości 1 mln dolarów. Gaźniki, sprężyny zaworów, świece zapłonowe i inne części były po prostu wrzucane do pojemników na śmieci i wywożone przez przestępców, wśród których znajdowali się również pracownicy tych zakładów.

Działające w stanach Oklahoma i Teksas terenowe oddziały „International Association of Drilling Contractors” opracowały program zapobiegania kradzieży, przewidujący zarówno nagrody za informacje jak i system identyfikacyjny zaopatrujący wszystkie urządzenia w specjalny kod. Jeden z przedsiębiorców ocenia, że działania te zmniejszyły straty lokalnych firm wiertniczych o połowę.

Lokalne stowarzyszenia budowlane również nasiliły działania prewencyjne. W rejonie Memphis, gdzie przedsiębiorcy stracili w ub. roku 15,5 mln dolarów na skutkach kradzieży i aktów wandalizmu, powołano do życia nowe stowarzyszenie mające na celu zapobieganie przestępstwom. W Portland, w stanie Oregon, policja pośpieszyła z pomocą przedsiębiorcom prowadzącym roboty w śródmieściu, m.in. znacząc składowane drewno specjalną farbą, co ułatwia jego identyfikację w wypadku kradzieży.

W innych miastach policja nalega, aby przedsiębiorcy przechowywali maszyny i urządzenia w strzeżonych miejscach, lub wymontowywali na czas przerwy w pracy określone części zamienne, tak, aby złodzieje nie mogli ich uruchomić.

Przedłożono również projekt ustawy udzielającej władzom celnym większych uprawnień w dziedzinie nadzoru nad wysyłką ciężkiego sprzętu za granicę. Obecnie celnicy tylko sporadycznie kontrolują numery seryjne wysyłanego sprzętu.

Inni eksperci opowiadają się za wprowadzeniem albo rejestracji, albo wydawania odpowiednich dokumentów dla ciężkiego sprzętu. Ich zdaniem, producenci powinni przynajmniej dostarczać zaświadczenie o pochodzeniu danej maszyny. Zdaniem cytowanego już W. E. Rutledge’a z kalifornijskiej policji drogowej, w obecnej sytuacji złodzieje nie muszą przedkładać żadnych dokumentów, aby sprzedać ciężki sprzęt.

Specjaliści zajmujący się zwalczaniem kradzieży w przemyśle przyznają, że problem nie zostanie rozwiązany łatwo, zwłaszcza, gdy utrzymywali się będą perspektywy stagnacji gospodarczej. Jeden z przedsiębiorców podsumował to następująco: „Kradzież jest jak prostytucja. Nie można jej zwalczyć, a tylko starać się ją maksymalnie ograniczyć”.

PIRACI KORALOWYCH RAF

mi związanymi na plecach. Ostry ból promieniuje od związanych rąk aż do barków. Roje much obsiadły głowę, szyję, powieki, wargi. Jeszcze krwawi skóra zarta z policzka... Co się stało z „Alisse Maru”? Wydarzenia ostatnich dziesięciu godzin mogłyby się wydać niewiarygodne, gdyby nie było świadków.

„ŁOŻA K-16”

Statek zawinął do cichej laguny, zarzucał kotwicę. Kapitan, pykając fajki, wpatruje się w zarysy nieznanych brzegów. Koralowe rafa, gęsta, nieprzenikniona dżungla, aromatyczny zapach kwitnących orchidei. Ciężkie powietrze przytłacza, obojętnie lenistwem, niemocą. Ale co? Spoza niedalekich raf wyłania się kilka dżonek i dwumiejscowych malajskich łódek. Lenard próbuje je policyzować: jedna, dwie, trzy dziesięć, piętnaście... Jak muchy otoczyły statek i już po chwili na pokładzie zaczęły bosa stopy nieproszonej gości. Na oczach oślepiających Amerykanów wyciągają noże, pistolety, kastety. Załogę obojętnie wtrącają pod pokład, statek ograbiono do szczeru. A kapitan, Kenneth Lenard, oficer floty amerykańskiej, został związany i rzucony do jakiejś klatki, cuchnącej i wilgotnej.

„Alisse Maru” padła ofiarą pirackiego rozbójstwa, dokonanego przez tajną organizację przestępczą, szeroko rozgałęzioną i dobrze znaną na wodach tamtejszych mórz. Handel narkotykami, fałszywymi brylantami, futrami i chińską porcelaną, bronią i używanymi samochodami, utrzymywanie domów gry i domów publicznych, barów, restauracji, hoteli — taki jest zakres działalności tej przestępczej ośmiornicy, jak nazywają ją tubylecy. Organizacja ta — jak informuje kolumbijski dziennik „Cromos”, znana pod nazwą „Triady” lub „Złoty mafi” — składa się z mnóstwa wzajemnie zwalczających się „łódz”. Najpotężniejsza i najbardziej wojownicza jest „łód K-16” z ośrodkiem kierowniczym w Hongkongu.

PIRACI XX WIEKU

Tajni agencji mafii nakładają harace na właścicieli restauracji, hoteli, prywatnych przedsiębiorców, nawet rybaków. Oponenti giną tajemniczo od ciosów noża w plecy lub całkiem zwyczajnie „wpadają” pod samochód lub pociąg. Wie o tym wszystkim i policja hongkongska, i tajlandzka. Ale co z tego, kiedy ostatnio kutry patrolowe coraz częściej znajdują na morzach ograbione łodzie rybackie, jachty, statki spacerowe, barki. I tylko trupy pomordowanych na pokładzie są jedynymi świadkami tych tragedii.

Po długotrwałych poszukiwaniach, podjętych przez tajlandzką policję, ujęto pięciu bandytów. Jak się okazało, byli oni członkami jednej z przestępczych „łódz”. Morski rozbój stał się dla hersztów mafii nie mniej dochodowym biznesem niż handel narkotykami. Ale polić nie udało się osiągnąć większych sukcesów: rackie szkunery, zaopatrzone w po-

„operacje” na całym wybrzeżu — od Zatoki Bengalskiej aż po południową część Malezji. Taktyka stara i sprawdzona: wyciągać kasztany z ognia cudzymi rękami. Dwa razy w miesiącu wysłannicy „triad” udają się do Mokenów i zgarniają twardą część zdobyczy. Na nich właśnie natknął się niedoświadczony badacz, powracający w wąskiej łódce do „swojego obozu”. U wyjścia z zatoki oczekiwał na niego ślizgacz, który na pełnej prędkości staranował łódkę. Nik! bezkarnie nie może przeniknąć do tajemnic „triady”.

Rzadko komu udaje się uciec z życiem z rąk piratów...

W 1978 roku policja tajlandzka zarejestrowała 200 wypadków pirackich na swoich wodach terytorialnych. W maju ub. roku miało miejsce poważne starcie zbrojne między bandą piratów a oddziałem policji, który usiłował zająć ich oboz w południowo-zachodniej części kraju. Podczas strzelaniny zginął oficer policji, a 10 policjantów odniosło ran. Ostatnio ofiarami bandytów padają oraz części rybacy. Żeby odzyskać swoje łodzie i połów, muszą płacić wysoki okup. Pożądanym nabytkiem dla mafii są tzw. uciekinierzy z południowo-wschodniej Azji.

NIEZNANY LOS KAPITANA LENARDA

Teraz coraz częściej napadają piraci na statki pasażerskie i wycieczkowe. Niedawno w zachodnich brzegach Malezji próbowali zagarnąć jacht zachodniemieckiego przemysłowca. Na szczęście, w pobliżu patrolował kuter policyjny i bandyci ukryli się w jednej z niezliczonych lagun.

Francuski jacht i jego załoga mieli mniej szczęścia. 39-letni paryski lekarz, C. Jounville, odbywał właśnie podróż dookoła świata. Załoga jachtu składała się z 9 osób. Przepłynęli Morze Śródziemne i zatrzymali się w Bejrucie, następnie, przez Kanał Sueski, wypłynęli na Ocean Indyjski. Dramat rozegrał się w pobliżu Wysp Maledivy. Jacht stał na kotwicy, niedaleko wysepek koralowych. Nagle zaczął szczebrać pies. Okazało się, że do jachtu podплыły dżonki. Po kilku minutach było już po wszystkim. Pies leżał w kałuży krwi, a pod różnicą — ze związanymi rękami. Krewni Jounville’a musieli zapłacić wysoki okup, żeby uwolnić go z rąk piratów.

„Ale kapitan Lenard nie miał takich krewnych i nie mieli ich także jego marynarze, uwięzieni pod pokładem statku. Kiedy zapadła ciemność marynarze zaatakowali piratów — strażników wyrzucili za burtę, a herszt bandy zatrzymał jako zakładnika. Po dotarciu do amerykańskiej bazy na Diego Garcia, marynarze powiadomili dowództwo o całym wydarzeniu, ale wystane na poszukiwania kutry wojskowe nie odnalazły ani szalasu z bambusa, ani kapitana Lenarda... Dopiero po upływie kilku miesięcy pierwszy oficer „Alisse Maru”, K. Williams, otrzymał list, w którym bandyci proponowali wymienie swego herszta za Lenarda. Rozpoczęły się długie rozmowy. Jak się zakończą — jeszcze nie wiadomo...”

Opł. JERZY CZECH

TYDZIEŃ W POLITYCE

Choć do 4 listopada — terminu wyborów prezydenckich w USA jeszcze daleko — kampania wyborcza stała się już częścią amerykańskiego życia politycznego i znajduje swe odbicie w każdym posunięciu administracji i każdym wystąpieniu waszyngtońskich polityków. Z takiego też punktu widzenia należy spojrzeć na ubiegłotygodniowe przemówienie Cyrusa Vance’a w senackiej komisji spraw zagranicznych. Miało ono za zadanie zarysować priorytety i cele polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych na lata osiemdziesiąte, w rzeczywistości jednak ma spełnić określony rolę w kampanii wyborczej. Może właśnie dlatego mieszają się w nim tony zimnowojenne z odprężeniowym.

Co powiedział amerykański sekretarz stanu?

Trzeba — powiedział — utrzymać równowagę sił militarnych, zachować przewagę w siłach obronnych, utrzymać wysoki poziom sił strategicznych i konwencjonalnych, aby sprostać wszystkim zagrożeniom, zachować silne sojusze i dogodne powiązania polityczne na forum międzynarodowym.

Vance wiele uwagi poświęcił kryzysowi w stosunkach z Iranem i wydarzeniom afgańskim. Stwierdził, że USA są zainteresowane rejonem Zatoki Perskiej, gdyż tam znajduje się czwarta część światowych zasobów ropy, a stosunki tam panujące mają wpływ na ogólniejszą sytuację.

W innym miejscu natomiast mówił o konieczności kontynuowania rokowań ze Wschodem i utrzymaniu dialogu. Zauważył znaczenie „kontroli zbrojeń nuklearnych i ograni-

czenia rozprzestrzeniania się broni jądrowej” oraz układu SALT II. W tej ostatniej sprawie powiedział m. in.: „Naszym celem dobre służą porozumienia radziecko-amerykańskie... Z powodów, wynikających z troski o nasze bezpieczeństwo, powinniśmy zmierzać do ratyfikacji SALT II w możliwie najbliższym, dogodnym terminie”.

„Usprawiedliwienie” obecnego kursu administracji, stwierdzenie konieczności zbrojeń, ale równocześnie nałożenie pewnych ograniczeń w dalszych zbrojeniach jądrowych oraz pozostawienie otwartej furtki do rokowań — oto co można wyłowić przede wszystkim z tekstu Vance’a. Komentarzy zagraniczni podkreślają, że wypowiedział się on dość umiarkowanie i pragmatycznie i nie spowodował nowego etapu napięcia w stosunkach z ZSRR. Co jednak w tym przemówieniu jest przede wszystkim na użytek kampanii wyborczej: zbrojenia, czy też zapowiedź kontynuowania rokowań w celu ich ograniczenia?

Pozostawimy przy tym ostatnim temacie. W genewskim Komitecie Rozbrojeniowym, na kolejnym jego posiedzeniu z udziałem delegacji 40 państw, dyskutowano w ub. tygodniu na temat wspólnej propozycji ZSRR, Polski i innych krajów socjalistycznych w sprawie wypracowania kompleksowego programu rozbrojenia na najbliższe lata. Przedłożony przez nas dokument wymienia jako cel najwyższy całkowite i powszechne rozbrojenie, które powinno być realizowane pod ścisłą kontrolą międzynarodową. Częścią kompleksowego programu są propozycje zanie-

chania wyścigu zbrojeń jądrowych i rozbrojenia nuklearnego. Stwierdza on konieczność zawarcia porozumienia o jednoczesnym zaprzestaniu przez wszystkie państwa produkcji wszelkich rodzajów broni jądrowej: atomowej, wodorowej i neutronowej i stopniowej redukcji nagromadzonych już zapasów. Proponuje ponadto zespół przedsięwzięć, które zapobiegłyby wybuchowi wojny nuklearnej. Program — dodajmy — zakłada nieumniejszenie bezpieczeństwa jakiegokolwiek państwa, co oczywiście wymaga rezygnacji z jednostronnych korzyści militarnych.

Z innych wydarzeń tygodnia wymienić trzeba bardzo napiętą sytuację wewnętrzną w Salvadorze i groźbę prawnicowego zamachu stanu oraz zmianę stanowiska włoskich socjalistów co do udziału w przyszłym rządzie.

Kilka zdań o tej ostatniej sprawie. Jak wiadomo, dotychczasowy premier Włoch F. Cossiga otrzymał misję utworzenia nowego gabinetu. W toku rozmów z socjalistami uzyskał ich zgodę na współpracę w przyszłej koalicji rządowej z chadekami i republikanami. W parlamencie wymienione trzy partie mają większość, dysponować będą 26 głosami przewagi nad opozycją.

Pisałmy na tym miejscu, że przyczyną upadku ostatniego rządu było przejście socjalistów z pozycji biernego poparcia do opozycji. Wtedy też partia ta oświadczyła, że nie weźmie udziału w nowym rządzie, jeśli w jego skład nie wejdą także komuniści. Teraz opinia uległa zmianie.

Partia socjalistyczna domaga się zaangażowania nowego gabinetu na rzecz odprężenia w stosunkach Wschód — Zachód.

W. SŁAWSKI

Dalszy ciąg ze str. 1

nocy z niedzieli na poniedziałek. Wiadomo, że świeży śnieg jest sprzymierzeńcem każdego, kto pragnie skutecznego zatarcia śladów swej działalności. Najlepiej wywieszyć pies śledczy nie pod kątem tropu, gdy wszystko spowija biały całun. Sporządzone więc jedynie dokładny raport oparty na szczegółowej relacji pp. Tarnowskich...

UFO

Przedstawicielom prasy odmówiono informacji dotyczących zebranego materiału. Na szczycie ul. Sasanek nie leży na końcu świata i przy odrobinie reporterskiego wysiłku możliwe stało się odszukanie na własną rękę bohaterów milicyjnego raportu.

Parterowy dom oznaczony tabliczką z nr 60, podobny jest do wielu innych w tej okolicy Radogoszcza, dzielnicy, która jeszcze po wojnie była dalekimi peryferiami Łodzi. Do dziś zachowało się tu wiele z atmosfery i nastroju przedmieścia, a sąsiedzi na ogół dobrze się znają. Jan Tarnowski tu się urodził i wychował, doskonale zna wszystkie zakamarki ogrodów i leśnych działek, domki rozrzucone między ulicami Zgierską i Łagiewnicką. Z żoną i 5-letnią córką Elżbietą zajmuje dwuizbowe mieszkanie z oknami na północ. Teraz, gdy nie ma liści na drzewach, widać stąd piętrowy drewniak odległy prawie sto metrów. Z boku, nieco na wschód, stoją niskie komórki i zabudowania gospodarcze. Niemal to samo widać z okien sąsiadów pp. Tarnowskich, zajmujących drugą połowę domu. Ale ani sąsiedzi, ani lokatorzy piętrowego drewniaka nie zaobserwowali w nocy z 2 na 3 marca niczego, co zwróciłoby ich uwagę. Po prostu spali.

Jan Tarnowski mówi: — Długo, nie mamem, zasnąć. Skończył się już program w telewizji. Żona dawno usnęła, a ja jeszcze nie spałem. Pomyślałem, że może nie przychodzi, chyba dlatego, że byłem jeszcze pod wrażeniem po przebiegu mojej babci, którą bardzo kochałem... Leżałem na łóżku z zamkniętymi oczyma, gdy nagle wydało mi się, że błysnęło jakieś silne światło. Otworzyłem oczy. Mimo że okna były zasłonięte firankami i grubymi zasłonami, przebiegał się przez nie silny blask, wręcz olśniewający... Obudziłem żonę. Ogarnęto nas takie przerażenie, że nie śmiałem wstać, aby zwołać sąsiadów. Wyraźnie widziałem dwie duże kopuły. Sprawiły wrażenie jakichś dziwnych, pozaziemskich pojazdów. Pewien jestem, że wokół kręciły się jakieś istoty... Bałem się, że przyby-

sze mogą nam zrobić coś złego. To wszystko trwało aż do świtu. Dopiero nad ranem odważyliśmy się wyjść z mieszkania. Pytałem sąsiadów, czy czegoś nie zauważyli — niczego nie widzieli...

Pierwsze relacje Małgorzaty i Jana Tarnowskich opublikowane zostały na pierwszych stronach gazet warszawskich. Próba inwazji kosmitów? — zastanawiał się Kurier Polski, donosząc o wydarzeniach w Ło-

ki pozaziemscy przybyły nie zaskąd przy barze w Klubie Dziennikarzy, uganiał się po archiwach, szukając gazet warszawskich, relacjonujących łódzkie wydarzenia. Zia tradycja łódzkiej prasy codziennej stało się, że z uporem godnym lepszej sprawy nie udostępnia swych lamów opisom zdarzeń rozgrywających się na własnym łódzkim podwórku, zostawiając pole do popisu najprzeróżniejszym domysłom i zwy-

Brazylią czy Francją, a nie chcą przytaczać relacji dotyczących przypuszczalnych obserwacji znacznie bliżej, bo w tym samym mieście. Czyżby rodzime przypadki wydawały się mniej wiarygodne niż zagraniczne?...

Tasma magnetofonowa zarejestrowała i taki fragment wypowiedzi Jana Tarnowskiego:

— Gdy zobaczyłem ten blask za oknem, to w tym samym momencie usłyszałem krzyk jakiejś kobiety do-

oraz jeden znajdujący się w powietrzu na wysokości nie dającej się, niestety, określić. Główny obiekt stojący na ziemi, zbliżony był kształtem do kopuły o średnicy ok. 4-5 metrów. Jan Tarnowski mówi, że o-biekt miał „okienka” w których zapalało się, bądź gasło światło. Kształt drugiego obiektu nie daje się określić, ponieważ ukryty był za drewnianymi komórkami gospodarczymi, a widoczna była tylko jego górna część, wyposażona w „mrugające” światła. Według relacji pp. Tarnowskich zachodziła wyraźna współzależność pomiędzy kopułą stojącą na ziemi, a wiszącą w powietrzu. „Gdy obiekt powietrzny — mówią oni zgodnie — wysłał w kierunku ziemi snop silnego światła niebieskiego, to światło w okienkach kopuły gasło”. Ponadto Jan Tarnowski jest zdecydowanie pewien, że w pobliżu UFO stojącego na ziemi były jakieś istoty postępujące się dwoma reflektorami. Reasumując — podkreślił mgr Zbigniew Blania-Bolnar — uważam, że w Łodzi, przy ul. Sasanek 60, zdarzyło się bliskie spotkanie trzeciego rodzaju.

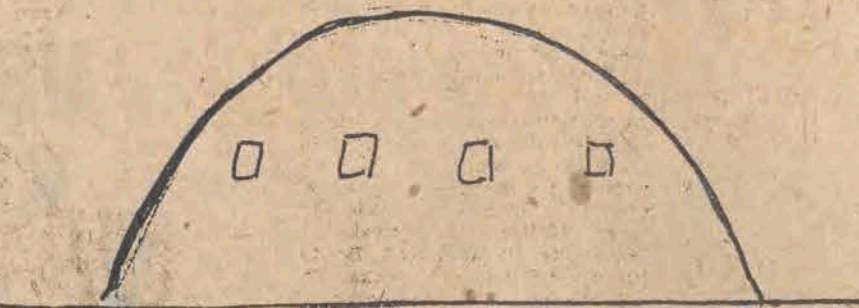
Mgr Zbigniew Bolnar poinformował też, że niemal identyczna obserwacja odnotowana została w literaturze UFO-logicznej we Francji. Otóż 27 października 1952 roku, o godzinie 2,03, celnik na lotnisku cywilnym Marignieu, Gabriel Garhi-quard, widział taką samą kopułę z okienkami, jak opisywana przez Małgorzatę i Jana Tarnowskich. Łódzki przypadek odnotowany został jako druga tego rodzaju obserwacja na świecie. Informacje o relacji pp. Tarnowskich zamieściły w swoich serwisach prasowych największe agencje obsługujące gazety na wszystkich kontynentach.

Jan Tarnowski ma wśród najbliższych sąsiadów i kolegów w bazie PKS opinie człowieka zrównoważonego i spokojnego. Trudno dopatrzeć się jakiegokolwiek motywów, które miałyby go skłaniać do szukania rozgłosu, bądź wzbudzenia sensacji. Gdyby tak miało być, zapewne nie zwracałby się do MO, ale raczej powiadomił red. Wandę Konarzewską z warszawskiej TV, którą zna z oglądanych programów popularnonaukowych, poświęconych m. in. zagadnieniom niezidentyfikowanych obiektów latających. Co więcej, Jan Tarnowski mówi, że miał opory przed zawiadomieniem kogokolwiek o swoich i żony przeżyciach w nocy z 2 na 3 marca. Obawiałem się, że „obserwacja” będzie „błędna” — pisał. Dodałem jednak do wniosku, że „błędnie” zastrzeżenie władze, ponieważ może się za tym kryć coś, o czym władze powinny wiedzieć...

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że przemilczaniem takich relacji jak Małgorzaty i Jana Tarnowskich z ul. Sasanek, nigdy nie rozstrzygnięciem się budzącego dyskusję i kontrowersje problemu niezidentyfikowanych obiektów latających. Czyż nie mam racji?

KONRAD TURÓWSKI

*) Albo i negującym — przyp. kopuły. Sprawiły wrażenie jakichś



Tak według Jana Tarnowskiego wyglądała kopuła, którą miał oglądać wraz z żoną w nocy z 2 na 3 marca br.

dzi. Wiele osób zwracało się z pytaniami i wątpliwościami również do redakcji łódzkich gazet. I tym razem jednak przybrały one pozę dostojnego milczenia. Ale ci sami dziennikarze, którzy chętnie się, że nie uwierzą w istnienie niezidentyfikowanych obiektów latających p-

kłym plotkom. Wynika z tego i taka szkoda, że traci się możliwość odnalezienia jeszcze innych osób, które pewnie mogłyby uzupełnić relacje znane tylko z jednego źródła. Zastanawiające jest, że te same gazety skrupulatnie rejestrują doniesienia o pojawieniu się UFO nad



Tym domem zainteresował się UFO

Foto: R. Łucyszyn

Zacząć należy od tego, że większość ludzi, nie mając czasu, ochoty czy talentu, by poznać się z postępową wiedzą, uwielbia mistyczne, mgliste pogranicza pseudonauki, jak parapsychologia, astrologia i podobne. „Scientific American” prowadzi rubrykę analityczną do prowadzonej w „Przekroju” — „50 i 100 lat temu”. Otóż w jednym z ostatnich zeszytów czytamy wywiatek sprzed 50 lat, a więc z 1929 roku. Wielu ludzi ceni produkty naszej wiedzy. Szanuje się osiągnięcia w dziedzinie sterylizacji produktów z zakażeń bakteriologicznych, nie interesując się, w jaki sposób Pasteur doszedł do odkrycia drobnoustrojów. Podziwia się osiągnięcia architektury w dziedzinie budowy drapaczy chmur, nie wiedząc o tym, że podstawy do obliczeń inżynierskich sformułował Galileusz. Znikoma liczba ludzi interesuje się postępową nauką. Miliony, skądinąd inteligentnych i wykształconych ludzi spogląda na świat ich otaczający oczyma ludzi średniowiecza. Większość ich mieszka na pseudonaukę i stanowi łatwy łup tych zwłascza, którzy wykorzystując łatwowierność, różnymi sztuczkami usiłują leczyć niedomagania organizmu. Astrologia jest na ogół bardziej popularna niż astronomia. W niektórych społeczeństwach istniały wręcz próby ustalenia na drodze głosowania, czy teoria ewolucji jest prawdziwa czy też nie.

Powinno być cytatem jest właściwym wstępem dla przedstawienia sytuacji, w której akupunktura, stanowiąca dla wielu mistyczna alternatywa medycyny oficjalnej, znajduje wreszcie właściwe miejsce w świecie współczesnym. Akupunktura, oczyszczona ze średniowiecznej ignorancji i mistycyzmu, stała się ostatnimi laty przedmiotem poważnych badań naukowych zarówno w Europie i Stanach Zjednoczonych, jak i w Chinach. Akupunktura jest starożytna chińska umiejętność łagodzenia bólu przez wkuwanie igieł w określonych miejscach na określonej głębokości. Chiński badacz pracownik Szanghajskiego Instytutu Fizjologii, Chang Hsiang-tung, opublikował w „Chinese Medical Journal” artykuł, w którym dyskutowane są współczesne poglądy na akupunkturę. Do niedawna, zgodnie z tradycją medycyny chińskiej, wyjaśnienia miały charakter raczej metafizyczny. Według tych tradycyjnych poglądów ból i choroby wynikały z zablokowania lub przerwania ciągłości w krążeniu energii życiowej, przepływającej przez 12 hipotetycznych kanałów, które połączone są z ważnymi życiowymi narządami. Przez wkuwanie igieł w te kanały

można je odróżnić, przywrócić krążenie energii życiowej i w ten sposób uzdrowić. Przebieg tych kanałów nie ma żadnych odpowiedników w strukturach anatomicznych ciała.

Punktem wyjściowym dla badaczy, którzy podjęli usiłowania wyjaśnienia działania akupunktury za pomocą współczesnej wiedzy była obserwacja, iż punkty, w których wkuwane są igły, znajdują się w pobliżu nagromadzenia dużej liczby zakończeń nerwowych. Powstało więc pytanie, w jaki sposób podrażnienie zakończeń nerwowych, powodowane przez igły, daje efekt

działający do sfery świadomości. Tak więc bodźce wywołane przez akupunkturę zamykają niejako bramę dla bodźców przenoszących informacje o silnym bólu. Doświadczalnemu potwierdzeniu tej hipotezy jest naskrzyknięcie lokalne miejsca, w które wkłada się igły, nowokaina albo innym miejscowym środkiem znieczulającym. Lokalne znieczulenie blokuje możliwość wytwarzania tagodnych bodźców akupunktury i działanie akupunktury zostaje w ten sposób zupełnie zlikwidowane.

Chang rozważa anatomiczny układ punktów, w

wieka i zwierząt produkuje peptydy o działaniu zbliżonym do morfiny. Peptydy te, zwane enkefalina lub endorfinami (w zależności od długości łańcucha peptydowego), wiążą się z tymi samymi receptorami, co morfina. Synteza więc enkefaliny i endorfin wiąże się z obniżaniem uczucia bólu, a pośrednie dowody i pomiary bezpośrednio wykonane na zwierzętach wykazały wzrost stężenia tych substancji pod wpływem akupunktury.

Przedłużone działanie przeciwbólowe akupunktury zostało wyjaśnione przez badacza szwedzkiego, Sjölanda. Wśród endorfin można wydzielić wolno znikającą frakcję, zwana „Frakcją I”, która znajduje się w płynie mózgowodeniowym, i to w stężeniu wysokim na tym poziomie rdzenia kręgowego, do którego dochodzą nerwy podrażnione przez wkuwanie igieł, a więc na poziomie krzyżowym, gdy chodzi o akupunkturę wykonywaną na nogach, a na poziomie rdzenia pierwszego i szynowego, gdy chodzi o akupunkturę rąk.

Stwierdzono również w mózgu u zwierząt poddawanych akupunkturze wzrost stężenia jednej z substancji pośredniczącej, występującej w układzie nerwowym centralnym — serotoniny. Rola serotoniny w przewodzeniu bodźców bólowych nie jest wyjaśniona. Być może, że współdziała ona z endorfinami.

Te neurofizjologiczne badania zmieniły w konsekwencji magiczną nieco procedurę wkuwania igieł. Wielu chińskich lekarzy postępuje do obecnie anatomicznym atlasem segmentowego u-nerwienia organizmu człowieka, a nie tradycyjnymi rysunkami pokazującymi nie istniejące kanały, w których krąży energia życiowa. Zlikwidowano też ogromną liczbę „swoistych” punktów akupunktury bez uszczerbku dla efektu przeciwbólowego. Stosuje się raczej stymulację elektryczną niż mechaniczną. Wreszcie chińska medycyna wprowadziła równoległe z akupunkturą używanie leków wzmagających działanie przeciwbólowe.

Konkluzja Chang brzmi: „Starożytna sztuka leczenia jest teraz umieszczona na solidnej naukowej podstawie i ulega odmłodzeniu i ożywieniu. Nie ma wątpliwości, że akupunktura stała się nowym środkiem działania, dodanym do współczesnych środków, którymi medycyna zwalcza ból.”

K. O. („Problemy”)

AKUPUNKTURA

zmniejszenia czy zniesienia bólu, efekt analgezji. Wyjaśnienia wymaga również fakt, że efekt zniesienia bólu występuje po około 20 minutach od wkucia igieł i trwa przez czas pewien po usunięciu igieł.

Od dawna wiemy z badań fizjologicznych o istnieniu dwóch rodzajów włókien nerwowych, przewodzących uczucie bólu z obwodu do ośrodkowego układu nerwowego. Jedne z nich, zwane włóknami A-delta, przewodzą uczucia ostrego bólu, ale o małym nasileniu. Drugie włókna, zwane włóknami C, przewodzą bodźce dające uczucie bardzo silnego, piekącego bólu. Chang sugeruje, że słabe działanie pobudzające zakończenia nerwowe bólowe powodowane przez wkuwanie igieł selektywnie pobudza włókna A-delta. Te pobudzenia przekazywane są do rdzenia kręgowego i przelane dalej do ośrodków odczuwania bólu w mózgowiu. Tam bodźce te interferują z bodźcami przewodzonymi przez włókna „silnego bólu”, a więc włókna C. Ta interakcja nie pozwala tym silnym bodźcom docho-

dość do sfery świadomości. Układ tych punktów jest zgodny z segmentowym unerwieniem skóry, zależnym od segmentów nerwów czuciowych wychodzących z rdzenia kręgowego. Punkty akupunktury ramion są używane dla obniżenia natężenia siły bólu głowy, punkty zaś na kończynach dolnych dla obniżenia intensywności bólu narządów leżących w obszarze brzucha. Pobudzenie akupunktury przebiega więc na tym samym poziomie rdzenia kręgowego, do którego to poziomu dobiegają bodźce bólowe z narządów wewnętrznych.

Chang cytuje znane doświadczenia, mówiące o wpływie pewnych związków chemicznych oddziałujących na układ nerwowy centralny, a które zapewne biorą też udział w zjawiskach dotyczących akupunktury. W doświadczeniach przeprowadzonych na ludziach oraz małpach wykazano, że podanie naloksanu likwiduje efekt akupunktury. Naloksan jest środkiem, który blokuje receptory komórek nerwowych wiążące morfinę. Wiadomo, z badań lat ostatnich, iż mózg czło-

Wesliśmy w wiosenny miesiąc — w kwiecień. Miesiąc Pamięci Narodowej. I tak się jakoś złożyło, że właśnie na progu tego kwietnia obejrzałem spektakl „Teatr Faktu i Publicystyki”. Było to już 1.500 przedstawienie programu „Kwartet C-dur” w wykonaniu Haliny Riabinowskiej i Waldemara Sonnenburga.

O czym opowiada „Kwartet”? Opowiada o gehennie polskich dzieci w obozie koncentracyjnym w Lubawie. Przed paroma laty na łamach „Kultury” warszawski dziennikarz Czesław Czubak opublikował kilka listów do lagery kandydanta obozu w Lubawie — Otto Klugego.

Czesław Czubak jako dziecko był więźniem tego obozu. Czytając kiedyś zachodniemieckie pismo „Der Spiegel” napotkał tam zdjęcie Otto Klugego, który był po wojnie prezydentem policji w Zelle. Ten kulturalny pan, miłośnik dobrej, niemieckiej muzyki przykładał ojciec i dziadek żyje do dziś na zasłużonej emeryturze.

Czesław Czubak, były więzień obozu w Lubawie postanowił zakłócić ten spokój. Napisał do Klugego 20 listów na które byłby lageryk komendant nie odp-

wiedział. Listy zostały opublikowane w „Kulturze” i łódzcy artyści wykorzystali je do skomponowania wstrząsającego programu. Spektakl nazywa się „Kwartet C-dur”. Dlaczego? Otóż właśnie Kwartet C-dur Haydna był ulubioną melodią Otto Klugego — i ta melodia stała się symbolem spraw nie załatwionych do końca. Spraw, o których zapomnieć nam nie wolno.

KWARTET C-DUR

Czesław Czubak przez pięć lat przebywał w obozie dla dzieci w Lubawie. Spośród tysięcy małych więźniów w wieku od 6 do 16 lat, którzy skazani byli na lubawskie piekło — żyje do dziś tylko trzech. Czesław Czubak przemówił w imieniu tych tysięcy zamordowanych.

Program „Kwartetu C-dur” oparto tylko na ośmiu listach. Mówią one jednak wystarczająco wiele i są dostatecznie wymowne. Tak jak wymowna jest prosta konstrukcja spektaklu.

Na tle dokumentalnych foto-

grafii z obozu w Lubawie słyszemy wypowiedziane przez aktorów słowa — małego więźnia sprzed lat trzydziestu paru i słowa dorosłego już dziś człowieka, który nieustannie pyta: „Czy pamięta pan, panie lageryk komendant?”

Pan lageryk komendant nie chce pamiętać.

Ale rozgłos tego spektaklu — jego emisja telewizyjna oraz radiowe prezentacje w Repu-

blice Federalnej Niemiec, głosy prasy polskiej, niemieckiej, radzieckiej, jugosłowiańskiej — sprawiły, że Otto Kluge musi sobie przypomnieć, co robił w latach wojny.

I nam — a szczególnie młodemu pokoleniu — ten spektakl przypomina groźbę tamtych dni, groźbę wojny i faszyzmu.

Tysiąc pięćset razy oglądali „Kwartet C-dur” polskie dzieci w setkach szkół. Przysłały potem artystom listy, w których brzmiało przerażenie — listy będące wyrazem wstrząsu. Daleko odbiegłymi od lat wojny,

choć żyją przecież ludzie, którym wojna śni się po nocach i budzą się z krzykiem przerażenia. Daleko odbiegłymi od lat wojny — wyrastają w pokoleju kolejne pokolenia, którym trudno uwierzyć w groźbę tamtych dni. Dlatego trzeba pamiętać i przypominać.

„Nie mogę uwierzyć, że tak było, że do tego zdolni byli ludzie. Ten program wywarł na mnie ogromne wrażenie” — pisze uczeń ze Skwirzyna.

„Nie spodziewałam się, że zobaczę i usłyszę coś tak przerażającego i prawdziwego” — pisze uczennica z Międzyrzecza.

„Kwartet C-dur” prezentowany był w całej Polsce — ma za sobą tysiąc pięćset spektakli. Niebawem artyści rozpoczną znów swoją wędrówkę. W programie nie pisze kto gra w spektaklu. Piszcie, oskarżając aktorzy Halina Riabinowska i Waldemar Sonnenburg”. Bo to już nie tylko gra aktorska. To coś więcej — właśnie oskarżenie, pełne pasji i wzruszenia.

Myszę, że w Miesiącu Pamięci Narodowej „Kwartet C-dur” zasługuje na przypomnienie — tak jak bezustannie przypominać należy tamte tragiczne dni.

WIDOK

MALGORZATA ROGACKA-WISNIEWSKA



Przedstawienie. Perła na scenie.

Rys. Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

25 Z GORYCZKOWEJ

We Włoszech przymknęto w areszcie 11 piłkarzy, jednego prezesa i bookmachersów, którzy przyjmowali zakłady piłkarskie i tak sterowali wynikami meczów, że teraz sam diabeł się nie potrafi, która drużyna we włoskiej lidze zajmuje swoje miejsce dzięki autentycznym wynikom, a która za pieniądze. U nas taka afera nie miałaby żadnych widoków na powodzenie. Po pierwsze — ludzie wolą grać w Toto-lotka niż w Totalizatora Piłkarskiego, wierząc raczej maszyni i ponumerowanym piéczkom niż umiejętnościom swoich ulubionych zespołów. Bo zaiste, trzeba by być jasnowidzem, żeby przy zmiennej formie naszych ligowców przewidzieć rezultat kolejnego meczu piłki nożnej. Po drugie, jak wykazuje dotychczasowa praktyka, klubby same wolą „typować” wyniki i zadni bookmacherszy nie muszą ich w tym wyręczać.

Ale i my mamy swoją sensację. I to niezłą. Nie piłkarską a narciarską.

Rzecz miała miejsce na stoku Goryczkowej podczas mistrzostw Polski. Po pierwszym zjeździe Macieja Gasiemicy-Ciaptaka w sialonie specjalnym powstała kontrowersja, czy zawodnik ominął bramkę, czy też przejechał ją prawidłowo. Sędziowie nie dopatrzeli się błędów w zjeździe Macieja Gasiemicy-Ciaptaka, 25 jego kolegów uznało, że bramkę ominął. Na znak protestu 25 narciarzy nie stanęło na starcie do drugiego zjazdu i uniemożliwiło zjazd innym. Ukarano ich dyskwalifikacją. Tym samym można by uznać, że sprawa została załatwiona, gdyby nie fakt, że w sporcie taki strajk jest sprawą niecodzienną. Nie więc dziwnego, że wywołał on szeroki oddźwięk, przede wszystkim na łamach prasy sportowej.

Bohdan Tomaszewski zdecydowanie potępił 25 narciarzy za ich demonstrację. Napisał w „Kulturze”, że w postawie tych narciarzy „nie było ani śladu sportu”. Jego zdaniem decyzja sędziego jest niepodważalna, chociaż sędziowie, jak wszyscy ludzie, bywają omylni. Zawodnicy dobowolnie przyjmują takie reguły gry i gdy „to wszystko zburzymy, sport przestanie istnieć”. Cenię Tomaszewskiego i jego sposób widzenia sportu, sądzę jednak, że wypadek z Goryczkowej potraktował zbyt jednostronnie.

Bardziej wielostronnie przedstawił tę sprawę na łamach „Sportowca” Andrzej Bachleda, znakomity niegdyś alpejski, któremu UNESCO przyznało nagrodę Fair Play, za to, że sam poinformował sędziów o minięciu bramki podczas zawodów w Aspen. Bachleda nie pochwala oczywiście formy protestu, sugeruje jednak, że był to protest nie tylko w tej jednej sprawie. „Tu, na naszym narciarskim podwórku — pisze — dość już kłóty jak zorganizowanych zawodów, dość improwizowanych treningów, dość kolejek do kolejek, dość przepychania się w tłumach szturmujących Kasprowy, dość pijanych działaczy, klubów-spelunek, dość szarobrodzkiego śniegu”. Kiedy takich spraw narosnie wiele, wybuch może przyjść niespodziewanie, z byle powodu. Tu powodem stała się akurat różnica zdań na temat bramki w sialonie; przejechał czy nie przejechał prawidłowo?

Zawody narciarskie o randze mistrzostw Polski organizuje się z wielkim trudem, potrzeba do tego pracy wielu ludzi, odpowiedniej pogody, środków i czasu. Powtarzać to wszystko jeszcze raz? A nie lepiej dać sobie w tym spokój? Jest mistrz, protestujących ukarano, a więc spokój do następnej zimy. A tu Andrzej Bachleda wyskakuje ze swoimi racjami i wątpliwościami. Oj, nie polubią go za to działacze Polskiego Związku Narciarskiego, oj, nie polubią!

Uważa się na ogół, nie tylko zresztą w sporcie, że sprawy klubowe, związkowe, itp. powinno się załatwiać w swoim gronie, bez wywekiania na zewnątrz. Uważają co poniektórzy, że krytyka w sporcie powinna być łagodna, wyrozumiała, niczym rzeka mleka dosłodzona miodem. Żadnych złośliwości, żadnych kontrowersji. Najlepiej potakiwać.

Można i tak. Można nade wszystko cenić sobie spokój i dobre samopoczucie. Boję się, że to jednak do niedługo dobrze nie doprowadzi. Mielismy ostatnio sporo przykładów na to, że lepiej wcześniej dyskutować o niektórych zjawiskach w sporcie, niż później dmuchać na gorące, już po oparzeniu się. Coś takiego przytrafiło się też Polskiemu Związkowi Narciarskiemu. Czy dyskwalifikowanie 25 zawodników rozwiązuje aktualne problemy polskiego narciarstwa? A może jednak byłoby dobrze uważniej przyrzeć się narciarskiemu podwórku — jak to proponuje Andrzej Bachleda...

GRZEGORZ GAZDA

BOGDA MADEJ

PROPOZYCJE

Dobry obyczaj nakazuje, aby 1 kwietnia pokpić sobie z bliźnich, pożartować, zrobić komus dobry kawał. Kryteria według których ocenia się jakość kawałów są różne. Ale na ogół nie mamy kłopotów z oceną kawałów, jeśli nie są one obrobione nam. Dochodzi jednak powoli do wniosku, że maluczką, a tradycja żartowania w dniu 1 kwietnia zupełnie zanikła i to z tego prostego powodu, że życie przynosi nam nieustannie tyle śmieszności, absurdów i „dobrych żartów”, że prima aprilis trwać będzie nieustannie, a nie tylko raz do roku.

Oto na przykład, gdyby akurat 1 kwietnia okazała się wiadomość, że emerytowany oficer brytyjskiej kawalerii w Indiach, Robin Huguessen rozpoczął u siebie w majtkach, położonym w miejscowości Witham w hrabstwie Essex, produkcję pasów cnoty, wszyscy potraktowaliby ją jako dobry żart. W XX wieku, w erze atomu, lotów kosmicznych, komputerów i robotów średniowieczne pasy cnoty? Ale te żurnalisty mają fantazję!

Ale nie. Wiadomość ukazuje się na długo przed 1 kwietnia i jest zupełnie prawdziwa, istnieć Robin Huguessen produkuje u siebie w majtkach w Witham pasy cnoty. A zanim wziął się do ich produkcji, szczegółowo i starannie zapoznał się z fachową literaturą w XIII i XIV wieku. Mało tego. Dokonał szeregu prób i dopiero wersja MARK — i okazała się dobra. Pasy cnoty emerytowanego kawalerzysty z hrabstwa Essex mają tylko jedną wadę. Patentowe klucze, bez których pasy żadną siłą nie otworzysz. A małżonkowie bywają rozstrawnieni. I już zdarzyło się że jeden rozstrawiony małżonek popełnił samobójstwo, a drugi wezwał... straż pożarną. Kawalerzysta Robin Huguessen radzi więc swoim nabywcom, aby zapasowy kluczyczek chowali w skarbcach bankowych. Firma myśli też o

zamykach elektronicznych, które otwierałyby się sztyrem.

Kto kupuje pasy cnoty? Oczywiście Brytyjczyce. Czasami czuje wdzięczność do losu, że nie kazał mi urodzić się na Wyspach Brytyjskich. Poza tym kupują żonochy mieszkające z RFN i USA. A Robin Huguessen ma nadzieję, że jego wyroby zdobędą też rynki Bliskiego i Środkowego Wschodu.

Domyślam się, że część Czytelników potraktuje historię o pasach cnoty jako mój przewrotny kawał. Niestety Ukazała się ona 29 marca 1980 roku w „Expressie Wieczornym”. Nie jest to zatem pierwszokwiatniowy żart.

Z CAŁĄ POWAGĄ

Czy jednak musimy tak daleko szukać? Czy nasza rodzima rzeczywistość nie płata nam takich figli, które można byłoby spokojnie zakwalifikować do primaaprilisowych żartów? Gdyby na przykład 1 kwietnia ukazała się w którejś z gazet wiadomość, że fabryka X wysłała do fabryki Y część załogi, aby ta w fabryce Y zrobiła część potrzebne fabryce X to byłaby taką wiadomością potraktowali jako świąteczny dowcip. Ale takie wiadomości ukazują się w innych dniach, a nie akurat 1 kwietnia, i my spokojnie je przyjmujemy, jako rzecz naturalną, w dodatku często, jako powód do dumy. Jako dowód zaradności i pomysłowości.

TELEWIZJA

Jacek Fuksiewicz — coraz częściej skłaniał się ku takiej opinii — jest meżem opatrności. Opatrznościowym numer jeden polskiej telewizji. Oczywiście jego nazwisko pełni w poprzednim zdaniu funkcję synekdochy, która w tym przypadku polega na zastąpieniu całości — częścią. Bo wtem pisząc Fuksiewicz mam na myśli cały zespół Naczelnej Redakcji, której on przewodzi.

I rzeczywiście redakcja ta od wielu już lat, pomijając okresy hors saison (w TvP są to miesiące wakacyjne), wypełnia swoje obowiązki ku zadowoleniu milionów widzów, a także niektórych innych Naczelnych Redakcji (gdy danego dnia jest dobry film, reszta przemija przez mały ekran bez zacepiek ze strony widzów). Przede wszystkim zespół Jacka Fuksiewicza zaleca się telewizyjnym serialom — solą przekazu programów społecznych, budzi nieskrywaną zazdrość innych twórców, na przykład piosarzy (por. dyskusję „Literatura i Telewizja” na łamach jednego z ostatnich numerów „Literatury”), którzy zafascynowani rozmowami ekspedientek o losach serialowych bohaterów zapominają, po co przyszli do sklepu. O serialu i jego społecznych kontekstach można by w nieskończoność. Te, które oglądamy ostatnio w TvP, może na aż taką uwagę nie zasługują. I nie wiem czy wynika to z ogólnosiwiatowego kryzysu tego gatunku, czy po prostu, z możliwości finansowych naszej rodzimej XI Muzy. Z całą pewnością odgrywa także niemałą rolę w tym względzie zamierzanie polityki repertuarowej. Choć wiadomo jak one są w teorii, nie zawsze znaj-

dują potwierdzenia w praktyce. Dlatego też nie oglądam „Aniołów Charliego”, ani nowej wersji „Świętego”, nie będę też oglądał seriali zatytułowanych „Niełatwy wybór”, której pierwszy odcinek emitowany był w czwartek 27 marca.

Seriale prezentują nurt telewizyjnej popularnej, łatwej i rozrywkowej i nie w tym nurcie należy poszukiwać inspiracji do przeżywania estetycznej bądź artystycznej. Stąd też redakcja Jacka Fuksiewicza proponuje

kochanych w kinie, że telewizja jest w stanie to zastąpić. Podkreślam tylko to, że telewizja może mądrze kinu towarzyszyć, ku obopólnym korzyściom.

Meżem opatrnościowym — ale już w nieco innym znaczeniu — jest dla naszej telewizji KTT, znany autor kilku książek, także o tv, współscenarzysta powtarzanego właśnie „Czterdziestolatka”, żelazny dyskutant audycji Redakcji Publicystyki Kulturalnej, recenzent telewizyjny w dwutygodniku „Teatr”. Ostatni

MEŻOWIE OPATRNOŚCI

„Filmotekę Arcydzielni”, „Film ty na świecie”, „Latarnie czarnoksięskie”, audycję „Moje kino”, filmy poza cyklami, które rzeczywiście stanowią niepodważalną wartość naszych codziennych kontaktów ze sztuką filmową.

Ale to nie wszystko. Jacek Fuksiewicz i jego zespół zabrali nie tylko o poziom przedstawionych w TvP filmów. Równie ważnym terenem ich zabiegów programowych jest upowszechnianie kultury filmowej w ogóle. Jest telewizja przecież najpopularniejszym i najmniej ekskluzywnym dyskusyjnym klubem filmowym w Polsce, w którym historia kina — od Mellesa po Felliniego — istnieje w najszerszym wymiarze. Nie chcę przez to powiedzieć, proszę za-

swój felieton z „Kulturze” poświęcił obronie „Pegaza”. Wprawdzie wyszedł w tym felietonie od polemiki z niejakim Rozkoszem na temat polskości (jakieś warszawistwo potyczki i kamuflaż), to cały (jaki długi!) tekst poświęcony jest apologii, per fas et nefas, czwartkowego magazynu. Zapobiegliwa to obrona i wymyślna apologia. Bo oto liczone w tym tekście zastrzeżenia, które, chcąc nie chcąc, potwierdzają liczne krytyki „Pegaza”, kończą się krągłymi frazami w rodzaju „najlepszy magazyn kulturalny w Polsce”, „audycja prezentująca najistotniejsze treści współczesnego życia kulturalnego” etc. etc. Powiedziałbym po prostu „koń jaki jest, każdy widzi” i żaden Kordecki na wałach

Załącznik nr.

66/.../80

4 KWIETNIA „DZIEŃ MĘŻCZYZNY”

HASŁO NUMERU: Nie pomył się. Do dyngusówek leje się WODE!



Wesołych Świąt

Rys. Andrzej Adamowicz

Staralem się o nowe zajęcie. Urzędnik wręczył mi pismo i czystą kartkę — Pan napisze dyktando — powiedział — ale ze szczególnym uwzględnieniem dotychczasowego przebiegu pracy. Zagryziłem wargi i jako przebiegłem szczęśliwie przez pierwsze podstawowe fakty. Potem pisałem dalej:

Szkółę ukończyłem w małym prowincjonalnym miasteczku jako uczeń średni. (Chciałem dodać, iż nie wyróżniający się, ale szybko z tego zrezygnowałem).

MAREK NEJMAN PODANIE

Przecież matematyką prędko wykopałem, że specjalnie wzięłem pod uwagę, by łapać za nogi dziewczyny.

Pierwszą swoją pracę podjąłem w biurze. Po dwóch latach jednak z niej zrezygnowałem. (Byłem zmuszony z uwagi na skandal. Sprzątaczką odkurzającą po godzinach potknęła się o dwie pary nóg wystające spod biurka. To druga para należała do koleżanki...)

Potem zostałem szatniarzem. Ale ten rodzaj zajęcia szczególnie mi nie odpowiadał (wprost przeciwnie).

Wszystko samo pchało się w ręce. Ale kierownik wynuchał mnie z taką jedną w szatni. Mówił potem: patrz, dwie pary nóg! Myślałem sobie, nie tylko ten balwan faceta i facetkę z płaszczami powiesił).

Ponad rok pracowałem w charakterze szofera. Podczas pełnienia tej odpowiedzialnej funkcji otrzymałem poważną kontuzję (trafiłem, cholera na trasie, nieźle grubas). Ledwo upechałem w szoferce. Mnie wystawiali nosi i właśnie nadieżdżający maluch dachem zawadził).

Kontuzję wyleczyłem, ale uraz psychiczny pozostał. Dążyć więc do pełnej równowagi zewnętrznej wybrałem pracę spokojną, na tonie natury. Zostałem asystentem w jednostce służby rolnej. Odszedłem z powodów osobistych. (Można przecież tak to nazwać. Sam kierownik osobliwie wyciągnął mnie z życia, a potem zmyślał, że nie daje podrośniętym oziębnie tylko z dziełkami wygnatam. Odpowiedział mi na swoje usprawiedliwienie, iż przecież, jak to sam zauważył, nie robię tego osobliwie).

Od tego czasu nigdzie już nie pracowałem — kończyłem swój życiorys — Proszę o pozytywne rozpatrzenie mojego podania, ponieważ, chciałbym teraz porównać szczęścia w fachu kominiańskim.

wydawa książkę pod tytułem: „Kraulem przez kanał La Manche”.

Bogdan Maciejewski pisząc o tej książce w „Sztandarze Młodych”, stwierdził: „...że chociaż w kraulu najważniejsze są ręce, to w pisanu akurat niekoniecznie...”.

Jest to krótka recenzja, ale trafna.

L. E. Ktor

Pytanie

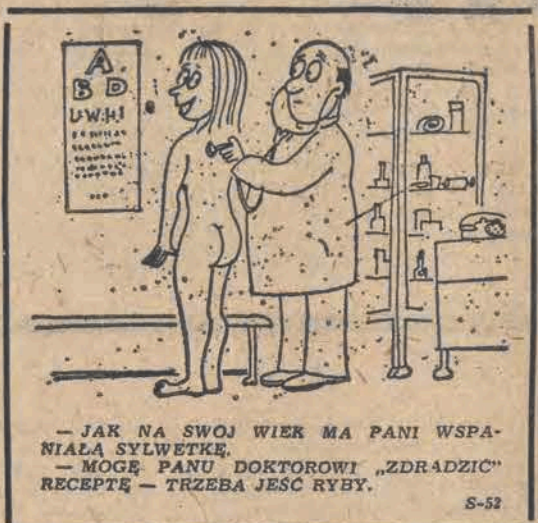
PDT „Centrum” (Łódź, pl. Niepodległości 4) zamieścił ogłoszenie, w którym informuje, że: „...posiada do oddania regały sklepowe w kolorze drewnopodobnym”.

Ciekawi jesteśmy dlaczego? Bo, chyba nie dlatego, że nie ma co kłaść na tych regałach?

K. L. Ient

Uwaga! Erotoman!

Zjednoczenie Gospodarki Rybnej w taki oto sposób reklamuje „POTRAWY ZE ŚWIEŻEGO DORSZA”, zapewniając przy tym że „TO ŹRÓDŁO ZDROWIA I URODY”. Potwierdzeniem tego ma być zamieszczony poniżej rysunek:



— JAK NA SWOJ WIEK MA PANI WSPANIĄŁA SYLWETKĘ.
— MOGĘ PANI DOKTOROWI „ZDRADZIC” RECEPTĘ — TRZEBA JEŚĆ RYBY.

S-52

Wszystkie pacjentki ostrzegamy: UWAGA: ERO-TOMANI!

Z. A. Wistny

TO I TAMTO

Dokończyła nam

Elżbieta Jodłowska poinformowała Jana Piaseckiego ze „Sztandaru Młodych”, że nie ma dobrego zdania ani o miłości, ani o mężczyznach. Powiedziała:

„Cenie sobie spokój. Płomienne uczucia są niezdrowe, miłość spala, wykańcza i zniewala. Mężczyzna nie znieśsie sytuacji, w której jest tylko mężem swojej żony...”.

A musi? Cenimy sobie jednak szczerść. Dziękujemy!

M. E. Życzyna

Tytuł tygodnia

Nasze uznanie dla „Głosu Pracy” za udany tytuł do sprawozdania z meczu Węgry — Polska. „OJ. MEYNARCYK, COŚ TY ZROBIŁ!” Czwelnikom, którzy nie oglądali transmisji z meczu Węgry — Polska lub nie interesują się piłką nożną wyjaśniamy, że Józef Meynarczyk jest bramkarzem i puścił gola w taki sposób, w jaki nie zdarza się to nawet na szkolnym boisku.

K. I. Bie

Co bardziej potrzebne?

Teresa Zarzeckańska — znakomita pływaczka, która przeplynęła kanał La Manche — napisała:

MIECZYSLAW M. SZARGAN ŁATKI ADRESATKI

ŚLAD

Nawet gadi: „Własny odcisnąć ślad!”

ANALIZA LITERACKA ŻYCIA WAŻKI

Życie ważki. Formę ma fraszki.

A GDYBY

A gdyby Grube były chude ryby?

WIECZNE PRETENSJE

Róża z pretensjami do słownika: „Pięknie śpiewasz, lecz nie dotykasz!”.

NOWOTWÓR

PUNKT SKUPU. ZUŻYT. KÓW WELNIANYCH. DZIAŁYCH I TKANIN. (Podkreślenie w cytacie jest nasze).

W ogłoszeniu tym słowo: zużyty powtórzono jeszcze 8 razy. Tak dowiedzieliśmy się o powstaniu nowotworu językowego. Jest to nowotwór potworkiem bardzo szkodliwy, złośliwy i zaraźliwy.

Urzedników z Okręgowego Przedsiębiorstwa Surowców Włóknistych serdecznie prosimy, aby zajmowali się surowcami włóknistymi, a nie działalnością językotwórczą, bo z tej ostatniej nie im dobrego nie wyjdzie.

Zyg.

WIESŁAW TRZASKALSKI

MYŚLI

- 1) Trudno poznać, że coś kuleje, jeśli kuleje na obie nogi.
- 2) Robakowi można wmówić, że jest współnikiem rybaka.
- 3) Chwiał się na szczycie — niebezpiecznie.
- 4) Do rydwanu historii nie powinno się zaprzęgać osłów.
- 5) Nioś galazkę oliwną. Chciał wysmagać nią przeciwnika.
- 6) Zawsze ktoś musi czuć, żeby innym nie pozwolił zasnąć.
- 7) Sa i takie koła ratunkowe, które ciągną na dno.
- 8) Balwochwalcy. Wierzą w siebie.
- 9) Czasami trzeba kluczyć, żeby nie zejść z prostej drogi.
- 10) Tracił cnotę — kto dopuszcza się zważu.
- 11) Żeby stawić komuś czoła — trzeba mieć płemy.
- 12) Pozostawieni samym sobie, zawsze trafiają w niewłaściwe ręce.
- 13) Skąd u niektórych tak wysokie tony? Z niskich podbudek.



Rys. Jan Kalkowski



Foto. Archiwum (niestety, nazwisko i adres nieznane redakcji).

PRZTYCZKI

UWAGA, BIJA!

Łódzka restauracja „Smakosz” wbrew swej nazwie, nie słynie z dobrej kuchni, toteż personele zakładu stara się w inny sposób atrakcyjnie pobyt swoim bywalcem. 20 marca na krótko przed zamknięciem lokalu bufetowa, zwana przez stałych bywalców „panią Teresą z Kolejowej” ni stąd ni zowąd pobila znanego aktora Teatru 715, który przyszedł po spektaklu z kolegą na piwo. Do temperamentu krewkiej pani Teresy dołożył się wariat, wyrażnie na bani. Personel wyprasał konsumentów z lokalu ordynarnymi krzykami, niezadko zwracając się do nich per „ty” (dobrze i to).

Mamy nadzieję, że kolejnym agentem Smakosza zostanie były minist. wagi ciężkiej. Wtedy może być jeszcze ciekawiej!

GDZIE CI MŁODZI?

Związek Literatów Polskich jest organizacją szybko się starzejącą, gdyż dapiw pisarzy, młodych jest wyraźnie zbyt mało. Szukaliśmy więc odpowiedzialność za ten stan rzeczy ponoszą głównie edytorzy, którzy byt opieszane publikują debiuty, przydługie, niejednokrotnie niezrozumiałe. Młoda pisarka Zdzisława Zegadłówna w liście do „Literatury” opisała praktykę w tzw. Kole Młodych przy warszawskim najliczniejszej w Polsce oddziale Związku Literatów Polskich. Połtora roku czekała na odpowiedź w sprawie przyjęcia; tymczasem zmienił się zarząd Kole Młodych, a jej list pozostał bez echa. Okazało się, że zaginął. Złożyła kolejne podanie, minął już rok, a skutku jest ten sam. Nie udało się. Zegadłówna — i jakiego nastroju potrzebuje jego Młodość Zarząd by podjąć epokę w swej wymowie decyzji, czy nie pójść. Narzekamy często na opieszłość urzędników. Strach jednak pomyśleć, co tobyło się z naszym krajem, gdyby starych biurokratów zastąpili młodzi pisarze z Warszawskiego Kolea.

CZYTELNIK MA RACJĘ

Felietonista „Głosu Robotniczego” zawstydza pana A. G., który żąda większego poszanowania reguł języka polskiego w prasie i radiu. Słowo „unikalny” i „unikatowy” znaczą to samo, czyli felietonista prosi o sprawdzenie w Słowniku Wyrazów Obcych. Cenne jest to poszanowanie wyrazów obcych, pisanych z dużej litery, ale lepiej oprzeć się na słowniku języka polskiego. Słowo „unikalny” jest rusezyzmem. Profesor Witold Doroszewski stoi na stanowisku, że wyraz „unikalny” nie jest w ogóle wart używania. Podobnie jak wyraz „unikatowy”. Język polski zna słowo: niepowtarzalny, jedyny w świecie, wyjątkowy. I one powinny trafić do mowy potocznej.

NIE SZKODA PAPIERU?

Gazety mają specjalne działy łączności z czytelnikami i jest to bardzo chwalebne. W „Ekspresie Ilustrowanym” specjalna rubryka korespondencji z czytelnikami prowadzi nawet dział sportowy. „Kibic chce wiedzieć”. To bardzo dobre. Czy jednak trzeba wszystkich informować o oczywistościach. Jednego z czytelników, który chce skomentować sobie wyniki sportowe, odysła redaktor rubryczki do Biblioteki im. Waryńskiego podając jej adres. Innym udziela porad na łamach gazety, choć chodzi o nie interesujące nikogo marginalia, które można podkładać przez telefon. Sport to ważna dziedziną, życia, ale, na miłość boską, czy nie szkoda papieru na aż takie maluchy?

K.F.

TADEUSZ WIEŻAN

Z PAMIĘTNIKA MAJSTRA

Jechałem właśnie „ósemką” na drugą zmianę, kiedy przelśnił się do mnie Stefan Smok, który też widocznie robił na drugą, tak jak ja, i dlatego w tym czasie jechał razem ze mną.

— Ale ścisli! — zwrócił się do mnie już w pierwszych słowach. Nie mu nie odpowiadałem, bo patrzyłem przez okno na ulicę Gdańską. Byłem od niego starszy o całe dwadzieścia lat.

— Na drugą zmianę pan jedzie? — zapytał mnie znowu.

— Na drugą! — powiedziałem, żeby się odczepił. Bo co to za rozmowa?

Ani się przywitał, ani pozdrowił i pyta jak by nie wiedział. — Ja też na drugą! — wypalił mi prosto w twarz, gdy się niechący odwróciłem. Oczy mu się świeciły ze szczęścia, czy też z tego ścisłu — trudno zgadnąć.

— Słyszal pan, mam u siebie miesiąc drugą wolną sobotę — zauważył.

Wolna sobota każdego cieszy, ale Smok mówił to tak jak by to on załatwił, albo jak by co najmniej „Mirindę” do Polski sprowadził.

Nie słyszałem — odpowie działem grzechnie.

— Tak jest! Ja wiem na pewno, druga jest wolna.

— I z czego pan się tak cieszy? — zapytałem, żeby go trochę osłodzić. Nie znalazłem go bliżej, tylko z widzenia, bo on robił na innym dziale.

— Z czego się cieszę? — powtórzył moje pytanie.

— Wolna jest, nie robimy! — To co pan będzie robił, jak nie robimy?

— Jak to co? Niech pan nie kłutuje panie majster. Co będę robił? Albo to mało jest do roboty.

— Do roboty jest dużo, ale pytam się pana, co pan będzie robił?

— Wolna sobota, jest od tego, żeby odpoczywać, a nie pracować — zmienił szybko zdanie.

— To jak pan będzie odpoczywał? Naraził mi się tym brakiem obycia. Jeździł to i jeździ „wolne” tylko liczy. Kompletnie fizyczny. Przecież widzę od razu, że w pracy też się nie narobi.

— Wyśpię się, odpocznę — to mówiąc patrzył na mnie niepewnie, starając się wyczytać z moich oczu, czy trafił.

— A w robocie to pan nie odpoczywał? — palnąłem mu prosto w te wybaluszone oczy, aż skulił się w sobie. — Przecież pan

bez roboty był nie wytrzymał. A wiesz pan dlaczego? — Bo się pan wybieczył w pracy jak nigdy w domu, bo w domu was żona tu, czy tam przegoni. Stał ze spuszczoną głową, a ja sobie używałem.

— Przyznajcie się Smok, nie ciężcy wam u wolną sobotę, niż u normalny dzień?

— Faktycznie — przyznał mi rację.

— A jak się kto nie narobi, to później nie potrafi odpoczywać, bo nie ma po czym.

Miałem go już na widoku. Wspominałem jeszcze, jak to było przed wojną, jak pracują za granicą i że normalnie powinni się nad tym wszystkim zastanowić. Ale on nie! I odzywa się do mnie lebiega w te słowa:

— Nie po to żemmy walczyli o naszą wolność, żeby teraz zapylać jak przed wojną. Albo tak jak zasuwają u kapitalistów. Mnie zatkało. Pomyliłem się jednak. Nie był on kompletnie fizyczny, jak mi się na początku wydawało, a „fizyczny” pod-szkolony.

c.d.n.